1/2026

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Kwartalnik styczeń–marzec 1 (95) / 2026 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)

Nowa Europa Wschodnia

Rosja i Bliski Wschód
Marcin Kaczmarski

KROK OD ŚMIERCI. OPOWIEŚĆ WIĘŹNIA ŁUKASZENKI
Aleksandr Fiaduta

Pokolenie, które dorosło na barykadach
Zoriana Varenia

Czy należy czytać rosyjską literaturę?
prof. Grzegorz Przebinda

Tęsknota za pierestrojką
Maciej Pieczyński

ISSN 1899-5543 03
9 771899 554264

1/26

eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA

Nowa Europa Wschodnia
– zrozumieć, by widzieć dalej.



Zacznij prenumeratę.

www.kew.org.pl

eprasa.pl 7d207e4b08

W numerze między innymi:

Piotr Andrusieczko pisze o nastrojach nad Dnieprem w czwartą rocznicę wojny: Powszechne zmęczenie wojną nie jest równoznaczne z kapitulanckimi nastrojami. Ukraina trwa i mało tego – wygrywa wojnę z Rosją (to moja opinia). Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której agresorowi po upływie czterech lat nie udało się osiągnąć żadnego z celów?

Michałkow zebrał więcej odznaczeń niż dawni książęta rosyjscy i sowieccy generałowie. Zasiada we władzach kilkudziesięciu organizacji, funduszy i instytucji. Jeśli wierzyć oficjalnym mediom, zajął drugie miejsce w rankingu autorytetów moralnych Rosjan (zaraz za Putinem) – **Ireneusz Dańko** kreśli portret Nikity Michałkowa, piewcy putinowskiego reżimu.

Ponadto: **Miłosz Szymański** o sukcesji w krajach Azji Centralnej, **Kacper Wańczyk** o polskiej polityce wschodniej, **Katarzyna Chawryło** o dezinformacyjnej strategii Rosji, **Aureliusz M. Pędziwol** o sytuacji politycznej na Słowacji.

KEW
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA



Kolegium Europy Wschodniej

Nowa książka wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

eprasa.pl 7d207e4b08

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl 7d207e4b08

eprasa.pl 7d207e4b08

Dwie fotografie

Zamykanie numeru często przypada na „gorący" czas, w polityce międzynarodowej bowiem wiele może się zmienić zaledwie w jedną noc. Tak było i tym razem – Stany Zjednoczone i Izrael zaatakowały Iran. Co oczywiste, wojna ta będzie mieć długofalowy wpływ na sytuację na terytorium poradzieckim. O jej skutkach (odczuwalnych dziś i możliwych do odczucia w przyszłości) pisze znawca regionu Marcin Kaczmarski.

Jednym z najbardziej poruszających materiałów w najnowszym numerze periodyku jest rozmowa Piotra Pogorzelskiego z Alaksandrem Fiadutą. Fiaduta przeszedł w swoim zawodowym życiu długą drogę – w młodym wieku był działaczem Komsomołu, prawie trzydzieści lat temu doradcą Aleksandra Łukaszenki, później został niezależnym dziennikarzem, analitykiem politycznym i zagorzałym krytykiem białoruskiego reżimu. Jego wspaniałe pióro sprawiło, że stał się autorem najlepszej biografii satrapy. Jako wróg reżimu Łukaszenki Fiaduta trafił za kraty (aresztowano go w Moskwie). Kilkanaście tygodni temu niezależne białoruskie media opublikowały dwie fotografie: na pierwszej widniała okrągła twarz Fiaduty przed aresztowaniem, a na drugiej – twarz staruszka, pocięta zmarszczkami i niezwykle szczupła (tak wygląda po wyjściu na wolność).

Opowieść Fiaduty jest najlepszym opisem białoruskiego autorytaryzmu (który zmierza ku totalitaryzmowi). Dowiadujemy się, jak działa białoruski system penitencjarny, jak wygląda śledztwo, sąd i warunki panujące za kratami. Czytając to niezwykle poruszające wyznanie, należy pamiętać, że Rosja i Białoruś stały się wielkimi więzieniami. Za kratami przebywają niewinni ludzie. W tym – od pięciu lat – polski dziennikarz Andrzej Poczobut.

Redakcja

eprasa.pl 7d207e4b08

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Anną Gruver **Słowa jak kamienie** 7

Publicystyka i analizy

Marcin Kaczmarski **Rosja ropą stoi**..... 14
Piotr Andrusieczko **Ukraina. Mocne karty**..... 16
Kacper Wańczyk **Paderewski w Pendolino**..... 20
Rozmowa z Katarzyną Chawryło **Rosja gra długofalowo. Zachód działa reaktywnie**..... 26
Maciej Pieczyński **Wojenna nostalgia za epoką przemian**..... 34
Zoriana Varenia **Pokolenie, które dorosło na barykadach**..... 44
Michał Borowik **Szkoła w czasie wojny**..... 53
Zoriana Varenia **Minister nadziei? Kim jest nowy szef resortu obrony Ukrainy**.. 58
Miłosz Szymański **Z nożem na gardle**..... 73
Miłosz Szymański **Republiki monarchiczne. O sukcesji w Azji Centralnej**..... 82
Ireneusz Dańko **Michałkow, pierwszy piewca reżimu**..... 98

Kultura

Rozmowa z Grzegorzem Przebindą **Czy należy czytać rosyjską literaturę?**..... 106

Rozmowa

Rozmowa z Alaksandrem Fiadutą **Białoruś. Reżim totalny**..... 115

Historia

Aureliusz M. Pędziwol **Słowacja. Nowy żar wygasłych dekretów**..... 134

Konteksty

Antoni Mach **Nowa ziemia obiecana**..... 145

Prezentacja

Kateřina Tučková **Sezon na raki**..... 151

eprasa.pl 7d207e4b08

Recenzje

Anna Maślanka **Z miłości do gleby** 168
O książce Karela Čapka *Rok ogrodnika*
Piotr Leszczyński **Kiedy zabija się swoich**... 170
O filmie *Dwaj prokuratorzy*, scenariusz i reżyseria Siergiej Łoźnica
Ireneusz Dańko **Własna kraina marzeń**
O książce Joanny Stingray i Madison Stingray, *Czerwona fala. Amerykanka w sowieckim rockowym undergroundzie*

eprasa.pl 7d207e4b08

Nowa Europa Wschodnia

Kwartalnik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kobylański, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 1300 egz.

eprasa.pl 7d207e4b08

Słowa jak kamienie

Z Anną Gruver, ukraińską pisarką, rozmawia Urszula Pieczek

URSZULA PIECZEK: Jakie pierwsze słowo z języka wojennego Pani poznała?

ANNA GRUVER: Pochodzę z Donieck a i to już wiele powie. Wydaje mi się, że do siedemnastego roku życia nie wiedziałam, czym są grady. A może powiem inaczej, dowiedziałam się, czym są grady, kiedy pierwsze rakiety już wylądowały w Doniecku.

Wojna w Ukrainie trwa prawie połowę mojego życia. Przeszłość bez wojny staje się coraz bardziej mglista, na szczęście wiele rzeczy pamiętam, byłam już świadomą osobą. Natomiast nigdy nie zapomnę momentu, kiedy w naszym języku zaczęło mieszkać słowo „czołg", do tej pory słowo raczej książkowe, póki czołgi nie pojawiły się dosłownie pod naszym domem. Później, kiedy wybuchła wojna na pełną skalę, dowiedziałam się, co znaczy „4.5.0". Nie lubię, kiedy cywilni używają – teraz, myślę, już mniej – tego skrótu oznaczającego, że ktoś żyje. W czatach czy prywatnych rozmowach. Nie godzę się na przywłaszczanie wojskowej leksyki przez cywilnych.

Rozmawiamy w czwartą rocznicę pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Gdzie wojna Panią zastała?

Pełnoskalową wojnę zastałam w Charkowie. Byłam wtedy studentką Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale z powodu pandemii koronawirusa przez większość czasu zajęcia odbywały się w trybie online. Kiedy zaczęła się pandemia i granice się zamykały, zdążyłam wrócić do Ukrainy. Moja rodzina mieszkała w Charkowie, więc po prostu przyjechałam do domu. O ile to można nazwać domem.

Czułam, że wojna na pełną skalę wybuchnie, to wisiało w powietrzu. Może przez to, że mam doświadczenie donieckie i moja wizja przyszłości była budowana na tym, co już zobaczyłam. Dziwiłam się znajomym, którzy mówili, że są w jakimś sensie zaskoczeni. Dla mnie pełnoskalowa wojna rozpoczęła się dwa dni wcześniej, kiedy Putin oficjalnie okupował obwody doniecki i ługański. Wtedy zrozumiałam, że zostałam bezpowrotnie bezdomna, że mój dom jest ostatecznie okupowany przez inne państwo. Do 24 lutego śniła mi się wojna, w ogóle w nocy na 24 lutego nie spałam. A później, już po wybuchu wojny, przestała mi się śnić…

…Koszmar się urzeczywistnił.

Ale muszę przyznać, że chociaż byłam na tę wojnę poniekąd gotowa,

eprasa.pl 7d207e4b08

nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak będzie wyglądała rzeczywistość. Niszczone miasta, dosłowny gwałt. Jakoś tak po staremu.

Co to znaczy „po staremu"?

Na początku wojna nie była nowoczesna. Spotkaliśmy się z tym, co znaliśmy z historii, literatury, podręczników – niszczenie i gwałt. Kiedy jeszcze nie było dronów, a w Charkowie słychać było po prostu nad głową gwizd myśliwców – i zrozumiałam, że właśnie w tym momencie w środku myśliwca siedzi żywy człowiek, który dokonuje wyboru, żeby zabić.

To bardzo dziwny czas, bo z jednej strony niby to znamy, a z drugiej nie jesteśmy przecież w stanie pojąć tego, co się dzieje. Z jednej strony niby podręczniki już to opisały, z drugiej – na fizycznym poziomie nie można być na to gotowym.

A wojna z 2014 roku? Zastała Panią w Doniecku?

Moja historia jest skomplikowana. W 2013 roku, jeszcze przed Majdanem i rewolucją godności, przed początkiem wojny i aneksją Krymu, zaczęłam studia w Instytucie Literackim imienia Maksyma Gorkiego w Moskwie, gdzie między innymi studiował Jurij Andruchowycz i gdzie później napisał słynną *Moscoviadę. Powieść grozy*. Moim ojczystym językiem był rosyjski, przede mną w mojej rodzinie nikt nie mówił po ukraińsku. Od dziecka pisałam po rosyjsku, ale w roku 2014 poczułam, że więcej nie mogę i nie chcę pisać poezji po rosyjsku, w dość naturalny sposób przeszłam na ukraiński. Nie było to dla mnie traumatyczne doświadczenie, nie czułam się obca, robiłam to w zgodzie ze sobą, świadomie.

Do Doniecka przyjechałam zimą 2014 roku. Odwiedzałam chorą mamę, a zobaczyłam początek wojny. Moja rodzina, oczywiście, postanowiła wyjechać z Doniecka. Lato 2014 roku spędziłam w Odessie i wydawało mi się, że Odessa może być następna po Krymie.

Wróćmy na chwilę do roku 2022. Czy po wybuchu pełnoskalowej wojny wyjechała Pani do Polski?

Nie. Nie chciałam wyjeżdżać nawet z Charkowa. Jednak po dziesięciu dniach ostrzałów, 4 marca, wyjechaliśmy z rodzicami do Dniepra, po tym, jak budynek, gdzie przez lata wynajmowaliśmy mieszkanie, został uszkodzony falą wybuchową. W Dnieprze czułam potrzebę pomocy innym, prowadziłam zajęcia z arteterapii dla dzieci uchodźców. Już w kwietniu wyjechałam sama do Lwowa, gdzie spędziłam blisko cztery miesiące. Pierwszy mój wyjazd za granicę był latem – na poetycki festiwal w Brnie i letnią szkołę dla kulturoznawców, socjologów i historyków w Budapeszcie. Później przeprowadziłam się już do Kijowa i tam zamieszkałam. W 2023 roku Żydowskie Muzeum Galicja w Krakowie zaproponowało mi udział w projekcie związanym z ukra-

eprasa.pl 7d207e4b08

ińskimi uchodźcami. Teraz mieszkam w dwóch krajach: pół roku w Polsce, pół w Ukrainie.

Mieszkała Pani w wielu miejscach w Ukrainie. Koledzy i koleżanki z jej zachodnich części często mówią mi, że dopiero teraz widzą, jak szkodliwy był podział na Ukrainę wschodnią i zachodnią. Że ta wojna pozwoliła im paradoksalnie docenić znaczenie wschodnich obwodów. Jak Pani na to patrzy?

Odpowiem na to pytanie w ten sposób: urodziłam się w niepodległej Ukrainie. Moje pokolenie, nawet jeśli zrusyfikowane, jest dwujęzyczne. To zostało w nas zakodowane, w przeciwieństwie na przykład do pokolenia moich rodziców. Poza tym moje myślenie o Ukrainie obejmuje całość: Krym, zachodnią i centralną Ukrainę. Dla mnie podział na Ukrainę wschodnią i zachodnią jest geograficzną koniecznością. I bardzo bym sobie życzyła, żeby to pozostało tylko kwestią geografii, ale nie wiem, ile lat musi minąć, żeby tego podziału nie było w mentalności, żeby nie korzystała na nim Rosja. Podział językowy i religijny właśnie Rosja wykorzystuje najbardziej, bo na tym najłatwiej jest robić propagandę. Podział jest podstawowym narzędziem propagandy. Kiedy wybuchła wojna i ludzie ze wschodniej części Ukrainy przyjeżdżali do, powiedzmy, Lwowa – okazywało się jednak, że spotkanie twarzą w twarz nie jest tak straszne, jak je malowała rosyjska propaganda.

Ostatnio ukazała się książka Tomasza Ferenca *Trwoga powietrzna. Ukraińscy artyści i instytucje kultury w czasie wojny* ze wstępem Pani autorstwa. Napisała tam Pani coś, co mnie bardzo poruszyło – mianowicie „trwoga powietrzna" powoduje „strach przed niebem". Chciałabym, żeby Pani to sformułowanie, tę emocję rozwinęła.

Patrzę na to z dwóch perspektyw – z dzisiejszej i z przeszłości, z 2022 roku. Pamiętam te momenty w Charkowie podczas nalotów, kiedy patrzyłam w niebo i czułam strach. Człowiek nie powinien czuć strachu przed niebem.

To zresztą dziwne, bo kiedy słyszałam alarm na przykład w bezpieczniejszym Dnieprze, to wiedziałam, że świat jest bezpieczniejszy, niż za chwilę będzie. W Charkowie w ogóle nie było alarmów, on by się pewnie nie wyłączał…

Przyznam się Pani, że od początku wojny na pełną skalę też z niepokojem patrzę w niebo. Zwłaszcza w 2022 roku, kiedy śmigłowce latały nisko, słychać było nadlatujące samoloty, czułam się przerażona.

Mieszkam mniej więcej pół roku w Polsce, pół roku w Kijowie i muszę przyznać, że w dzisiejszym kontekście te dźwięki budzą we mnie większy strach w Polsce niż w Ukrainie.

eprasa.pl 7d207e4b08



Z archiwum Anny Gruver

Przeszłość bez wojny staje się coraz bardziej mglista. Nigdy nie zapomnę momentu, kiedy w naszym języku zamieszkało słowo „czołg". Do tej pory było to wyrażenie raczej książkowe, póki czołgi nie pojawiły się dosłownie pod naszym domem.

W pewnym sensie, bo wyrwane z wojennej rzeczywistości, z wojennego kontekstu, wśród pozornie spokojnego świata. Właśnie to mi przypomina, że spokój dzisiaj może być tylko pozorem.

A co miała Pani na myśli, pisząc, że żyjemy w świecie, „w którym życie i śmierć przestają być dualizmem i przeplatają się w inne konfiguracje".

To oczywiście wstęp do książki i do pojęć z tego tekstu, a konkretnie koncepcji *Świata życia* i *Świata śmierci*, do których odwołuje Tomasz Ferenc, ale powiem o jednej sprawie. Wydaje mi się, że tłumacząc tę wojnę od co najmniej czterech lat innym krajom, przekładając ją na inne języki, inne kultury, złagodziliśmy język opisu, żeby uczynić go bardziej zrozumiałym. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy z tym skończyć.

To znaczy?

Sposób, w którym rozmawiamy o pewnych rzeczach w Ukrainie, różni się od tego, którym mówimy „na eks-

eprasa.pl 7d207e4b08

port". W języku ukraińskim słowa są dla mnie jak kamienie, w tym sensie, że kiedy mówimy „życie", to życie nabiera ciężaru, kiedy mówimy „śmierć", to śmierć nabiera ciężaru. Z jednej strony jestem więc w stanie zrozumieć boom ukraińskiej poezji, szukanie słów na opisanie tego, co się dzieje, z drugiej – mam tyle samo zrozumienia dla osób, które nadal nie mogą pisać.

Czy to znaczy, że język „na eksport" jest mniej dosadny niż ten, którym mówicie w Ukrainie? To bardzo ciekawe.

Nie chciałabym, żeby coś brzmiało zbyt okrutnie. Chodzi mi o to, że mamy coś takiego jak „język domowy", słowa, które są zrozumiałe tylko dla rodziny. I od razu dodam, że nie przepadam za metaforą rodziny, bo Rosja ją bardzo lubi, tę koncepcję „młodszych sióstr i braci" i ta „rodzina" doprowadziła do wojny. Dlatego robię zastrzeżenie, że metafora rodziny może być niebezpieczna. Wydaje mi się jednak, że nasz język domowy jest bardziej ironiczny.

Kiedy byłam w grudniu w Kijowie, rozmawialiśmy ze znajomymi, że mamy dość różnych metafor, ja powiedziałam, że mam dość metafory „światła" i wtedy wyłączył się prąd. No nie o to mi chodziło, kiedy mówiłam, że mam dość tych metafor.

Tak naprawdę trudno mi wytłumaczyć wprost to, co się dzieje w sercu Europy. Przez cztery lata.

A wydaje się Pani, że literatura, pisanie ma dziś jakąkolwiek sprawczość?

Jestem po stronie tych, którzy twierdzą, że wartość tego, co zostało napisane podczas wojny, zostanie doceniona, wejdzie do historii literatury dopiero po wojnie. Na pewno nie będzie to wszystko. I czuję, że przetrwa poezja, że ona nas ocali, mówiąc językiem Czesława Miłosza.

Powiem szczerze, że nie mogę oprzeć się wrażeniu, a może bardziej pozbyć się takiej myśli, że wszystko, co powstaje obecnie w ukraińskiej literaturze, jest o wojnie.

Tak, ostatnio siedzieliśmy ze znajomym poetą i zastanawialiśmy się, czy potrafimy wymienić choć jeden tom poetycki, który nie jest o wojnie. Nie znaleźliśmy takiego. A może tak naprawdę należałoby zapytać, czy to, co teraz jest o wojnie, będzie o wojnie nadal, kiedy ona się skończy, czy czytelnicy będą wciąż czytać to jako twórczość o wojnie. Czy z czasem może to nabierze innych sensów? Tak się dzieje. Poezja obrasta nowymi sensami. Być może nowe pokolenia będą miały zupełnie inne skojarzenia. Ale to dotyczy poezji, prozy w mniejszym stopniu. Kiedy czytam wiersze, odnoszę wrażenie, że czytam jeden ogromny poemat, do którego każda poetka, każdy poeta dokłada nową gałąź. To jest opowieść przesiąknięta

eprasa.pl 7d207e4b08

wojną. Daleka od języka wojennego, ale przesiąknięta nim na wskroś. To w pewnym sensie jest też poświęcenie swojej autorskości.

Poświęcenie swojego indywidualnego głosu na rzecz tego, że piszemy we wspólnej sprawie, dobrze rozumiem?

Głosu może nie, ale pewne takie poświęcenie raczej tematyczne. Ostatnio rozmawiałam z ukraińskim filozofem Wachtangiem Kebuladze, który powiedział, że śmierć jest najintymniejszą rzeczą w życiu. Myślę, że poezja jest obok śmierci. Nie piszemy na inne tematy albo część z nas nie może pisać w ogóle. Dla mnie milczenie niektórych osób jest znaczące. Tak jak cisza w muzyce jest pauzą, tak milczenie jest częścią mówienia. Wiktoria Amelina napisała wiersz o tym, że poezja to wolontariuszka w Charkowie. Mnie się wydaje, że język poetycki bywa mądrzejszy od nas.

Jakie milczące głosy ma Pani na myśli?

Przez długi czas na przykład Ostap Sływyński nie pisał wierszy, brakuje nowych wierszy Serhija Żadana… Ale najbardziej brakuje mi wierszy ludzi, którzy po prostu już więcej nigdy nic nie napiszą. I chodzi mi o naszych zmarłych żołnierzy i tych żołnierzy, którzy może jeszcze nie byli poetami, a mogliby nimi zostać.

Nurtuje mnie nadal sprawa języka domowego i tego – jak Pani nazwała – na eksport, słów, które trzeba tłumaczyć na inne języki. Z czym Pani ma największy problem? Język domowy, jak rozumiem, jest zrozumiały i wypracowywany od wielu lat. A na przykład w polszczyźnie pewnych określeń nie ma albo są zakurzone i zapomniane.

Ma Pani rację, często słowa, których używamy, są zakurzone, leżą pod gruzami II wojny światowej. Czym innym jest ukraińska „trwoga powietrzna", czym innym – „alarm". W języku ukraińskim „trwoga" ma wiele konotacji, jest to słowo niepokojące, złowieszcze. Rozumiem to, co pisał Walter Benjamin o zadaniu tłumacza, ale są słowa, które dla mnie funkcjonują tylko w języku ukraińskim.

Na przykład?

Po ukraińsku funkcjonuje słowo *безвісти*, bezwist.

„Poległy bez wieści". Ale to rzeczywiście nie to samo. Po ukraińsku jest krótko i dosadnie.

Jest tego bardzo dużo. Jeńcy wojenni. *Blackout*. Pamiętam, jak próbowałam wyjaśnić polskim znajomym, co to znaczy, że to nie jest zwykła przerwa w dostawie prądu. To brak światła, ogrzewania, ciepłej wody, możliwości doładowania telefonu… Wiem, że oni próbowali to naprawdę zrozumieć.

eprasa.pl 7d207e4b08

Ja na przykład dalej nie znajduję w języku polskim dobrego tłumaczenia na *побратими*, *посестри* – bracia i siostry z wojska to nie do końca ta energia.

W ogóle nie lubię, kiedy język cywilny wykrzywia sensy języka wojskowego, żołnierskiego. Uważam, że nie mamy do tego prawa. Jeśli ktoś używa tych słów, to powinien czuć – proszę wybaczyć patetyczność moich słów – że są one nasycone krwią. I że to nie jest obca krew.

W Ukrainie mówi się, że „front" jest zarezerwowany wyłącznie na front. Nie używa się tego słowa w innym kontekście.

Tak, choć jest też inicjatywa Sił Zbrojnych Ukrainy, która się nazywa Kulturalny Front. Chodzi o to, że jeśli ktoś ma prawo do zmian językowych, to właśnie odpowiednie osoby. To od nich musi wychodzić inicjatywa. I nie chodzi mi o żadną cenzurę. A o szacunek, empatię i miłość. Wymaga to zrozumienia, czym jest front, czym jest poświęcenie. Bo tu chodzi o poświęcenie najważniejszego – życia.

Anna Gruver jest ukraińską pisarką, poetką, eseistką i tłumaczką. Członkini Ukraińskiego PEN Clubu. Jest autorką tomu poezji *За вашим запитом нічого не знайдено* („Nic nie znaleziono na Twoje żądanie"), debiutanckiej powieści *Її порожні місця* („Jej puste miejsca") i powieści *Нерухомість* („Nieruchomość"). Jest redaktorką i autorką komentarzy do książki pamięci Ihora Kozłowskiego *Вільний у полоні* („Wolny w więzieniu"). Jej wiersze zostały przetłumaczone m.in. na języki angielski, francuski, niemiecki, polski, czeski i hebrajski.

eprasa.pl 7d207e4b08

Rosja ropą stoi

Marcin Kaczmarski

Amerykańsko-izraelska wojna z Iranem, rozpoczęta w ostatnim dniu lutego, okazała się kolejnym ciosem w status Rosji jako globalnego mocarstwa. W ciągu ostatnich kilku lat okazało się, że Moskwa ponownie nie potrafi obronić swoich klientów.

Jednak upadek reżimu Baszara al-Asada w Syrii w grudniu 2024 roku, który zapoczątkował ten trend, nastąpił bez większego udziału USA i mógł być przypisany odwróceniu uwagi Kremla od Bliskiego Wschodu przez wojnę przeciwko Ukrainie. Porwanie Nicolasa Maduro, lidera Wenezueli, a przede wszystkim bombardowania Iranu, są owocem decyzji podjętych w Waszyngtonie. Co więcej, Putin nie wydaje się mieć jakiegokolwiek wpływu na zachowanie Donalda Trumpa na arenie międzynarodowej. Dlaczego zatem mamy nieodparte wrażenie, że ta wojna będzie korzystna dla Kremla?

Z punktu widzenia rosyjskiej elity bliska współpraca z Iranem zawsze była wypadkową relacji dwustronnych na linii Moskwa–Teheran i temperatury w stosunkach rosyjsko-amerykańskich. Kreml był nieustająco gotowy do ograniczania zakresu tej współpracy, jeśli mógł w zamian uzyskać korzyści od Waszyngtonu w innych sferach. Najbardziej było to widoczne w dekadzie lat dwutysięcznych, kiedy Moskwa uzależniała zarówno sprzedaż uzbrojenia przeciwlotniczego (S-300), jak i poparcie dla antyirańskich sankcji w Radzie Bezpieczeństwa ONZ od koncesji amerykańskich. Grożenie zacieśnieniem współpracy z Iranem było też świetnym sposobem uczulenia innych państw w regionie Bliskiego Wschodu na rosyjskie interesy. Zarówno Izrael, jak i Arabia Saudyjska szukały sposobu przekonania Moskwy do nieprzekraczania pewnych granic we współpracy z Teheranem.

Jednocześnie należy przyznać, że ta elastyczność zaczęła znikać w poprzedniej dekadzie. W 2016 roku Moskwa po cichu dostarczyła Irańczykom obiecane S-300 (nawet jeśli nie pomogły one przeciwko izraelskiemu lotnictwu w trakcie wojny dwunastodniowej w ubiegłym roku). Od 2019 roku regularnie odbywały się trójstronne ćwiczenia morskie marynarek wojennych z Rosji, Chin i Iranu. W 2024 roku Iran został nawet przyjęty do Szanghajskiej Organizacji Współpracy, mimo że wcześniej Moskwa i Pekin odmawiały mu pełnego członkostwa, tłumacząc to międzynarodowymi sankcjami. Nieco ponad rok temu Rosja i Iran podpisały nawet traktat

eprasa.pl 7d207e4b08

o strategicznym partnerstwie, mający demonstrować nową jakość relacji. Nic z tego nie przekonało Moskwy do bardziej aktywnej obrony Iranu ani w trakcie wojny w 2025 roku, ani rok później.

Ta bierność może wynikać z dwóch przyczyn – braku woli politycznej i braku środków. Ta pierwsza wiąże się z chęcią utrzymania prezydenta Trumpa po swojej stronie w nadziei, że jego sympatia dla Władimira Putina w końcu przełoży się na korzystny dla Rosji koniec wojny z Ukrainą. Presja Trumpa na Kijów jest niezbędna dla osiągnięcia przez Moskwę swoich celów wobec skutecznego oporu wojsk ukraińskich na froncie. Z tego punktu widzenia Iran jest zbyt odległym problemem. Ale jednocześnie Moskwa nie ma zbyt wielu narzędzi, by obronić Iran albo wymusić na Waszyngtonie zmianę polityki wobec tego państwa. Ponownie – wojna z Ukrainą angażuje dużą część zasobów militarnych i uwagi.

Wzrost cen ropy oznacza przypływ gotówki do rosyjskiego budżetu w momencie, kiedy gospodarka zaczęła naprawdę odczuwać koszty wojny z Ukrainą i sankcji zachodnich.

W ten sposób dochodzimy do kwestii cen ropy i głównej korzyści, jaką Moskwa wyciąga z wojny, niezależnie od wszelkiej maści strat wizerunkowych. Wzrost cen ropy, połączony z gotowością USA do zawieszenia sankcji i ograniczeń na sprzedaż rosyjskiej ropy, oznacza przypływ gotówki do rosyjskiego budżetu w momencie, kiedy gospodarka zaczęła naprawdę odczuwać koszty wojny z Ukrainą i sankcji zachodnich. Im dłużej potrwa blokada Cieśniny Ormuz, tym większe będą wpływy do budżetu Kremla i tym łatwiejsza kontynuacja agresji wobec kraju nad Dnieprem. Sektor gazu skroplonego w Rosji (czytaj: firma Nowatek) też odniesie korzyści, ale nie będą one aż tak duże dla budżetu.

W pewnym sensie wojna amerykańsko-irańska pokazuje rzeczywiste miejsce Rosji w dzisiejszym porządku międzynarodowym – rewizjonistycznego aktora, którego całość polityki zagranicznej napędza sprzedaż ropy naftowej. Nawet jeśli mocarstwowość globalna jest „wioską potiomkinowską", dochody z ropy są na tyle realne, by spędzać sen z powiek krajom sąsiadującym z Rosją.

Marcin Kaczmarski jest analitykiem, byłym pracownikiem Ośrodka Studiów Wschodnich, zajmuje się m.in. kwestiami energetyki.

eprasa.pl 7d207e4b08

Ukraina
Mocne karty

Piotr Andrusieczko

„Od czterech lat patrzymy na rozgwieżdżone niebo i wypowiadamy najskrytsze życzenie, ale są kraje, gdzie z nieba spadają nie gwiazdy, lecz rakiety i drony. W imię naszej przyszłości, w imię dzieci, powstrzymajcie wszystkie wojny. Teraz".

Te słowa wypowiedział rosyjski współreżyser filmu *Pan nikt przeciwko Putinowi*, który zdobył nagrodę w kategorii najlepszy pełnometrażowy film dokumentalny. Z oscarowej sceny nie padło, na jakie kraje spadają bomby i drony. I do kogo skierowany był apel o powstrzymanie wojen.

Ukrainę wspomniano tylko raz, ogłaszając, że Sean Penn zdobył Oscara za najlepszą drugoplanową rolę męską. Na ceremonii aktora zabrakło, bo – jak stwierdzono – pojechał do Ukrainy (*de facto* był na froncie). Artysta od początku rosyjskiej agresji wskazuje różnicę między dobrem i złem.

Nagrodzenie kolejnego „rosyjskiego" filmu (nawet jeśli pokazuje on prawdziwą stronę putinowskiego reżimu) nie wywołało pozytywnych emocji w Ukrainie. Decyzja potęguje raczej poczucie, że „dobrzy Rosjanie" kolejny raz starają się przekonać świat, iż mieszkańcy Rosji są też ofiarami konfliktu. Czy rzeczywiście?

Usprawiedliwienie

Z punktu widzenia Ukraińców – i nie tylko ich – film ukazujący działanie rosyjskiej propagandy nie odkrywa niczego nowego. Te mechanizmy są znane. Istnieje natomiast ryzyko, że może zostać wykorzystany do usprawiedliwienia Rosjan popierających wojnę bądź ruszających na front, by zabijać Ukraińców.

Niedawno rosyjskim sportowcom (pierwszy raz od 2022 roku) zezwolono na występy na paraolimpiadzie, walczyli pod swoją flagą. Po takiej samej przerwie kraj nad Wołgą został dopuszczony do udziału w Biennale w Wenecji.

Można powiedzieć, że Ukraińcy są przewrażliwieni. Może, że przesadzają. Tyle że mają do tego pełne prawo. Ponad cztery lata życia pod bombami to bardzo długo. Aż trudno uwierzyć, że Ukraińcom wciąż udaje się powstrzymywać rosyjską nawałę.

eprasa.pl 7d207e4b08

Ostatnia zima była dla mieszkańców Ukrainy, zwłaszcza Kijowa, niezwykle ciężka. Tysiące budynków pozbawiono ogrzewania, o braku energii elektrycznej nawet nie nadmieniam, do tego Ukraińcy już przywykli. Temperatura spadła poniżej minus 20 stopni Celsjusza. A mimo wszystko Kijowianie i Kijowianki przetrwali. Putinowska Rosja, pozbawiając ich energii elektrycznej i ogrzewania, kolejny raz pokazała, że zupełnie nie rozumie, co nimi kieruje. Ten sam błąd Moskwa popełniła, zakładając, że w ciągu kilku dni uda się zająć kraj nad Dnieprem. Ukraina miała skapitulować na sam widok rosyjskich czołgów.

Ta pomyłka kosztowała i nadal kosztuje Rosję drogo. Kolumny rosyjskich czołgów jadących na Kijów w 2022 roku płonęły, helikoptery elitarnych jednostek zestrzeliwano. Rosjanom nie udało się zrealizować żadnego z wyznaczonych celów swojej „specjalnej operacji wojskowej". Tysiące rosyjskich żołnierzy każdego miesiąca nadal ginie w walkach o kolejne kilometry wypalonej ziemi wschodniej Ukrainy. Rosyjskie elity polityczne dawno winny uznać to za porażkę. Nie stanie się tak w putinowskiej Rosji, gdzie wojna stała się główną siłą napędową reżimu.

Ukraina trwa i wygrywa wojnę z Rosją. Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której agresorowi po upływnie czerech lat nie udało się osiągnąć żadnego z celów?

Ukraińcy za opór i obronę swojej niezależności płacą ogromną cenę. Kiedy zakończy się wojna, radość przemiesza się z ciężką traumą. Uczuciem dominującym dziś jest zmęczenie. Od dawna nie ma już kolejek do centrów mobilizacyjnych. Wielu mężczyzn stara się uciec przed poborem. Tak było jednak od początku inwazji, żadne społeczeństwo nie jest przecież jednorodne, to jego aktywna część wyznacza kierunek zmian. W Ukrainie – w przeciwieństwie do Rosji – można było to zawsze obserwować. Wystarczy wspomnieć ukraińskie Majdany. Oczywiście ktoś może powtórzyć za rosyjską propagandą, że ludzie stali tam za pieniądze. Tylko, czy za pieniądze nieuzbrojeni ludzie będą szli przeciwko strzelającym snajperom, tak jak to było w lutym 2014 roku? Ci sami ludzie wyruszyli potem bronić kraju przed rosyjską agresją. Niektórzy z nich do dziś nie złożyli broni.

Siła „drugiej armii świata"

Dlatego to powszechne zmęczenie wojną nie jest równoznaczne z kapitulanckimi nastrojami. Ukraina trwa i mało tego – wygrywa wojnę z Rosją (to moja opinia). Bo jak inaczej nazwać sytuację, w której agresorowi po upływie czterech lat nie udało się osiągnąć żadnego z celów? A Ukraińcom udało się obronić swoją niepodległość.

eprasa.pl 7d207e4b08



Piotr Andrusieczko

Wojna w Ukrainie trwa cztery lata. Świat oburzał się jej pierwszymi ofiarami, później do nich przywykł. Pamiętajmy: konflikt codziennie zbiera krwawe żniwo.

Ukraińskie państwo funkcjonuje. Mimo alarmów i nalotów ludzie wstają rano i idą do pracy. Spotykają się w kawiarniach, próbują odpoczywać (co niekiedy służy za argument, że „prawdziwej wojny nie ma"). W Kijowie, nie mówiąc o miejscowościach bliżej frontu, jest ona odczuwalna. Przyznam się, że mieszkając w Ukrainie, mam problemy z opowiedzeniem, jak tu się żyje i funkcjonuje mimo trwającego od tylu lat konfliktu.

Niestety końca wojny nie widać, w dużej mierze jest to winą Zachodu. W 2022 roku nie tylko Rosja wierzyła, że szybko uda jej się pokonać Ukrainę. Wielu przywódców zachodnich państw uważało, że Ukraińcy nie obronią się przed „drugą armią świata".

Dziś Ukraina otrzymuje pomoc od Zachodu, ponieważ wśród zachodnich polityków widoczne jest zrozumienie, że tylko kraj nad Dnieprem oddziela stary kontynent od rosyjskiego zagrożenia. Europa została zmuszona do aktywniejszego zaangażowania się w konflikt nie tylko ze względu na rosyjski „apetyt", ale też na zmiany, które nastąpiły w amerykańskiej polityce.

Stany Zjednoczone pod przewodnictwem Donalda Trumpa wycofały się z pomocy Ukrainie. Trump, mówiąc o wojnie Rosji przeciwko Ukrainie, używa porówna-

eprasa.pl 7d207e4b08

nia do gry w karty. Jego zdaniem Rosja ma silne karty, a Ukraina nie ma ich wcale. Wydaje się jednak, że najsilniejszą kartą w rękach Putina jest sam Trump.

Dziś Ukraina udowadnia, że jest w stanie nie tylko zadawać Rosjanom duże straty na froncie, ale też skutecznie prowadzić naloty na terytorium Rosji. Ukraińskie drony dalekiego zasięgu coraz częściej niszczą rosyjskie zakłady zbrojeniowe oraz rafinerie, a to ich działalność finansuje wojnę.

Wojna Stanów Zjednoczonych i Izraela z Iranem stwarza dla Ukrainy kolejne ryzyka. Rosnące ceny paliwa zwiększają wpływy do rosyjskiego budżetu, mniej dostępne jest także uzbrojenie, którego Ukraina potrzebuje, by odpierać rosyjskie ataki powietrzne.

A jednak ukraińska obrona przeciwlotnicza od jesieni 2022 roku codziennie broni kraju przed atakami dronów (pierwsze z nich były zresztą produkcji irańskiej). Później Shahedy 136 powstawały już na terytorium Rosji jako Gierań 2. To te same drony, którymi Iran odpowiada na uderzenia USA i Izraela oraz atakuje nimi sąsiednie państwa.

Ukraińscy wojskowi mają największe doświadczenie w ich zwalczaniu, posiadają także antydronowe uzbrojenie własnej produkcji. Kijów wysłał więc na Bliski Wschód ponad dwustu specjalistów, którzy mają pomóc tamtejszym krajom w obronie przeciwko irańskim samolotom bezzałogowym. Oczywiście jest to decyzja polityczna, ale pokazuje, że Ukraina posiada mocne „karty", mimo że amerykańska administracja stara się je ignorować.

Piotr Andrusieczko jest dziennikarzem, korespondentem „Gazety Wyborczej" w Kijowie, stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią".

eprasa.pl 7d207e4b08

Paderewski w Pendolino

Kacper Wańczyk

Słuchając niedawnego sejmowego przemówienia ministra Radosława Sikorskiego, można poczuć dużą dozę rozczarowania. Brak pomysłu na politykę wobec Białorusi, przywołanie Mołdawii jako zabieg oratorski, zaś Ukraina została wyróżniona jako ogólny obraz polskiego sukcesu. Jak na osobę odpowiadającą za politykę zagraniczną kraju szczycącego się swoją „wschodnią specjalizacją" to nad wyraz mało.

Radosław Sikorski, wicepremier i minister spraw zagranicznych Polski, wygłosił 26 lutego wystąpienie o polskiej polityce zagranicznej. Było to sejmowe przemówienie osoby odpowiedzialnej za dział „polityka zagraniczna", które powinno być wyjaśnieniem założeń polskiej polityki zagranicznej na dany rok. Jak podkreślił minister, było to jego dziesiąte *exposé*. Tak bowiem określa się tego typu wystąpienie, choć nazwa ta zarezerwowana jest dla przemówienia szefowej lub szefa Rady Ministrów, wygłaszanego przed organem ustawodawczym i zawierającego informacje o głównych kierunkach polityki całego rządu.

Termin *exposé* wywodzi się z tradycji przedwojennej. W 1919 roku (dokładnie 20 lutego) Ignacy Jan Paderewski, który łączył stanowisko premiera (a właściwie prezydenta ministrów) ze stanowiskiem ministra spraw zagranicznych, wystąpił przed Sejmem Ustawodawczym z prezentacją głównych elementów polityki swego rządu. Biorąc pod uwagę sytuację II Rzeczypospolitej, zasadnicza część jego wystąpienia była poświęcona sprawom zagranicznym. Stąd doszło do połączenia tych dwóch elementów w późniejszych prezentacjach przed organem ustawodawczym III Rzeczypospolitej. Przy tym osoba szefująca Ministerstwu Spraw Zagranicznych może przez chwilę poczuć się, jakby sterowała polskim rządem.

Polska sunie tylko jednym torem

Paderewski mówił bardzo ładnym językiem. Otworzył swe *exposé* słowami: „Spoglądając na to dostojno-poselskie koło, na te nasze kochane kmiecie-kołodzieje, radują się polskie źrenice, podczas gdy jednak w sercach naszych zamieszkuje wciąż

eprasa.pl 7d207e4b08

jeszcze niepokój i trwoga". Za tymi malowniczymi obrazami krył się konkretny cel polityczny i administracyjny. Opisując trudną sytuację Polski – w szczególności w kontekście jej bezpieczeństwa – prezydent ministrów zmierzał do skłonienia Sejmu, by przegłosował ustawę o powszechnym poborze do wojska. Dotąd tworzenie armii odradzającej się Polski opierało się na ochotnikach i cząstkowych poborach w niektórych regionach kraju. Izba ustawodawcza 7 marca 1919 roku przyjęła uchwałę o utworzeniu pełnoprawnej armii, złożonej z pół miliona żołnierzy poborowych. Miesiąc później zaczęła się wojna polsko-rosyjska.

Wystąpienie Sikorskiego, wygłoszone przeszło sto siedem lat po *exposé* z 1919 roku, nie dotyczyło aż tak dramatycznej sytuacji, w jakiej wtedy przemawiał Paderewski. Polska część Śląska Cieszyńskiego nie jest zagrożona przez armię czechosłowacką. Fakt, że problem ten rozpalał dusze posłów Sejmu Ustawodawczego, a dziś nie zaprząta nikomu głowy, pokazuje, że w świecie zachodzą zmiany.

Jednak ze światem drugiej dekady XX wieku łączy nas poczucie chaosu, w którym giną stare struktury i tworzą się nowe. W wystąpieniu ministra-wicepremiera wielokrotnie powracał motyw czasu. Świat zmienia się, stare schematy, w których potrafiliśmy funkcjonować, już się nie sprawdzają.

„Świat gna do przodu jak Pendolino" – powiedział Sikorski. Słuchałem nagrania jego wystąpienia w Pendolino mknącym z Warszawy do Krakowa. Jednak im dłużej słuchałem, tym bardziej niepokoiła mnie ta kolejowa metafora. Choć minister mówił o końcu dawnych struktur, o nowych rozwiązaniach, to jego odpowiedź na niestabilną rzeczywistość brzmiała jak bardzo stara recepta.

Choć narracja podkreślająca słabość Kremla jest oczywiście słuszna, jej ciągłe stosowanie każe zastanowić się, czy warszawscy decydenci i decydentki potrafią obiektywnie ocenić sytuację we wrogim kraju.

Kluczowym dla polskiego polityka słowem było „bezpieczeństwo" – od niego zaczął swe wystąpienie minister Sikorski. Stwierdził, że bezpieczeństwo jest podstawą realizacji innych zadań państwa i to założenie modelowało całe myślenie, które przedstawiał w swoim przemówieniu. To bardzo tradycyjne podejście do funkcjonowania państwa, często stosowane przez polityczki i polityków, gdy chcą ograniczyć wolności społeczne i przejąć państwowe zasoby dla siebie. I jak to zazwyczaj działo się w polskiej polityce głównego nurtu, osoby podkreślające znaczenie bezpieczeństwa, jego źródło w stosunkach międzynarodowych, widzą w kraju, którego władze tradycyjnie wolą bezpieczeństwo rządzących od dobrobytu społeczeństwa – USA. Uczucie to (bo przecież nie była to racjonalna analiza) minister wyraził, mówiąc, że Stany Zjednoczone są mocarstwem wyjątkowym, „hegemonem przyjaznym".

eprasa.pl 7d207e4b08

Nie dziwi więc, że choć Unia Europejska pojawiała się wielokrotnie na ustach Sikorskiego, to przede wszystkim wtedy, kiedy chciał dogryźć swym dawnym koleżankom i kolegom z Prawa i Sprawiedliwości. Elementy wystąpienia związane z funkcjonowaniem Polski w Unii służyły krytyce antyniemieckich lęków prawej strony polskiej sceny politycznej oraz podkreślania znaczenia Warszawy w tej strukturze. Zgrabnym retorycznym zabiegiem było przypomnienie, że jeden z ojców założycieli Wspólnoty, Robert Schumann, był konserwatystą i wierzącym katolikiem, któremu papież Franciszek otworzył drogę do beatyfikacji.

Niezależnie jednak od szeregu zmian, jakie zaszły w unijnej polityce zagranicznej i bezpieczeństwa w ostatnim roku, Sikorski wciąż upatruje w NATO, pod amerykańskim przywództwem, jedynego ratunku dla Polski. Wybrzmiało to we fragmencie wystąpienia, w którym mówi, że polskie bezpieczeństwo opiera się na dwóch ważnych filarach – UE i NATO. „Ale przede wszystkim NATO" – dodał szybko. Choć więc przyszłość należy do szybkich kolei, Polska ma jechać jedynie kołami po jednym torze.

Ad orientem lux

Dla nikogo nie stanowiło chyba zaskoczenia, że jako podstawowe zagrożenie Sikorski wskazał Rosję – tradycyjnie, jak we wszystkich swych przemówieniach skierowanych wobec Moskwy. Kpił z przedłużającej się rosyjskiej agresji na Ukrainę, mówiąc, że trwa dłużej niż wojna ZSRR z dawnym sojusznikiem, nazistowskimi Niemcami. Dodał też, że przez nadmierne finansowanie sektora zbrojeniowego „Putin doprowadzi do bankructwa Rosji, tak jak Breżniew". Choć narracja podkreślająca słabość Kremla jest oczywiście słuszna, jej ciągłe stosowanie każe zastanowić się, czy warszawscy decydenci i decydentki potrafią obiektywnie ocenić sytuację we wrogim kraju.

Proponowana przez Sikorskiego polityka wobec Moskwy była tak tradycyjna, że prawie widziałem kurz unoszący się z kartki trzymanej przez ministra. W stu dwudziestą rocznicę urodzin Jerzego Giedroycia przywołał jego słowa o tym, że Polska musi za wszelką cenę utrzymać niepodległość Ukrainy, Litwy i Białorusi. Cień „księcia z Maisons-Laffitte" unosi się nad polską polityką wschodnią od dekad, wciąż pozwalają nadwiślańskim polityczkom i politykom patrzeć na wschodnie sąsiedztwo z pewną dozą wyższości. Białoruś, Mołdawia czy Ukraina to dla politycznej Warszawy kraje, które bez pomocnej polskiej dłoni sobie nie poradzą.

Wymownym dowodem na to było niemal całkowite zignorowanie przez Sikorskiego społeczeństwa białoruskiego czy białoruskich władz. Białorusinki i Białorusini pojawili się w przemówieniu tylko przy okazji opowieści o przyznaniu przez polski

eprasa.pl 7d207e4b08

MSZ Nagrody Solidarności im. Lecha Wałęsy kubańskiej obrończyni praw człowieka Bercie Soler Fernandez. Sikorski przy tej okazji wspomniał, że Polska wspiera obrońców praw człowieka na całym świecie, „także w Białorusi".

Pewnym zaskoczeniem był dla mnie fakt, że pierwszym krajem Partnerstwa Wschodniego, o którym wicepremier wspomniał, była Mołdawia. Początkowo liczyłem, że być może to sygnał jakiegoś przeformułowania polskiej polityki zagranicznej wobec krajów frankofonii. Było to jednak wygodne przejście od dyskusji na temat Unii Europejskiej do rozmowy o rosyjskiej agresji.

Exposé ministra Sikorskiego było, zgodnie z tytułem „Informacją Ministra Spraw Zagranicznych o zadaniach polskiej polityki zagranicznej w 2026 roku". Niczym więcej.

Ukrainie Sikorski poświęcił oczywiście najwięcej czasu. Mówił o niedawnym wsparciu udzielonym przez Polskę – polegało ono na kupnie i dostarczeniu generatorów prądotwórczych. „Gdy Rosja przynosi cierpienie, Polska przynosi ciepło" – podsumował. Podkreślał, że planowana w Gdańsku Konferencja Odbudowy Ukrainy pozwoli uczynić z Polski bramę do inwestycji w kraju nad Dnieprem. Podkreślał, że Kijów musi wypełnić zobowiązania wynikające z umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską, zanim będzie mógł rozpocząć proces akcesji do Unii. Warszawa jest gotowa w tym procesie pomóc.

Brak pomysłu na politykę wobec Białorusi, przywołanie Mołdawii jako zabieg oratorski, zaś Ukraina wyróżniona jako ogólny obraz polskiego sukcesu. Jak na osobę odpowiedzialną za politykę zagraniczną kraju szczycącego się „wschodnią specjalizacją" to nad wyraz mało.

Koleje różnych prędkości

Nieczęsto zdarza mi się jeździć Tanimi Liniami Kolejowymi. Ostatnio podróżowałem jednak z Warszawy do jednego z mniejszych miast Polski. Przypomniały mi się najlepsze czasy studenckie – ludzie siedzący w przejściach lub koło łazienek, nieszczególnie czystych, i przybycie pociągu do końcowej stacji z godzinnym opóźnieniem.

Jeśli *exposé* ministra Sikorskiego to emanacja polskiej dyplomacji, to próbuje ona gonić świat w Pendolino wagonem TLK. W momencie kluczowego sporu między Zachodem a Rosją konceptualne centrum polskiej polityki zagranicznej niczym ślimak zawija się do swej skorupy. Stawia na bezpieczeństwo za wszelką cenę, nawet za cenę elementów, które cechują społeczeństwa Zachodu i powinny odróżniać nas od rosyjskiego imperializmu.

eprasa.pl 7d207e4b08

Skoro zgadzamy się, że jesteśmy w egzystencjalnym konflikcie z Rosją, to nie możemy się do tej Rosji upodobnić. Gdy to uczynimy, przegramy. Naprzeciw hegemonii, hierarchii i agresji stanąć muszą demokracja, kooperacja i empatia. Tymczasem w przemówieniu Sikorskiego – znów, jak wielokrotnie wcześniej u innych polityczek i polityków – dało się słyszeć podważanie tej logiki.

Bazą tego myślenia jest wypowiedź o Karcie Narodów Zjednoczonych, która – wedle polityka dziś należącego do Platformy Obywatelskiej – jest jak dziesięć przykazań. Dekalog i Karta, zdaniem Sikorskiego, to zestawy zasad, które „nie zawsze są przestrzegane, ale zawsze powinny stanowić punkt odniesienia".

Sikorski nie przedstawił nowej wizji polityki zagranicznej, nie zaskoczył spektakularną analizą sytuacji międzynarodowej ani szczegółowym planem działań dyplomacji.

Ów relatywizm jest widoczny w kwestiach, które przemknęły niejako pobocznie, ale ujawniły niespójności myślenia ministra. Sikorski podkreślał, że nie można używać nazwy „flota cieni" na określenie okrętów wykorzystywanych przez Rosję do obchodzenia sankcji. Trzeba je raczej nazywać „flotą złomów" – ich stan techniczny czyni je niebezpiecznymi dla Bałtyku. Dlatego państwa Unii Europejskiej winny te statki zatrzymywać, grożą bowiem katastrofą ekologiczną. Ale ta proekologiczna postawa ma sens jedynie wtedy, gdy jest narzędziem politycznym wobec Rosji. Długoterminowa strategia zapewnienia bezpieczeństwa ekologicznego, jaką jest Zielony Ład Unii Europejskiej, nie ma dla Sikorskiego większej wartości. Cieszył się, że silna pozycja Warszawy we Wspólnocie pozwoliła na rozmycie tego projektu.

Podobnie wygląda sytuacja z osobami migrującymi przez polsko-białoruską granicę w nieuregulowany sposób. Minister dostrzegł zagrożenie związane z narastającymi w krajach europejskich nacjonalizmami. Z naciskiem mówi o tym, że gdy inne państwa obcinają wydatki na pomoc humanitarną, Polska coraz więcej wydaje na ten cel. Jednak ta humanitarna i antynacjonalistyczna postawa to tylko sposób na szermierkę słowną z PiS. Sikorski jest dumny z tego, że udało się przekonać Unię Europejską do co najmniej kontrowersyjnej polityki Warszawy wobec osób uciekających przed reżimami w swoich krajach.

Exposé ministra Sikorskiego było, zgodnie z tytułem „Informacją Ministra Spraw Zagranicznych o zadaniach polskiej polityki zagranicznej w 2026 roku". Niczym więcej. Sikorski nie przedstawił nowej wizji polityki zagranicznej, nie zaskoczył spektakularną analizą sytuacji międzynarodowej ani szczegółowym planem działań dyplomacji. To nie krytyka, to stwierdzenie faktu – nigdy bowiem te „informacje" nie miały charakteru strategicznego ani konceptualnego. Nie służyły nawet – jak *exposé*

eprasa.pl 7d207e4b08

Paderewskiego – walce o przegłosowanie konkretnej ustawy. Zawsze były częścią gry politycznej. Polityk wyróżnił się na tle innych jedynie inteligentnymi zabiegami oratorskimi.

Ten brak wizji ukonkretnionej w strategii nie jest więc nowością w polskiej polityce zagranicznej. Co więcej, nie jest wyjątkiem w polskiej administracji i polityce. Tworzenie strategii z określonymi celami i punktami odniesienia wymaga późniejszej oceny ich zrealizowania. Owa ocena zaś wymaga przyznania się do błędów – jeśli zostały one popełnione – i próby ich naprawy. Ale na drodze tych działań stoi to, co zawsze wyróżnia polityków i polityczki od całej reszty społeczeństwa – ego. Bez odpowiednich struktur wymagających, by osoby wybrane na wysokie stanowiska w państwie owe ego stłumiły, nie będziemy przygotowani na zagrożenia współczesności.

Niestabilność i chaos obecnego świata są z nami co najmniej od 2014 roku. Przez dwanaście lat osoby rządzące polityką zagraniczną Polski uważały, że wystarczy jedynie reagować na bieżące wydarzenia, stosując stare – niekoniecznie sprawdzone – metody. To jednak za mało, by utrzymać polityczne Pendolino stabilnie na obu torach. Przyszłość wymaga solidnego i długofalowego przygotowania, jak bowiem powiedział kiedyś Ignacy Jan Paderewski: „Prawdziwą umiejętność zarówno w nauce i w sztuce, jak i w każdych innych zajęciach, zdobyć można tylko codzienną pracą i codziennym wysiłkiem. I to jest bezwzględnie pewne”.

Kacper Wańczyk jest ekspertem Akademickiego Centrum Analiz Strategicznych, publicystą. Jego teksty ukazują się m.in. w „Nowej Europie Wschodniej” i OKO.Press. W latach 2007–2020 pracownik dyplomacji.

eprasa.pl 7d207e4b08

Rosja gra długofalowo
Zachód działa reaktywnie

Z Katarzyną Chawryło, ekspertką ds. Rosji w Ośrodku Studiów Wschodnich, autorką raportu *Urwać łeb hydrze*, rozmawia Agnieszka Żądło

AGNIESZKA ŻĄDŁO: W raporcie *Urwać łeb hydrze* pisze Pani o rosyjskiej dezinformacji jako systemowej części polityki państwa. Co dziś najbardziej odróżnia ją od klasycznej propagandy znanej z XX wieku?

KATARZYNA CHAWRYŁO: Mamy do czynienia z kontynuacją znanych metod, ale w o wiele bardziej rozbudowanej, zsynchronizowanej formie. Propaganda w wydaniu rosyjskim i sowieckim ma długą tradycję. Natomiast specyfika obecnego systemu polega na tym, że całość działań w polu informacyjnym – od propagandy, przez dezinformację, po operacje wpływu – jest bardzo ściśle spięta z innymi działaniami hybrydowymi oraz długofalowymi celami politycznymi państwa.

Rosja uważa, że jest w stanie wojny nie tylko z Ukrainą, ale również z Zachodem. To oznacza, że przekaz informacyjny jest stale intensyfikowany i w pełni podporządkowany logice działań państwa. W rosyjskim myśleniu informacja jest bronią, a pole informacyjne elementem pola walki.

Wspomina Pani, że dezinformacja nie jest oddzielnym zjawiskiem, tylko elementem szerszej strategii. Co to oznacza w praktyce?

Nie sposób mówić o dezinformacji w oderwaniu od innych działań, zwłaszcza hybrydowych. Ostatnie wydarzenia w Polsce – akty sabotażu, incydenty z dronami czy działania dywersyjne – świetnie to pokazują. Oprócz operacji kinetycznych Rosjanie równolegle kreują narracje, które mają pogłębić chaos, podważyć zaufanie do instytucji państwa czy zasiać nieufność wobec sojuszników. Nie chodzi im tylko o efekt operacyjny, ale o stworzenie określonego klimatu społecznego, który ma sprzyjać ich celom. Wszystkie te działania są ze sobą skoordynowane. To, co obserwujemy w rosyjskich mediach lub mediach wspierających rosyjskie narracje, nie jest spontaniczną reakcją, tylko zamierzoną i zaplanowaną operacją służącą realizacji polityki państwa.

Czy może Pani podać przykład?

Przy akcji „dronowej" w Polsce mieliśmy do czynienia z precyzyjnie skoordynowaną operacją o charakterze hybrydowym, w której działania fizyczne spleciono z natychmiastową kampanią informacyjną.

eprasa.pl 7d207e4b08

Rosyjskie media bywają zaskoczone niektórymi wydarzeniami, co można było zaobserwować na przykład w przypadku puczu Jewgienija Prigożyna czy ukraińskich operacji w obwodzie biełgorodzkim. Nie przygotowano wtedy odpowiedniej linii przekazu, co spowodowało chaos informacyjny. Jednak zdarzają się sytuacje, kiedy odpowiednia narracja pojawia się od razu. I tak było właśnie wtedy, gdy w nocy z 9 na 10 września 2025 roku kilkadziesiąt rosyjskich dronów naruszyło polską przestrzeń powietrzną.

Celem tego incydentu nie było tylko osiągnięcie efektu operacyjnego, czyli sprawdzenia reakcji służb, luk w systemie obronnym, wywołania lokalnego chaosu. Miał on również przygotować grunt pod określony przekaz propagandowy. Taki, który podsyci nieufność, wzmocni podziały oraz przetestuje odporność polskiego społeczeństwa na dezinformację.

Obserwowałam tę sytuację od wczesnych godzin porannych i nie mam wątpliwości, że Rosjanie byli na nią przygotowani. Narracja była spójna, rozpisana na głosy: od oficjalnych przedstawicieli państwa, przez media rządowe, po prorządowe kanały na Telegramie. Wszyscy od pierwszych minut powtarzali to samo – że za incydent odpowiadają Ukraińcy. Forsowano analogie do Przewodowa, podkreślano, że „Ukrainie nie można ufać", że „prowokuje, żeby wciągnąć Polskę i całe NATO do wojny". W dodatku wykorzystano Białorusinów, którzy rzekomo nas „uczciwie" ostrzegali.

Patrząc na liczbę incydentów hybrydowych w Polsce, można odnieść wrażenie, że Rosja szczególnie intensywnie nas bada.

Zdecydowanie. Skala tych działań jest duża i są one bardzo różnorodne. Ich cel – czy to wywoływanie napięć społecznych, skompromitowanie instytucji, czy próby ingerencji w wybory – jest zawsze taki sam: osłabienie państwa i jego relacji z sojusznikami.

Rosja widzi możliwości podsycania konfliktów, siania chaosu i destabilizacji. A że Polska jest jednym z najważniejszych partnerów Ukrainy, członkiem Unii Europejskiej i NATO, to naturalne, że poświęca nam dużo uwagi.

To jedyne powody?

W scenariuszu Kremla Polska miałaby stać się państwem „neutralnym", odsuniętym od konfliktu, co otworzyłoby Rosji drogę do realizowania kolejnych celów. Mówiono o tym wprost w żądaniach, które Rosjanie przedstawili Amerykanom w grudniu 2021 roku. Według ich planów zajęcie Ukrainy to jedynie początek. Celem jest przebudowa porządku bezpieczeństwa w Europie, która zakłada usunięcie infrastruktury NATO z Polski.

Nie można wykluczyć ani dalszych działań hybrydowych, które już obserwujemy, ani jawniejszych prób agresji z przekroczeniem granicy – choćby w formie trudnych do jednoznacznego przypisania incydentów militarnych. W skrajnym scenariuszu Rosja może testować także gotowość NATO, uderzając w któreś z państw

eprasa.pl 7d207e4b08

sojuszu. W tym kontekście zwykle wymieniane są kraje bałtyckie. Intensywność działań przeciwko Polsce, a także coraz większa złożoność nastrojów Polaków wobec Ukrainy i Rosji, każe zakładać, że również jesteśmy ważnym celem na rosyjskiej mapie. Myślę, że sytuacja jest dynamiczna i Rosjanie na bieżąco analizują możliwości i wrażliwości oddziaływania na Polskę i jej wykorzystania.

W wypowiedziach niektórych polityków faktycznie pojawiają się tezy bardziej zgodne z rosyjską narracją niż z faktycznym stanem rzeczy. Czasem trudno rozróżnić jednak, czy mówią je od siebie, czy powielają przekaz Kremla.

I to jest niepokojące. Jako osoba zajmująca się Rosją od lat, widzę z całą ostrością absurd sytuacji, w której niektóre osoby publiczne czy wręcz politycy potrafią wyrażać pretensje do Ukrainy, ale nie do Rosji, która tę wojnę wywołała. Rosjanie bardzo skrupulatnie analizują takie sygnały i starają się je wzmacniać, tworząc wrażenie, że dla Polski to „Ukraina jest problemem", a nie realny agresor, czyli Rosja. To nie jest neutralne – to jest wbrew interesom bezpieczeństwa Polski. I trzeba to bardzo jasno mówić. To jest też wbrew jakiejkolwiek logice tej wojny oraz wbrew historii.

Dziś, kiedy czytam niektóre komentarze i opinie, mam wrażenie, że część osób zaczyna postrzegać Ukrainę jako większe zagrożenie niż Rosję. Debata historyczna na przykład koncentruje się na Wołyniu, a o Katyniu mówi się bardzo niewiele. Tymczasem Rosja w ostatnich latach wróciła do sowieckiej narracji i znów zaczęła sugerować, że to Niemcy odpowiadają za tę zbrodnię. Wielu rosyjskich polityków i dziennikarzy uznało za błąd przyznanie się do odpowiedzialności za mord na polskich oficerach. Co więcej, według kremlowskich mediów i samego Putina to Polska jest odpowiedzialna za rozpętanie II wojny światowej i „nakłonienie" Niemców do Holokaustu. Rosjanie mówią wprost, że również dziś widzą w nas wroga, że „Warszawa to rosyjskie miasto". Tymczasem niektórzy zachodni, w tym polscy politycy, uparcie temu zaprzeczają…

Takie kampanie Moskwy, na różnych poziomach, prowadzone są na całym Zachodzie. Która z narracji najbardziej zagraża jego spójności?

Najgroźniejsze są te, które podważają zaufanie do instytucji państwowych i do sojuszników. Przykładowo: narracje o rozpadzie Zachodu, „zmęczeniu Ukrainą", tezy o tym, że pomoc Ukrainie to *de facto* agresja wobec pokojowo nastawionej Rosji. Jednak ocena ich skuteczności jest trudna, bo nie znamy dokładnych rosyjskich celów operacyjnych; można zakładać, że są one płynne. Czasem dopiero *post factum* widać, że jakieś działania przyniosły im realny sukces.

Po ponownym objęciu prezydentury przez Donalda Trumpa rosyjskie narracje po raz pierwszy na dużą skalę przeniknęły do głównego nurtu polityki amery-

eprasa.pl 7d207e4b08



archiwum Ośrodka Studiów Wschodnich

W scenariuszu Kremla Polska miałaby stać się państwem „neutralnym", odsuniętym od konfliktu, co otworzyłoby Rosji drogę do realizowania kolejnych celów. Mówiono o tym wprost w żądaniach, które Rosjanie przedstawili Amerykanom w grudniu 2021 roku.

kańskiej. Z Waszyngtonu zaczęły płynąć komunikaty wprost zgodne z przekazem Kremla, na przykład, „że Rosja chce pokoju", „że potrzebuje gwarancji bezpieczeństwa" albo że skoro Putin „zajął już jakieś terytorium Ukrainy", to „musi coś zatrzymać". Oznacza to akceptację zbrojnej zmiany granic i legitymizowanie łamania prawa międzynarodowego.

Trudno uznać to za przypadkową zbieżność. To efekt długotrwałej pracy rosyjskich służb i mechanizmów wpływu, które latami inwestują w różne środowiska i narracje, licząc, że w sprzyjających warunkach przebiją się one na najwyższy poziom decyzyjny. Jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych zaczyna publicznie powtarzać tezy idealnie wpasowane w rosyjską logikę polityczną, to dla Kremla jest to ogromny sukces informacyjny.

Jak dziś wygląda rosyjski arsenał dezinformacyjny? W jakim stopniu opiera się na nowych technologiach, a na ile na metodach znanych z czasów sowieckich?

To jest kompozycja jednych i drugich. Mentalna konstrukcja pozostała ta sama – logika operacji, logika służb, myślenie zimnowojenne. Jednak instrumentarium zostało radykalnie poszerzone i zaktualizowane. Wprowadzono farmy trolli, boty i automatyzację. Rosjanie opanowali technologie pozwalające tworzyć fałszy-

eprasa.pl 7d207e4b08

we konta, masowo generować komentarze w różnych językach, manipulować algorytmami wyszukiwarek. Wiemy, że celowo karmią zachodnie modele językowe przygotowanymi przez siebie treściami, po to, by zaburzać wyniki wyszukiwania – zostało to już udokumentowane w raportach.

Równolegle stworzono cały system „proxy media". To sieć portali, kanałów i stron, które publikują rosyjskie treści w różnych językach, pozorując działanie lokalnych mediów. Przetłumaczenie materiału na pięćdziesiąt języków i wrzucenie go do globalnej sieci zajmuje im chwilę, a może przynieść efekt w najdalszych zakątkach świata.

Dzwoniła do mnie kiedyś dziennikarka przygotowująca materiał o Nowej Zelandii. Zauważyła, że w małej lokalnej społeczności nagle pojawiły się jawnie rosyjskie narracje dotyczące Zachodu i Ukrainy. Okazało się, że znalazły się tam dlatego, że Rosjanie masowo tłumaczą swoje treści, a następnie wrzucają je do internetu wszędzie, gdzie to tylko możliwe. To prawie nic nie kosztuje, a może przynieść korzyści w przyszłości: wpłynąć na debatę publiczną i decyzje polityczne.

Rosjanie działają długofalowo. My często widzimy tylko wierzchołek góry lodowej – jakąś konkretną operację czy incydent. Tymczasem oni latami budują sieci wpływu: od trolli i mediów proxy, przez think tanki, po nawiązywanie relacji z politykami i dziennikarzami. Na Zachodzie porzuciliśmy myślenie charakterystyczne dla zimnej wojny, poczuliśmy się bezpiecznie i rozluźniliśmy się. Oni – nigdy. I to dziś procentuje.

Dlaczego z punktu widzenia Rosji dezinformacja w czasie wojny jest aż tak istotna?

Bo pozwala osiągać cele polityczne i militarne przy niższych kosztach. Dezinformacja to instrument prowadzenia wojny – dosłownie. Może wpływać na nastroje, decyzje rządów, gotowość społeczeństw do ponoszenia kosztów wsparcia Ukrainy i własnej obrony, ale – co ważne – służy też do przygotowania pola walki. Przypomnijmy sobie, że Rosjanie próbowali przed 2014 rokiem i później przed 2022 rokiem przekonać Ukraińców środkami niemilitarnymi, że powinni powitać rosyjską armię „z kwiatami". Nie udało się to, ale nie zrezygnowali z prób oddziaływania. Ta sama logika obowiązuje dziś wobec Polski i innych państw zachodnich.

Jakie błędy, wzmacniające podatność społeczeństw na rosyjską dezinformację, popełnia Zachód?

Wymieniłabym niewystarczającą, nierówną komunikację strategiczną. Brakuje jasnego i konsekwentnego tłumaczenia społeczeństwom, dlaczego musimy wspierać Ukrainę, jakie są nasze cele polityczne, co jest stawką. Rosjanie mają przekaz spójny i konsekwentny, powtarzany metodą „zdartej płyty". W Polsce narracja zmienia się w zależności od cyklu wyborczego, nastrojów społecznych, bieżących sporów. W takich warunkach Rosja czuje się jak ryba w wodzie.

eprasa.pl 7d207e4b08

Drugim błędem jest opieszałość legislacyjna. Demokratyczne państwa nie są w stanie reagować dynamicznie na nowe formy ataków informacyjnych. Rosja wykorzystuje zachodnią wolność słowa i brak regulacji, u siebie narzucając niemalże pełną cenzurę i kontrolę. My wciąż głowimy się, jak ograniczać szerzenie propagandy, nie naruszając wolności słowa; problemem jest współpraca z wszechwładnymi platformami społecznościowymi i penalizacja dezinformacji.

Po trzecie – Rosjanie przekonują nas, że demokracja jest naszą słabością i wrażliwością do wyeksploatowania. Świetnie nauczyli się wykorzystywać nasz pluralizm, otwartość debaty, wielość opinii, każdą różnicę poglądów czy spór w naszej przestrzeni publicznej, próbując zamienić w klin. U siebie natomiast nie pozwalają na żadną dyskusję czy spontaniczną aktywność. Jednocześnie Putin panicznie boi się demokracji, bo jej wprowadzenie w Rosji oznaczałoby koniec jego rządów i upadek autorytarnego systemu. Z tego wynika, że demokracja wcale nie jest słabym systemem, opiera się bowiem na zaangażowaniu i prawdziwej mobilizacji społecznej. Musimy jedynie nauczyć się jej lepiej bronić.

Co w takim razie Zachód powinien robić?

Przede wszystkim działać proaktywnie. Nie możemy reagować wyłącznie na rosyjskie ruchy. Powinniśmy umieć odzyskiwać inicjatywę. Jednym z kluczowych elementów jest konsekwentne wspieranie Ukrainy – zarówno militarnie, jak i politycznie. To sprawia, że Rosja znajduje się pod większą presją i musi odpowiadać na nasze działania, a nie odwrotnie. Sytuacja na linii frontu rzutuje na narracje rosyjskich mediów i postrzeganie Kremla oraz Putina w Rosji, może podsycać lub podkopywać wiarę w zwycięstwo.

Drugi element to sankcje. Ekonomiczne, polityczne, symboliczne. Kreml i Rosjanie muszą odczuwać, że agresja ma realne koszty. Niestety w rosyjskiej kulturze strategicznej liczy się tylko język siły.

Trzeci element to aktywna obecność w przestrzeni rosyjskojęzycznej. Nie mówię o kontrpropagandzie czy promowaniu demokracji. Pierwsze byłoby nieuczciwe, a drugie – naiwne. Mówię o dostarczaniu faktów, pokazywaniu nieprzychylnej rzeczywistości, do której pozbawiono Rosjan dostępu. System Putina opiera się na kontroli informacji, a my – tam, gdzie to możliwe – powinniśmy tę kontrolę podważać.

W raporcie zwraca Pani uwagę na bierność społeczeństwa rosyjskiego. Dlaczego jest tak podatne na propagandę?

Z jednej strony przez strach. W Rosji można trafić do więzienia za post w mediach społecznościowych, za piosenkę na ulicy, a nawet za rysunek dziecka w szkole. Punktowe represje działają zastraszająco i paraliżująco.

Z drugiej strony to skutek wieloletniej inżynierii społecznej – dziś propaganda w Rosji ma charakter totalny, wykorzy-

eprasa.pl 7d207e4b08

stuje nie tylko media, ale i indoktrynację w szkołach, organizacjach młodzieżowych, kościele. Społeczeństwo oduczane jest krytycznego myślenia, nie ma nawyków działania wspólnotowego ani wiary w istnienie obiektywnej prawdy.

Poza tym społeczeństwo rosyjskie jest w swojej masie bierne. Tylko około 15–20 procent to przeciwnicy wojny; podobny odsetek to jej zagorzali zwolennicy. Reszta akceptuje rzeczywistość, próbuje przetrwać lub wyciągnąć z niej dla siebie korzyści. Na tle tej bierności aktywni zwolennicy wojny dominują i są o wiele bardziej słyszalni.

Nie ma możliwości dotarcia do Rosjan?

Wierzę, że jest. Trzeba jednak działać sprytnie. Na ten moment nie ma sensu odwoływać się w Rosji do idealistycznych, demokratycznych kategorii i liczyć na jakiś oddolny zryw. To się po prostu nie wydarzy, nie ma takiego zapotrzebowania i warunków. Trzeba celować w partykularne interesy konkretnych grup społecznych i punktować problemy, bo tylko to może zadziałać.

W raporcie piszę wprost, że trzeba definiować konkretne grupy docelowe i dobierać do nich osobne komunikaty – powinny to być osoby, których interesów Kreml nie respektuje albo które mogą się znaleźć na trajektorii konfliktu z władzą. Wśród nich są przede wszystkim kobiety, które mogą stać się ofiarami narastającej przemocy domowej i kryminalnej, a także sami wojskowi, weterani i ich rodziny – matki i żony, bo to oni w pierwszej kolejności ponoszą koszty tej wojny. Kolejną ważną grupą są dyskryminowane mniejszości etniczne oraz poszczególne grupy zawodowe i społeczne eksploatowane przez Moskwę – na przykład imigranci zarobkowi czy emeryci biedniejący przez wysoką inflację.

Przekaz Zachodu nie powinien być kierowany do abstrakcyjnego „społeczeństwa rosyjskiego", tylko do tych, którzy już dziś odczuwają na własnej skórze zgubne skutki polityki tego państwa. To są środowiska, w których może narastać poczucie krzywdy i buntu. W naszym interesie jest, by emocje te narastały i docierały do Kremla, zmuszając rządzących do zaangażowania we własnym kraju.

Tego przekazu jednak nie ma.

Oddaliśmy pole. Rosjanie weszli w naszą infosferę i działają tam bez większego oporu, podczas gdy my nie widzieliśmy potrzeby, by odpowiadać. W Rosji nie było żadnych wewnętrznych wyzwań dla systemu – niezależne media zmuszono do emigracji, opozycję rozbito – a my jednocześnie pozwoliliśmy, by rosyjskojęzyczna przestrzeń stała się miejscem, którego nawet dobrze nie monitorujemy. Tymczasem to przestrzeń znacznie szersza niż granice Federacji Rosyjskiej. Obejmuje ona rosyjskojęzyczne diaspory na Zachodzie oraz Azję Centralną. W Polsce na przykład pojawił się Telegram, który wraz z napływem rosyjskojęzycznych migrantów zyskał popularność. Znając metody działania Rosji, powinni-

eprasa.pl 7d207e4b08

śmy bezwzględnie badać, jakie treści tam krążą i kim są ich autorzy.

Rosyjska diaspora może być mostem między emigracją a społeczeństwem w samej Rosji. Jeśli dotrzemy do ludzi, którzy wyjechali, ale wciąż utrzymują kontakt z rodziną i przyjaciółmi, możemy wpływać także na odbiorców w Rosji. Tymczasem zaniechania Zachodu – również USA, które za administracji Trumpa zrezygnowały z finansowania niezależnych mediów rosyjskojęzycznych – wywołały chaos i pozostawiły te redakcje bez wsparcia. Unia Europejska częściowo przejęła tę rolę, zwłaszcza wspierając media i organizacje mające realne kontakty w Rosji. To pragmatyczne, bo pozwala zarówno docierać z przekazem, jak i otrzymywać informacje zwrotne o tym, co się tam dzieje.

Z czego wynikało to wycofanie się?

W Europie problemem był brak poczucia zagrożenia. Nie było przekonania, że działania informacyjne Rosji mają tak systemowy i agresywny charakter. Nie było świadomości, że jesteśmy ich celem. Dopiero po inwazji i fali dezinformacji uderzającej w nasze społeczeństwa pojawiło się zrozumienie, jak poważny jest to komponent agresji militarnej i szerszej strategii wobec Zachodu. Niektóre kraje dotknięte rosyjską dezinformacją szczególnie mocno – jak Francja, Finlandia czy Szwecja – zaczęły budować lub odbudowywać systemy kompleksowej odporności państwa i społeczeństwa, powołując nowe instytucje, koordynując działania polityczno-społeczne, edukując społeczeństwo.

W Polsce bardzo brakuje oddolnej odporności, na czym ewidentnie skupia się Rosja. Powiedzmy jasno, że chodzi nie o przygotowanie obywateli do udziału w wojnie, jak próbuje przedstawiać nasze wysiłki Rosja i przychylne jej źródła, ale o zapewnienie nam bezpieczeństwa. Bo im bardziej społeczeństwo jest świadome i gotowe na kryzysy, tym trudniej je zastraszyć i zdestabilizować. A to jest właśnie cel Rosji, która działa konsekwentnie, cierpliwie, planowo. My zaś póki co działamy reaktywnie, skacząc od kryzysu do kryzysu. Jeśli chcemy naprawdę przeciwdziałać rosyjskiej dezinformacji, musimy odzyskać inicjatywę: w komunikacji, w przestrzeni informacyjnej, w polityce bezpieczeństwa.

Katarzyna Chawryło jest analityczką w Zespole Rosyjskim Ośrodka Studiów Wschodnich. Zajmuje się m.in. rosyjską propagandą; na YouTubie prowadzi kanał na ten temat.

eprasa.pl 7d207e4b08

Wojenna nostalgia za epoką przemian

Maciej Pieczyński

W rosyjskiej kulturze zapanowała moda na pierestrojkę i „liche lata dziewięćdziesiąte". Wspominane są jednak nie tyle (mniej lub bardziej udane) reformy wolnorynkowe czy demokratyczne, ile gangsterskie porachunki. Popularne seriale sensacyjne prezentują obraz krwawego chaosu, jaki panował, zanim do władzy doszedł Władimir Putin.

Z jednej strony Kreml promuje Z-literaturę i Z-kino, próbując budować atrakcyjny dla mas mit bohaterów „specjalnej operacji wojskowej". Z drugiej strony niezależni twórcy, przebywający w ogromnej większości na politycznej emigracji, starają się ten mit zdekonstruować, po tołstojowsku występując przeciwko przemocy w swoich pacyfistycznych dziełach i wypowiedziach medialnych. Z trzeciej strony – nie samą wojną Rosjanie żyją. Po inwazji na Ukrainę w kulturze państwa-agresora zapanowała specyficzna moda na epokę przemian – pierestrojkę i lata dziewięćdziesiąte.

Słowo pacana

Najbardziej wyrazistym tego przykładem jest serial sensacyjny *Słowo pacana. Krew na asfalcie* w reżyserii Żory Kryżownikowa. O jego fenomenie napisano już wiele, jednak temat wciąż jest niewyczerpany i aktualny. To jeden z najpopularniejszych rosyjskich seriali w historii. W pewnym momencie hasło „Słowo pacana" w wyszukiwarkę Yandex wpisywano częściej niż termin „specjalna operacja wojskowa".

Akcja serialu rozgrywa się pod koniec lat osiemdziesiątych w Kazaniu. Tytułowy „pacan" (z akcentem na drugą sylabę) to po rosyjsku „równy gość", „ziomal", zaś w kontekście serialu słowo to oznacza nastoletniego bandytę, należącego do młodocianych gangów, zajmujących się „dzieleniem asfaltu", czyli walką o terytorium z konkurencyjnymi grupami przestępczymi. W stolicy Tatarstanu skala tego zjawiska była większa niż w innych regionach upadającego ZSRR. Stąd termin „fenomen kazański". Główny bohater serialu, czternastoletni Andriej, jest spokojnym i wrażliwym uczniem szkoły muzycznej. Wbrew woli, musi jednak zostać bandytą, gdyż, paradoksalnie, tylko przynależność do jednego z gangów może zapewnić bezpieczeń-

eprasa.pl 7d207e4b08

stwo. „Pacany" ryzykują, tocząc wojny z konkurencją, mogą jednak liczyć na wsparcie swojej grupy. Ci zaś, którzy nie należą do żadnego gangu, są nazywani „czuszpanami" (od ros. *czużoj* – obcy), czyli frajerami, których można na co dzień i bez żadnego powodu bić, obrażać, poniżać czy okradać. Tytułowe „słowo pacana" jest honorową obietnicą, przysięgą, najwyższym prawem ulicznej moralności. O tym, jaka jest jej prawdziwa natura, Andriej przekonuje się dość szybko. Gdy jego przyjaciel Marat (najciekawsza postać w serialu, zagrana brawurowo przez Ruzila Miniekajewa – typ trickstera, wesołego, emocjonalnego, porywczego chuligana z sercem na dłoni) pożycza kij hokejowy od „czuszpanów". Daje im „słowo pacana", że odda. Nie zamierza jednak dotrzymać tej obietnicy. „Słowo pacana jest tylko dla pacanów" – poucza lakonicznie stawiającego pierwsze kroki w bandyckim świecie Andrieja. Serial powstał za państwowe pieniądze, zaś jego twórcy nie są żadnymi dysydentami. Odtwórca jednej z głównych ról – obalonego przez młodszych szefa gangu Kaszczeja – Nikita Kołogriwyj otwarcie poparł „specoperację". A jednak, jak słusznie zauważył popularny opozycyjny wideobloger Maksim Kac, Kryżownikow wbrew intencji nakręcił film o współczesnej Rosji. Władimir Putin prowadzi politykę w sposób niewiele różniący się od praktyk młodocianych bandytów. Stosunki międzynarodowe postrzega nie jako skomplikowaną, dyplomatyczną grę, lecz jako wojnę gangów (czyli agresywnych mocarstw regionalnych) o asfalt (czyli o strefy wpływów). Rolę „pacanów" odgrywają Rosja, Chiny czy Stany Zjednoczone. To między nimi toczy się prawdziwa walka, w której wróg jest znienawidzony, ale przy tym szanowany. Z kolei mniejsze czy słabsze państwa, takie jak Polska lub Ukraina, są pogardzanymi „czuszpanami". Porównanie to działa również w polityce wewnętrznej. Jewgienij Prigożyn był „pacanem", dopóki dostarczał mięso armatnie na front. Gdy jednak ruszył na Moskwę, stał się „czuszpanem". Dlatego też Putin mógł złamać daną buntownikowi obietnicę nietykalności. *„Słowo pacana tolko dla pacanow"*.

Powrót do przeszłości widoczny jest także w seksualnych preferencjach Rosjanek. Atrakcyjności, jak dawniej, nabiera mężczyzna silny i brutalny, innymi słowy – bandyta, albo przynamniej „rieszała".

Triumf przemocy

Zdaniem niezależnego krytyka filmowego Antona Dolina serial Kryżownikowa to również opowieść o tym, że trzeba należeć do jakiegoś „stada", czyli wspólnoty. Oprócz ulicznych band tego rodzaju silne grupy tworzą milicjanci, brutalni i pozbawieni zasad niemal tak samo jak „pacany", oraz komsomolcy, czyli przyszli oli-

eprasa.pl 7d207e4b08

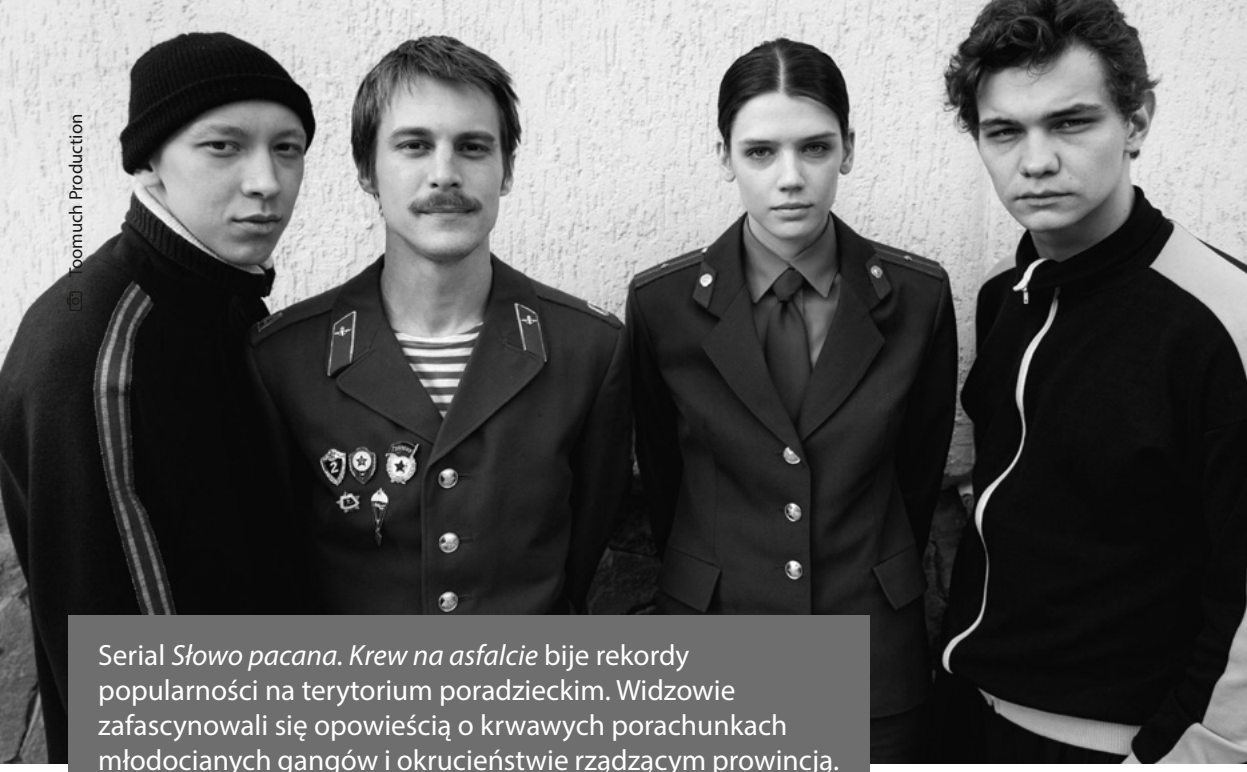

© Toomuch Production

Serial *Słowo pacana. Krew na asfalcie* bije rekordy popularności na terytorium poradzieckim. Widzowie zafascynowali się opowieścią o krwawych porachunkach młodocianych gangów i okrucieństwie rządzącym prowincją.

garchowie, coraz mniej zainteresowani ideologią, a coraz bardziej – zarabianiem pieniędzy. Każdy, kto do tych trzech środowisk nie należy, jest przez nie traktowany jak „czuszpan". Marat, zawiedziony brakiem lojalności ze strony członków bandy, żeby przetrwać, musi przejść do innej grupy. Staje się więc komsomolcem. Taka interpretacja również czyni z serialu niezamierzenie trafną alegorię współczesnej (i nie tylko współczesnej) Rosji, w której państwo (czy inna wspólnota) jest wszystkim, jednostka zaś – niczym. Kryżownikow nakręcił dwie wersje ostatniego odcinka. Fakt ten, zdaniem części komentatorów, miał świadczyć o tym, że reżyser „poprawił" finał pod wpływem cenzury. Jednak w obu wariantach zakończenie miało podobną wymowę. Jeden z głównych bohaterów tak czy owak zginął. W pierwszej wersji – zadźgany przez innego gangstera w zemście za zabójstwo jego bossa. W „poprawionym" wariancie padł od kuli milicjanta. Teoretycznie więc państwo pokonało bandytyzm. Tyle że użyło w tym celu bandyckich metod. Milicjant Ildar (znany z brutalności i bezwzględności) zabił bezbronnego zabójcę strzałem w plecy. W obu zakończeniach zatriumfowała przemoc.

Serial pod względem estetycznym bardzo dobrze oddaje realia epoki. Ścieżka dźwiękowa zdominowana jest przez sowieckie disco, które wróciło do łask na fali popularności *Słowa pacana*. Przez trzy miesiące piosenka *Siedaja nocz* zespołu Łaskowyj Maj (w Polsce znanego głównie za sprawą hitu *Biełyje rozy*) w serwisie Yandex Music była odtwarzana dwadzieścia trzy razy częściej niż wcześniej. Na parkietach dyskotek królował pochodzący z serialu charakterystyczny układ taneczny, wzoro-

eprasa.pl 7d207e4b08

wany na nagraniach archiwalnych, pokazujących, jak się bawią kazańscy młodociani bandyci. W ramach wirtualnego flashmobu fani serialu nagrywali i publikowali w internecie własne wykonanie tańca. W sklepach pojawiła się odzież wzorowana na modzie z epoki. W rozmowie z blogerką Selyanka1 nad przyczynami tego fenomenu zastanawiał się znany rosyjski stylista i dziennikarz telewizyjny Władisław Lisowiec. Jego zdaniem Rosjanie po prostu kochają nostalgię. Pokoleniu dzisiejszych czterdziestopięcio-pięćdziesięciopięciolatków bardzo bliska jest estetyka lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, czyli czasów ich młodości. „W tę romantykę wpisuje się nawet sportowy dres. Kobiety czekają na księcia na białym koniu, ale z kindżałem w rękach" – przekonuje Lisowiec. Jego zdaniem w seksualnych preferencjach Rosjanek również widoczny jest powrót do przeszłości. Atrakcyjności znów, jak dawniej, nabiera mężczyzna silny i brutalny, innymi słowy – bandyta, albo przynamniej „rieszała" (od ros. *rieszat'* – decydować), czyli w języku epoki ktoś, kto wszystko może i potrafi rozwiązać każdy problem, również metodami siłowymi i nielegalnymi. „Dla rosyjskiej kobiety jest to ważne, ponieważ kobiety u nas są czasem o wiele silniejsze niż mężczyźni. Dlatego taka brutalna estetyka trochę niedomytego, nieogolonego bandziora jest nam bardzo bliska" – tłumaczy Lisowiec. W jego ocenie również z tych powodów w rosyjskiej modzie nie przyjęły się ubrania typu uniseks. Mężczyźni chcą być stereotypowo męscy, kobiety – stereotypowo kobiece, zarówno w życiu, jak i w kulturze. Stąd między innymi wzięła się duża popularność seriali i filmów gangsterskich. Tradycja zjawiska jest zresztą dłuższa – pod koniec ubiegłego wieku w rosyjskiej krytyce literackiej popularny był trend polemicznej refleksji nad klasyką rodzimej literatury, której wypominano, że promuje „nadmierną słabość bohaterów" (mężczyzna albo był „małym człowiekiem", biednym urzędnikiem albo „zbędnym człowiekiem", niezdolnym do czynu typem hamletycznym) i „niepotrzebną siłę bohaterek" (takich jak chociażby *femme fatale* Nastazja Filipowna z *Idioty*). Stąd też tęsknota za „supermenem".

Podaj wódeczki, chłopcze

Trzeba zaznaczyć, że Żora Kryżownikow nie jest pionierem na rynku gangsterskiej popkultury. O „lichych latach dziewięćdziesiątych" opowiadały choćby kultowe filmy *Brat* i *Brat 2* Aleksieja Bałabanowa z przełomu wieków lub serial *Brygada* Aleksieja Sidorowa z 2002 roku. W obu wypadkach mieliśmy do czynienia z wyidealizowanym obrazem szlachetnych, sympatycznych bandytów, czasem nawet ludowych mścicieli za krzywdy. Zarówno Bałabanow, jak i Sidorow mniej lub bardziej świadomie romantyzowali przestępczość zorganizowaną. Daniła Bagrow, pouczający w *Bracie 2* amerykańskiego biznesmena, że siła tkwi w prawdzie (czyli tak

eprasa.pl 7d207e4b08

naprawdę w sile, bo tylko używając przemocy, bohater jest w stanie bronić tego, co rozumie jako prawdę), a nie w pieniądzach, stał się bożyszczem całego pokolenia Rosjan i kulturowym prototypem silnego przywódcy, który walczy z wrogami Rosji, nie oglądając się na prawo. Nieprzypadkowo sloganem reklamowym „Komsomolskiej Prawdy" stało się hasło: „Daniła – nasz brat! Putin – nasz prezydent". I nikogo nie oburzało zestawienie polityka z filmowym przestępcą. Z drugiej strony Bagrowa pokochali Rosjanie ponad podziałami na putinistów i opozycjonistów. „Podaj wódeczki, chłopcze. Wracamy do domu" – to słynne zdanie z ostatniej sceny *Brata 2* zacytowała Julia Nawalna, lecąc z mężem w ostatnią podróż do Rosji w styczniu 2021 roku.

Romantyzacja przestępczości w filmach i serialach przełomu wieków mogła wynikać z faktu, że Rosjanie dopiero co obudzili się z koszmaru „bandyckich lat dziewięćdziesiątych" i woleli oglądać bajki na temat tej niedawnej przeszłości, niż spojrzeć prawdzie w oczy. Po 2022 roku perspektywa się zmieniła. Po pierwsze, minęły już ponad dwie dekady, rany się zabliźniły. Po drugie, wybuch wojny zaktualizował temat przemocy. Po trzecie, kręcenie serialu poświęconego tej problematyce wiązało się z wyborem: albo służba wojennej propagandzie, albo ryzyko zderzenia z cenzurą i represjami. W związku z tym naturalnym, do pewnego stopnia kompromisowym rozwiązaniem dla części twórców okazało się podjęcie tematu przemocy, ale w oderwaniu od aktualnego kontekstu. „Fenomen kazański" nadawał się idealnie.

W kultowym *Bracie 2* pada fraza, że siła tkwi w prawdzie (czyli tak naprawdę w sile, bo tylko używając przemocy, bohater jest w stanie bronić tego, co rozumie jako prawdę), a nie w pieniądzach.

W tym miejscu należy podkreślić, że serial Kryżownikowa, w odróżnieniu od produkcji Bałabanowa czy Sidorowa, jest niezwykle brutalny i pesymistyczny w swej wymowie. Pierwsze odcinki mogą sprawiać wrażenie romantyzacji przestępczości, ale już w kolejnych widz coraz bardziej się przekonuje, że „dzielenie asfaltu" nieuchronnie prowadzi do tragedii. Nie ma więc ratunku ani dla „czuszpanów", ani dla „pacanów" – w świecie, w którym jedynym sposobem komunikacji jest przemoc, nie może być szczęśliwego zakończenia. Serial pokazuje zatem dwa oblicza popkulturowego powrotu do przeszłości. Z jednej strony – zewnętrzna nostalgia za estetyką epoki. Z drugiej strony – retrospekcja panującego wówczas karnawału przemocy. Jeden z tych kierunków wybiorą potem kolejne seriale, płynące na fali mody na lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte XX wieku.

Drogą „nostalgiczną" poszedł Nikita Własow, reżyserując *Kombinację* (emitowaną jesienią 2024 roku). Akcja serialu rozgrywa się pod koniec lat osiemdziesiątych.

eprasa.pl 7d207e4b08



© Toomuch Production

Władimir Putin prowadzi politykę w sposób niewiele różniący się od praktyk młodocianych bandytów. Stosunki międzynarodowe postrzega jako wojnę gangów (czyli agresywnych mocarstw regionalnych) o asfalt (czyli o strefy wpływów).

Aleksandr Szyszkin, z natury romantyk, a z zawodu milicjant, odchodzi ze służby i realizuje swoje wielkie marzenie – zakłada pierwszy w dziejach ZSRR girlsband. Tak powstaje zespół Kombinacja. Historia ta oparta jest na faktach. Recenzenci podkreślali, że Nikita Własow nakręcił „kolejną nostalgiczną pocztówkę", która nie tyle opowiada prawdę o epoce, ile wykorzystuje modę na ówczesną estetykę, głównie muzyczną.

Zaledwie kilka tygodni po *Kombinacji* premierę miały *Dzieci przemian*. Lubow Lwowa i Siergiej Taramajew wybrali drogę pośrednią między epatowaniem przemocą a klimatem lat dziewięćdziesiątych (akcja rozgrywa się w 1995 roku). W rezultacie, jak ocenia Michaił Kabo z opozycyjnego portalu Meduza, wyszło coś pomiędzy dramatem kryminalnym, tragedią rodzinną a groteskową komedią. Zarówno w *Kombinacji*, jak i w *Dzieciach przemian* głównych bohaterów grają aktorzy, którzy szeroką popularność zdobyli dzięki rolom w *Słowie pacana* (odpowiednio: Nikita Kołogriwyj i Sława Kopiejkin). Przeboje tytułowej Kombinacji pojawiły się zresztą na ścieżce dźwiękowej serialu Kryżownikowa, zyskując w ten sposób nowe życie. Jednak żadnej z tych produkcji nie udało się powtórzyć sukcesu *Słowa pacana*.

Poczułem się dorosły

Drogę retrospekcji przemocy wybrał Jurij Bykow. We współczesnym rosyjskim kinie reżyser ten uchodzi za przedstawiciela „czernuchy", czyli naturalizmu prezen-

eprasa.pl 7d207e4b08

tującego w czarnych barwach obraz postsowieckiego społeczeństwa. Jego *Lichije* to jeden z najmroczniejszych, najbrutalniejszych i zarazem najbardziej pesymistycznych rosyjskich seriali – nie tylko o latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Premiera pierwszego sezonu odbyła się w październiku 2024 roku, drugiego – we wrześniu 2025 roku.

Akcja rozpoczyna się w 1991 roku. Myśliwy i pszczelarz Paweł Lichowcew żyje wraz z żoną i dwoma synami w zapadłej wsi na skraju syberyjskiej tajgi na rosyjskim Dalekim Wschodzie. Rozpada się Związek Sowiecki. Szaleje kryzys gospodarczy. Lichowcewowie ledwo wiążą koniec z końcem, więc przeprowadzają się do Chabarowska, gdzie Paweł dostaje dobrze płatną pracę – dla mafii. Najpierw jako kierowca, następnie (z uwagi na strzeleckie umiejętności) jako płatny zabójca. W likwidowaniu wrogów mafii pomaga mu dwunastoletni syn Żenia. Jeszcze do niedawna wraz z ojcem polował na niedźwiedzie w tajdze, teraz musi zapolować na ludzi. Tej makabrycznej fabuły nie wymyślił ani Jurij Bykow, ani scenarzysta Oleg Małowiczko. Napisało ją życie. Serial oparty jest bowiem na prawdziwej historii Jewgienija Diomina, który po wyjściu z więzienia chętnie opowiada w mediach, jak w wieku dwunastu lat został wspólnikiem ojca kilera. Już po emisji serialu wystąpił między innymi w podcaście Kseni Sobczak. Wspominał, jak ojciec przekonywał go, że dla dobra rodziny musi mu pomóc zrobić coś złego. „Nie mieliśmy co jeść. Miałem wielką motywację i zero wątpliwości" – mówił. Na pytanie o to, co poczuł, gdy pierwszy raz zabił, odpowiedział: „Poczułem się dorosły, moje dzieciństwo się skończyło".

W filmie *Słowo pacana* widz przekonuje się, że „dzielenie asfaltu" prowadzi do tragedii. To świat, w którym jedynym sposobem komunikacji jest przemoc. Tu nie może być szczęśliwego zakończenia.

Pawła Lichowcewa gra jeden z ulubionych aktorów Bykowa – Artiom Bystrow, którego niski, monotonny głos i surowe, pozbawione emocji spojrzenie dobrze oddawało mroczny klimat opowieści. W *Lichych* prawie w ogóle nie występuje komizm. Bohaterowie są – *nomen omen* – śmiertelnie poważni, niemal całkowicie pozbawieni poczucia humoru. Nie jest to jedyna cecha odróżniająca serial Bykowa od *Słowa pacana*, w którym komiczne sceny zręcznie uzupełniają ogólny tragizm. Na ścieżce dźwiękowej *Lichych* niemal nie słychać muzyki lat dziewięćdziesiątych. A jeśli się ona pojawia, to nie po to, by grać na nostalgii czy tworzyć klimat, tylko jako znak konkretnego czasu, tak, by widz mógł się domyślić, w którym roku najpewniej rozgrywa się akcja.

Tytuł serialu to nie tylko przezwisko Pawła i Żeni, pochodzące od ich nazwiska. To również nawiązanie do całej epoki. Z jednej strony upadek komunistycznego im-

eprasa.pl 7d207e4b08

perium otworzył szansę na rozwój demokracji i wolnego rynku. Z drugiej strony jednak w powszechnej świadomości Rosjan pierwsza dekada po rozpadzie ZSRR funkcjonuje jako *lichije diewjanostyje*, czyli „liche lata dziewięćdziesiąte". Czasy kryzysu gospodarczego i politycznego, gdy zwykli ludzie tracili dorobek życia, oligarchowie dorabiali się fortun na nieuczciwej prywatyzacji majątku państwowego, zaś na ulicach grasowała wszechwładna mafia. Władimir Putin zbudował swój mit na fundamencie rozprawy z ówczesnymi patologiami. Wedle jego diagnozy najważniejszą przyczyną tego kryzysu była słabość państwa. Rosja może funkcjonować w dwóch reżimach: krwawego chaosu lub uporządkowanej autokracji czy też dyktatury. Albo jest „smuta", albo „samodzierżawie". W obu sytuacjach w kraju panuje przemoc. Jednak w warunkach chaosu jest ona nieprzewidywalna i nieograniczona, stosują ją wówczas różne, konkurujące ze sobą ośrodki władzy. „Samodzierżawny" porządek jest krwawy, ale łatwiej się do niego dostosować, bo zabija „jedynie" państwo. Putin przekonał Rosjan już na początku swoich rządów, że to on jest siłą porządkującą chaos „lichych lat dziewięćdziesiątych". Co prawda, w rzeczywistości nie tyle rozprawił się z patologiami (które sam współtworzył, będąc urzędnikiem ze skorumpowanego otoczenia Borysa Jelcyna), ile je „upaństwowił", podporządkowując mafie i oligarchów celom Kremla, jednak przynajmniej ulice rosyjskich miast przestały spływać krwią, a pracownicy budżetówki zaczęli otrzymywać pensje i emerytury.

Jedno wielkie bezprawie

W serialu Bykowa rolę propagandzisty putinowskiego mitu o uporządkowaniu Rosji pełni młody i ambitny oficer FSB Igor Karmazow. Przyjeżdża z Moskwy do Chabarowska, by pomóc w walce z mafią. W rozmowie z lokalnym milicjantem przekonuje: „Z tym bardakiem trzeba skończyć. Nie tylko tutaj, ale w całym kraju. Ja oczywiście rozumiem: demokracja, kapitalizm, to wszystko jest potrzebne. Ale to (co się dzieje w Rosji) to nie jest ani demokracja, ani kapitalizm, tylko jedno wielkie bezprawie (…). Odzyskamy nasz kraj. Jest nas mało, mamy związane ręce, ale potrafimy czekać. I potrafimy pracować". W tym monologu wprost wybrzmiewa manifest putinizmu. Nie oznacza to jednak, że serial jest prymitywną agitką. Fabuła podzielona jest na dwie linie czasowe. Równolegle z początkami dalekowschodniej mafii śledzimy kontynuację losów bohaterów trzydzieści lat później – już w czasie tzw. specoperacji, którą słychać w tle, w formie lakonicznych radiowych raportów z frontu. Okazuje się, że mafia nie została całkowicie zlikwidowana. Karmazow nadal musi ścigać Żenię Lichowcewa.

W tym celu zwraca się o pomoc do odsiadującego wyrok Tunguza – jednego z największych bossów dawnej rosyjskiej mafii. I wtedy pada kolejna, kluczowa dla

eprasa.pl 7d207e4b08

całego serialu fraza. „Słyszysz, jak ziemia się trzęsie?" – pyta Tunguz i dodaje, że „w kraju jest mnóstwo broni i złości", co oznacza, że wybuch jest nieunikniony. Wątek nie zostaje rozwinięty, jednak aluzja do wojny jest czytelna. Wtedy gdy Bykow kręcił *Lichych*, niezależne media alarmowały w sprawie lawinowego wzrostu przestępstw popełnianych przez cierpiących na syndrom stresu pourazowego weteranów działań zbrojnych. Weteranów, spośród których wielu trafiło na front wprost z więzienia, odkupując winy w szeregach batalionów karnych. Znany opozycyjny publicysta i krytyk literacki Dmitrij Bykow postawił hipotezę, w myśl której zapotrzebowanie na seriale o pierestrojce i „lichej dekadzie" może wynikać z przeczucia takiej właśnie nadciągającej katastrofy – nowego „krwawego chaosu". Nie ma potencjału rewolucyjnego, rozpad Rosji po szwach narodowych niczym w 1917 roku jest więc mało prawdopodobny. Jednak już odrodzenie masowego bandytyzmu w kraju, w którym jest „mnóstwo broni i złości" nie brzmi jak scenariusz filmu sensacyjnego, tylko jak współczesna kronika kryminalna. Naturalistyczne, pełne obrazów przemocy seriale kryminalne o bandytach sprzed trzydziestu lat przestają być opowieściami historycznymi, zaczynają zaś niepostrzeżenie przedstawiać również współczesną rzeczywistość.

Żeby lepiej zrozumieć, jak trafną (choć niekoniecznie zamierzoną) diagnozą gangsterskiej Rosji są *Lichije*, warto przyjrzeć się na koniec postaci bossa dalekowschodniej mafii. Jewgienij Wasin (w serialu: Krasin), pseudonim „Dżem", zarządzał jedną z największych terytorialnie organizacji przestępczych w dziejach. Miał ambicje być „ojcem narodu", który w warunkach bezhołowia zastępuje słabą władzę. Zorganizował obóz dla nieletnich, w którym nastoletni chuligani z patologicznych rodzin byli uczeni sztuk walki, jak również dyscypliny. W teorii po to, by móc bronić bliskich, w praktyce – by zasilać szeregi mafii. „Dżem" miał nawet punkt przyjmowania interesantów, gdzie wysłuchiwał skarg mieszkańców regionu. Z jego inicjatywy i za jego pieniądze został nagrany oficjalny hymn jego rodzinnego miasta Komsomolska nad Amurem. Kreował się na dalekowschodniego ojca chrzestnego. Założył też fundację charytatywną Współczucie (ros. Sostradanije). Jej celem była pomoc więźniom, którzy po wyjściu na wolność wiedzieli, komu dziękować i dla kogo pracować. W jednej ze scen serialu „Dżem" chwali się działalnością tej organizacji, występując wspólnie z władzami miasta i cytując Fiodora Dostojewskiego: „Dopiero na katordze poznałem siebie i Boga". Warto przypomnieć, że autor *Zbrod-*

Seriale o latach dziewięćdziesiątych niosą optymistyczną z punktu widzenia Kremla interpretację. Widz dochodzi do wniosku, że lepszy jeden boss mafii niż wojna gangów, lepszy krwawy porządek niż „smuta".

eprasa.pl 7d207e4b08

ni i kary stał się pisarzem chrześcijańskim i gorącym patriotą (albo inaczej wielkoruskim szowinistą) między innymi wskutek fascynacji „prostym rosyjskim ludem", czyli przestępcami kryminalnymi, z którymi miał do czynienia na Syberii.

Kluczowym momentem drugiego sezonu serialu *Lichije* jest śmierć „Dżema". Gdy umiera budzący postrach ojciec chrzestny i nieformalny przywódca polityczny całego regionu, jego dawni żołnierze rzucają się sobie do gardeł. I dopiero wtedy przemoc sięga zenitu. Nastaje krwawy chaos – zdrada, ciągłe zmiany frontu, brutalne morderstwa i wyjątkowo wymyślne tortury. „Dżem" nie był „biały i puszysty" – zabijał bandytów i cywilów bez mrugnięcia okiem. Ale wystarczyło mu się podporządkować, żeby tego uniknąć. Widz może dojść do wniosku, że lepszy jeden boss mafii niż wojna gangów. Lepszy krwawy porządek niż „smuta lichych lat dziewięćdziesiątych". Serial pozostawia więc pole również do optymistycznej – z punktu widzenia Kremla – interpretacji.

Popkulturowy powrót do przeszłości ma więc kilka przyczyn. Po pierwsze, między Scyllą propagandy a Charybdą opozycyjności można dziś w Rosji poruszać się, jedynie pomijając tematykę „specoperacji". Po drugie, co za tym idzie, sięganie do historii jest bezpieczne, o ile oczywiście nie jest to historia wielkiej wojny ojczyźnianej, coraz bardziej mitologizowana i reglamentowana przez władze. Po trzecie, pierestrojka i lata dziewięćdziesiąte to czas przemian, te zaś zawsze są interesujące. Po czwarte, łatwiej nakręcić ciekawy serial o złych czasach, które trzeba przezwyciężyć niż mdłą laurkę dla dobrych czasów. Po piąte, opowieść o „lichej" dekadzie pozwala i cnotę zachować, i rubelka zarobić. Bo trauma epoki jest doświadczeniem powszechnym, niezależnym od poglądów politycznych. Jej opisywanie nie musi być więc, cytując Majakowskiego, „nadepnięciem na gardło własnej pieśni". Jednak właśnie takich opowieści oczekuje Putin, aby za ich pomocą utwierdzać Rosjan w przekonaniu, że nawet jeśli na Kremlu rządzi „Dżem", to przynajmniej dba o porządek. *Słowo pacana*, *Dzieci przemian* czy *Lichije*, chcąc nie chcąc, realizują więc propagandowe cele rosyjskich władz.

Maciej Pieczyński jest rusycystą, literaturoznawcą, wykładowcą Uniwersytetu Szczecińskiego. Publicysta, autor książek o tematyce wschodniej.

eprasa.pl 7d207e4b08

Pokolenie, które dorosło na barykadach

Zoriana Varenia

Urodziłam się w 1998 roku. Należę do pokolenia Z, ale co to właściwie znaczy w kontekście Ukrainy?

Pod koniec lipca 2025 roku w Ukrainie odbyły się masowe protesty przeciw ograniczeniu niezależności Narodowego Biura Antykorupcyjnego oraz Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej. Nie chcę wnikać w polityczne szczegóły, najmocniej zapadł mi w pamięć wiek demonstrantów.

Ulice wypełniła przede wszystkim młodzież. Wiele osób urodziło się w latach dwutysięcznych. Byli wyraziści, pewni siebie, stanowczy i zdeterminowani. Kiedy mówili, dlaczego wyszli protestować, robili to jasno, rzeczowo i dojrzale. Patrząc na nich, miałam poczucie, że właśnie odbywa się coś więcej niż kolejna manifestacja – że to moment, w którym generacja Z naprawdę zabiera głos i bierze odpowiedzialność za rzeczywistość.

Najciekawsze było dla mnie obserwowanie drobnych szczegółów, które zdradzały tę pokoleniową zmianę. Jednym z nich były transparenty, a właściwie hasła na nich wypisane. Był to cytat z piosenki zespołu Żadan i Sobaky. Jej frontmanem i autorem tekstów jest Serhij Żadan – jeden z najbardziej znanych współczesnych ukraińskich pisarzy, szczególnie popularny wśród młodzieży. Chodzi o utwór *Awtozak* i słowa: „Po ch*j mi system, który działa przeciwko mnie".

W Ukrainie muzyka zawsze towarzyszy momentom przełomowym. Tak, w 2004 roku, podczas pomarańczowej rewolucji, grali Gryndżoły, a cały kraj śpiewał *„Razom nas bahato, nas ne podołaty*". Wtedy też rozbrzmiewał zespół Okean Elzy z piosenką *Wstawaj*. W 2013 roku, w czasie rewolucji godności, ponownie słychać było *Wstawaj* i *Majże wesna* Okean Elzy. Z kolei w najtragiczniejszych chwilach rozbrzmiewała pieśń *Hej, pływe kacza po Tysyni*. W 2025 roku coś się zmieniło – dziś to nowe pokolenie nadaje ton ulicy.

eprasa.pl 7d207e4b08

***

Ludzie dorastający w tym samym czasie zaczynają myśleć podobnie, reagować w zbliżony sposób, dzielić te same lęki i marzenia. A jednocześnie dlaczego przedstawiciele tej samej generacji w różnych krajach potrafią tak bardzo się od siebie różnić?

Zupełnie subiektywnie – i chcę to wyraźnie podkreślić – postanowiłam przyjrzeć się własnemu pokoleniu. Na podstawie osobistych obserwacji (dzieciństwo spędziłam w Kijowie) oraz długich rozmów z rówieśnikami z Połtawy, Sum, Kijowa, Równego i kilku innych miast wybrałam dziewięć wydarzeń, które najmocniej nas ukształtowały.

Mam jednak świadomość, że doświadczenie pokoleniowe nie jest jednorodne i różni się w zależności od regionu, miasta czy środowiska. Inne było ono na przykład w Doniecku, Ługańsku czy na Krymie w kontekście wydarzeń po 2014 roku. Ten tekst to próba uporządkowania moich doświadczeń i wspomnień moich rówieśników.

1. Dzieci rewolucji

Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień dotyczy drugiego prezydenta Ukrainy, Leonida Kuczmy. Miałam wtedy trzy, może cztery lata. Szłyśmy z mamą przez szarą, przygnębiającą dzielnicę Kijowa – same ośmiopiętrowe bloki i rzędy garaży. Na jednym z nich widniał ogromny napis: „Precz z Kuczmą". Zapytałam, co jest tam napisane. Mama odpowiedziała: „To o naszym prezydencie". W ten sposób wielka polityka wkroczyła i pozostała w moim dziecięcym życiu.

Niedługo później, we wrześniu 2004 roku szykowałam swój pierwszy szkolny plecak, a już w listopadzie na Majdanie Niezależności zawieszano pierwsze pomarańczowe wstążki z napisem „Juszczenko TAK" – rozpoczęła się pomarańczowa rewolucja. Nie bardzo rozumiałam, co się dzieje. Ale do naszego domu zaczęli przychodzić znajomi rodziców, przynosili ukraińskie flagi i mówili, że są „z duchem rewolucji".

Na przerwach w szkole prawie wszyscy krzyczeliśmy rewolucyjne hasła, powtarzaliśmy głównie to, co słyszeliśmy w domach: o tym, co się dzieje na Majdanie, kto musi wygrać, a kto jest wrogiem. Oczywiście bez głębszych refleksji, przecież mieliśmy po sześć lat.

Pamiętam też swoją pierwszą szkolną tablicę, na której ktoś przykleił naklejkę z Juszczenką i hasłem wyborczym. Nauczycielka powiedziała, że szkoła nie jest miejscem dla polityki, i próbowała ją zerwać. Klej był jednak tak mocny, że przez kolejne cztery lata uczyliśmy się z białym śladem po tej naklejce. Każdy pamiętał, co na niej było. Ten ślad jakby przypominał, że polityki nie da się usunąć ani ze szkoły, ani z życia.

eprasa.pl 7d207e4b08

Potem przyszedł rok 2013. Rewolucja godności. Byłam w przedostatniej klasie szkoły średniej, rok przed maturą – w wieku, w którym wszystko przeżywa się intensywniej. Nie znaliśmy jeszcze politycznych definicji, ale czuliśmy, gdzie leży dobro, a gdzie zło.

Jedna z koleżanek chodziła z rodzicami na protesty, a potem wracała do klasy i opowiadała nam, co tam widziała. Na przerwach ciągle oglądaliśmy nagrania z barykad, a na lekcjach pytaliśmy nauczycieli, co o tym myślą. Rewolucja dosłownie wchodziła do naszych klas.

Wchodziła też do naszych domów. Byliśmy za młodzi, żeby stać na barykadach, ale rewolucja wnikała w nasze umysły na różne sposoby: z opowieści rodziców, z ich napięcia, z zapachu dymu od palonych opon, który czuło się na ubraniach dorosłych wracających z Majdanu. I tak było nie tylko w Kijowie – na rewolucję zjeżdżali się ludzie z całej Ukrainy, zarówno z dużych miast, jak i z miasteczek czy wsi.

Bez przerwy oglądałam nagrania z Majdanu. Najgorsze momenty – gdy przez plac niesiono na rękach trumny z pierwszymi zabitymi. Te obrazy trudno było potem wymazać z pamięci. Oznaczały nieodwracalność tego, co się dzieje – że kraj, w którym żyję, już nigdy nie będzie taki sam. Zrozumiałam, że ludzie naprawdę są gotowi oddać życie za ojczyznę.

Na korytarzach pierwszoklasiści biegali i bawili się w Berkut i protestujących, prawie tak samo jak my robiliśmy za czasów pomarańczowej rewolucji. W tym samym okresie oglądałam w internecie „Leninopad" – obalanie pomników Lenina, także tego, obok którego przechodziłam tysiące razy.

Osiem lat później siedziałam w kuchni z grupą rówieśników – rozmawialiśmy o życiu. Było nas sześcioro albo siedmioro. Każdy z nas, niezależnie od szczegółów własnych historii czy miejsca urodzenia, wspomniał właśnie te wydarzenia. Rewolucja godności była dla nas doświadczeniem pokoleniowym – czymś, co nas ukształtowało.

Podczas pomarańczowej rewolucji byliśmy jeszcze za mali, żeby naprawdę ją przeżyć i świadomie zrozumieć, co się dzieje. Dla wielu z nas to raczej zbiór urywków: obrazów z telewizji, rozmów dorosłych, pomarańczowych wstążek przypiętych do kurtek. Ale tak czy inaczej, uważam, że właściwie możemy nazywać siebie dziećmi obu rewolucji.

2. Wojna

Po rewolucji rozpoczęła się aneksja Krymu i wojna na wschodzie Ukrainy. W wieku piętnastu lat patrzyłam na pojawiające się „zielone ludziki", które zabierają coś, co się im nie należy. W tym czasie pierwsi znajomi i znajomi znajomych poszli na front. To było dziwne i trudne do zaakceptowania. Z jednej strony słuchało się opo-

eprasa.pl 7d207e4b08

wieści pradziadków o okrucieństwach II wojny światowej, a z drugiej – słowa „wojna", „front" znowu stawały się codziennością.

Dla nas, nastolatków z terytoriów wtedy nieobjętych działaniami wojennymi, najważniejsze było to, że do naszych szkół, bloków, podwórek, sklepów zaczęli trafiać przesiedleńcy – ludzie zmuszeni opuścić domy w obwodach donieckim, ługańskim i na Krymie. Od nich dowiadywaliśmy się, czym naprawdę jest wojna.

Pamiętam nowego kolegę w klasie, który pochodził z Doniecka. Opowiadał, że jego dom spłonął. Na przerwach szkolnych mówił o strachu na punktach kontrolnych separatystów i o niesprawiedliwości przymusowej ucieczki z własnego miasta. Wtedy właśnie nauczyliśmy się klękać, gdy naszą ulicą przejeżdżał kondukt z poległym obrońcą Ukrainy. A każde wydanie wiadomości zaczynało się od przedstawienia sytuacji na froncie.

To temat rzeka, ale chcę wspomnieć mojego przyjaciela – Wowę. 24 lutego 2022 roku miał dziewiętnaście lat. Wziął paszport i poszedł do komisariatu wojskowego jako ochotnik. Do dziś walczy na najtrudniejszych obszarach frontu.

Lubimy sarkastycznie żartować, powtarzamy pytanie, które kiedyś stało się jednym z haseł rosyjskiej propagandy: „Gdzie byliście przez osiem lat?". W ten sposób Rosjanie próbowali przesunąć akcent odpowiedzialności i ukarać Ukrainę za rzekome „milczenie" wobec wydarzeń po 2014 roku. Tym samym usprawiedliwiali inwazję w 2022 roku. Nasza odpowiedź jest prosta: „W szkole". Bo kiedy wojna już trwała, my po prostu dorastaliśmy: siedzieliśmy w ławkach, zdawaliśmy egzaminy, wybieraliśmy studia i zawody. A równolegle nasi bliscy i znajomi szli na front albo uciekali ze swoich domów, ratując życie. Tak wyglądało nasze dorastanie.

3. Język

Kiedy poszłam do szkoły, od razu pojawiły się problemy. Pochodziłam z rodziny ukraińskojęzycznej, co w Kijowie w latach zerowych wcale nie było oczywistością. W mojej klasie wszyscy mówili po rosyjsku. Jako jedyna z trzydziestu sześciu uczniów mówiłam po ukraińsku, choć formalnie była to klasa ukraińskojęzyczna. Nauczyciele rozmawiali z innymi uczniami po rosyjsku, a do mnie demonstracyjnie zwracali się po ukraińsku. Koledzy i koleżanki zaczęli nazywać mnie „wieśniarą", bo w tamtym czasie rosyjski uchodził za prestiżowy, mówienie nim było modne, a język ukraiński oznaczał „pochodzenie ze wsi" i „bycie niekumatym".

To była część skomplikowanych procesów społecznych i propagandowych, których jako sześciolatka oczywiście nie rozumiałam. Chciałam tylko nie odstawać. Po kilku miesiącach zaczęłam mówić po rosyjsku i wstydziłam się przy kolegach odzywać do mamy po ukraińsku.

eprasa.pl 7d207e4b08

Wiele osób, które przyjeżdżały z mniejszych miejscowości do Kijowa czy innych dużych miast – Dniepra (wtedy Dniepropetrowska), Charkowa czy Odessy – nagle zaczynało mówić po rosyjsku, chcąc dopasować się do otoczenia. Zdarzały się przy tym niezręczne sytuacje – u niektórych wyraźnie słychać było silny akcent zdradzający, że to język nabyty, a nie naturalny.

Dorastaliśmy we wspólnej rosyjskojęzycznej przestrzeni kulturowej. Ukraińska telewizja i internet były w większości rosyjskojęzyczne. Oglądaliśmy rosyjskie filmy, słuchaliśmy rosyjskiej muzyki albo produkcji tworzonej przez Ukraińców z myślą o rosyjskim rynku. Przez długi czas to właśnie popularność w Rosji była dla naszych celebrytów wyznacznikiem sukcesu. Znaliśmy rosyjskie konteksty, memy i gwiazdy często lepiej niż własne.

Po rewolucji godności coś się jednak zaczęło zmieniać. Rozpoczął się proces ukrainizacji. Coraz więcej osób nosiło wyszywanki, w Kijowie wreszcie można było usłyszeć, jak w marszrutce mówią o przystanku autobusowym: *„na zupynci"*, a nie *„na astanowkie"*. Zaczęło pojawiać się więcej ukraińskojęzycznej muzyki, filmów i książek.

Dziadkowie, którzy przeżyli II wojnę światową, życzyli nam „czystego nieba", wnosząc w naszą codzienność pewien lęk przed powrotem wydarzeń, które oni nieśli ze sobą całe życie.

My, jako młodzi ludzie, zaczęliśmy coraz bardziej interesować się tym, co nasze i autentyczne, a nie narzucone z zewnątrz. Trzeba jednak przyznać, że proces ten nie był prostą drogą. Czasem robiliśmy krok do przodu, a potem dwa w tył – po przejściu na ukraiński wracaliśmy do rosyjskiego, nadal oglądając rosyjskie programy.

Na przykład rosyjski YouTube, który szybko się rozwijał, a rozrywkowe treści kierowane do młodych ludzi zalewały naszą przestrzeń. Za wieloma twórcami stał na przykład Gazprom Media, co wyróżniało ich produkcje pod względem jakości obrazu – drogie dekoracje, dobry dźwięk. Tylko że nie zdawaliśmy sobie sprawy, że do tego dochodziły także rosyjskie narracje, podane często w subtelny, niemal niezauważalny sposób. Zmiana przyzwyczajeń związanych z rosyjskimi treściami była procesem nierównym i często niełatwym.

Także nasza władza podejmowała różne ustawy mające na celu wzmocnienie roli języka ukraińskiego zarówno w edukacji, jak i w mediach. Od 2017 roku w radiu i telewizji obowiązują tzw. kwoty językowe – co najmniej 75 procent czasu antenowego musiało być po ukraińsku. Jednocześnie państwo wspiera rozwój kultury ukraińskiej poprzez dotacje dla wydawnictw, produkcji filmowych i muzycznych, artystów etc.

W szkołach wprowadzono obowiązkowe nauczanie po ukraińsku, a ustawa z 2019 roku „O zapewnieniu funkcjonowania języka ukraińskiego jako języka pań-

eprasa.pl 7d207e4b08

stwowego" zaczęła regulować jego obecność w mediach, reklamie i usługach publicznych. Oznaczało to na przykład, że klient w sklepie powinien być obsługiwany w języku ukraińskim.

Chcę powiedzieć, że dorastanie naszego pokolenia przypadło na czas odradzania się kultury narodowej i kształtowania współczesnej ukraińskiej tożsamości. Język ukraiński coraz częściej stawał się naturalnym środkiem komunikacji – w szkołach, mediach, projektach kulturalnych i codzienności – co stopniowo budowało bardziej świadome podejście do własnej kultury.

Także pełnoskalowa wojna oczywiście sprawiła, że wiele rzeczy przestało być obojętnych lub „neutralnych". Język stał się wyborem, pewną deklaracją.

Kiedy włączam YouTube'a, w proponowanych filmikach coraz częściej pojawiają się treści po ukraińsku, na przykład o ukraińskich książkach, o których słyszeliśmy, ale nie mieliśmy czasu przeczytać, bo przecież trzeba było na lekcjach przerabiać Tołstoja czy Dostojewskiego. Jednak gdy od czasu do czasu rosyjskie utwory pojawiają się w muzycznych rankingach na ukraińskich platformach, młodzież zaczyna podchwytywać temat i protestować.

4. Doświadczenie poprzednich pokoleń

Istotnym elementem kształtowania światopoglądu naszego pokolenia był bezpośredni kontakt z członkami rodziny, którzy przeżyli przełomowe wydarzenia. Wielu z nas miało okazję spotkać żywych świadków najtragiczniejszych kart naszej historii – II wojny światowej, Wielkiego Głodu lat 1932–1933 czy represji stosowanych za czasów ZSRR. Pradziadkowie przekazywali wspomnienia o tych wydarzeniach jako osobiste doświadczenia, co sprawiało ogromne wrażenie.

Moja prababcia za każdym razem, gdy siadała z nami do stołu, wracała do wspomnień o głodzie. Opowiadała o zamarzniętych ziarenkach zboża, które jako pięcioletnia dziewczynka zbierała na polu, z którego całe ziarno wcześniej wywieziono do Moskwy. To było niby dawno temu, a jednak ta historia żyła w naszych rodzinnych rozmowach przez całe moje dzieciństwo – i trwa do dziś, nawet po śmierci prababci.

Jej trauma przeszła na nas. Na przykład w rodzinie nigdy nie kupuje się kilograma cukru czy mąki, lecz nabywa się te produkty w dużych, pięćdziesięciokilogramowych workach. Poza tym mamy dwie zamrażarki, które pozwalają robić więcej zapasów na przyszłość. To nie jest tylko kwestia gospodarności, lecz echo doświadczenia, że jedzenia może nie wystarczyć, że ono może zniknąć.

Podobnie było z II wojną światową. Dziadkowie najczęściej życzyli nam „czystego nieba", wnosząc w naszą codzienność pewien lęk przed powrotem wydarzeń, które oni nieśli ze sobą całe życie.

eprasa.pl 7d207e4b08

5. Dostęp do psychologii

Dorastaliśmy w cieniu pewnego radzieckiego tabu wobec psychologii i przy ograniczonym dostępie do wiedzy o zdrowiu psychicznym. Dla naszych rodziców i dziadków psychologia była synonimem represyjnych praktyk: w czasach ZSRR osoby o antyrządowych poglądach umieszczano w szpitalach psychiatrycznych.

Wizyta u psychologa była rzadkością, a temat zdrowia psychicznego uznawano za coś dziwnego i nieznaczącego, a często nawet budzącego podejrzenia. Rodzice wychowywali nas intuicyjnie, bez poradników „jak należy", wielu stosowało kary fizyczne. Bicie pasem po pośladkach było „normalne", niektórych karano klęczeniem na kaszy gryczanej albo kilkugodzinnym staniem w kącie. To była dyscyplina. Moja rodzina straszyła, nie przechodziła do czynów.

Sytuacja zaczęła się zmieniać wraz z upowszechnieniem się internetu w domach, pojawianiem się artykułów, książek i programów o psychologii. Zaczęliśmy mówić o własnych granicach i separacji, co często budziło zdziwienie rodziców. Kiedyś podczas kłótni mama stwierdziła, że powodem naszego konfliktu i całym złem jest psycholog, który powiedział mi, że problemy wynikają z dzieciństwa.

Dlatego wydaje mi się, że jesteśmy pierwszą generacją, która uczy się świadomie bronić własnych granic, wychodzić z toksycznych związków i szukać wsparcia dla zdrowia psychicznego. Odchodzimy z pracy, w której wymagają nadgodzin bez wynagrodzenia, nie tolerujemy szefa, który obraża. Ważna jest dla nas równowaga między życiem zawodowym a prywatnym. W przeciwieństwie do rodziców, którzy cenili stabilność i sukces mierzony posiadaniem mieszkania, samochodu i działki, dla nas ważniejsza jest jednak jakość życia i samopoczucie.

6. Internet

Ci, którzy piszą o pokoleniu Z, często twierdzą, że urodziliśmy się w świecie telefonów i internetu. W przypadku ukraińskich trzydziestolatków nie do końca tak jest. Wychowaliśmy się na granicy świata analogowego i cyfrowego, gdzie każda nowinka wydawała się małym cudem. Nadal pamiętam mrowienie w brzuchu, kiedy trzymałam w rękach pierwszy telefon komórkowy taty – miałam wtedy siedem czy osiem lat. Internet w domu pojawił się jeszcze później, mniej więcej w 2012 roku. Do tej pory pierwsze kontakty z siecią odbywały się raz na miesiąc – mogłam przychodzić do taty do pracy i tam ściągać piosenki czy filmy na pendrive'a.

Gdy internet w końcu trafił do domu, zarejestrowałam się na VKontakte, rosyjskim odpowiedniku Facebooka. Teraz jest zakazany w Ukrainie, bo służy rosyjskiemu reżimowi, ale wtedy za jego pomocą zaczęło się kształtować poczucie, że świat

eprasa.pl 7d207e4b08

nie kończy się na kilku ulicach wokół domu czy na szkole. Tematyczne grupy i społeczności pozwalały odkrywać różne zainteresowania ludzi z całego kraju, a nawet świata. Prawdziwym przełomem był Chatroulette – losowy czat, na którym można było natrafić na kogoś z dowolnego zakątka globu. To naprawdę uczyło orientować się w świecie poza znanym otoczeniem.

7. Eurowizja

Rok 2004 zapisał się w pamięci Ukraińców nie tylko dzięki pomarańczowej rewolucji, ale także dzięki triumfowi Ukrainy na Eurowizji. Zwycięstwo Rusłany i piosenki *Wild Dances* było przełomowym momentem, bo stało się jasne: jesteśmy interesujący, oryginalni i możemy przyciągać uwagę całej Europy.

Od tego czasu konkurs stał się corocznym rytuałem. Krajowe eliminacje przyciągają uwagę, są pełne sporów i dramatów. Od kilku lat Ukraina stawia na autentyczność – ukraińskie motywy, język, folklor, pamięć historyczna. W 2016 roku zwyciężyła Jamala z piosenką *1944*, poświęconą tragedii deportacji Tatarów krymskich z Półwyspu Krymskiego.

Pełnoskalowa wojna sprawiła, że wiele rzeczy przestało być obojętnych lub „neutralnych". Język stał się wyborem, pewną deklaracją.

Kalush Orchestra w 2022 roku zwyciężyli w cieniu pełnoskalowej wojny z piosenką *Stefania*. Piosenka poświęcona matce zabrzmiała jak hymn miłości i tęsknoty za domem. Oczywiście było też wiele świetnych, wyróżniających się ukraińskością występów, które nie zajęły pierwszego miejsca – chociażby zespół Go-A czy duet Jerry Heil i alyona alyona.

8. Bez wizy do Unii

11 czerwca 2017 roku stał się dla Ukraińców symboliczną datą otwarcia – zyskaliśmy prawo do swobodnego podróżowania po krajach Unii Europejskiej bez wiz. Zniknęły upokarzające kolejki pod ambasadami, stosy dokumentów i niepewność, czy ktoś nie odmówi nam wjazdu. To był moment przełomu – granica przestała być przeszkodą.

Na rynku pojawili się nowi przewoźnicy, liczba dostępnych kierunków gwałtownie wzrosła. Europa stała się realnym miejscem na weekendowy wypad, a nie jakimś niezrealizowanym marzeniem.

Po raz pierwszy na taką skalę mogliśmy wyjść poza własną kulturową i informacyjną bańkę. Zobaczyć, jak funkcjonują inne społeczeństwa, jak zorganizowana jest

eprasa.pl 7d207e4b08

przestrzeń publiczna, przyjrzeć się codziennym detalom: w jaki sposób obsługuje się klientów w kawiarniach, jak buduje się atmosferę takich miejsc. Podróżowanie przestało być luksusem, a stało się jednym z narzędzi kształtowania świadomości i estetyki.

9. Niepodległa Ukraina

To punkt ostatni, ale zarazem najważniejszy i podstawowy. To fundament, z którego wyrasta cała reszta. Nasze pokolenie urodziło się po 24 sierpnia 1991 roku. Nie pamiętamy ZSRR, choć w pewnym sensie go jeszcze stopniowo odziedziczyliśmy – jako dzieci naszych rodziców i dziadków. Lęki, nieufność wobec państwa, przekonanie, że lepiej czasami się nie wychylać – to wszystko przenikało do naszego świata, ale już nie tworzyło go w całości.

Urodziliśmy się w wolnym kraju, dorastaliśmy równolegle z nim. Nasze dzieciństwo to mieszanka niepewności i rodzących się możliwości – pierwszych świadomych wyborów dotyczących języka, tożsamości, stylu życia. Nasz horyzont naturalnie przesuwał się w stronę Europy i świata, ku otwartym granicom, możliwościom, nowym perspektywom, nadziejom na zmianę jakiegoś imperialnego centrum życia poprzednich pokoleń.

Wolność nie była dla nas patetycznym hasłem, lecz stanowiła tło codzienności. Od najmłodszych lat towarzyszyło nam wewnętrzne przekonanie, którego potwierdzenie widzieliśmy podczas obu rewolucji – można wybierać, można coś zmieniać, można się sprzeciwiać.

Zoriana Varenia jest politolożką i dziennikarką z Ukrainy. Obecnie pracuje w redakcji portalu „Nowa Polszcza", współpracuje także z innymi redakcjami, m.in. z Radiem 357.

eprasa.pl 7d207e4b08

Szkoła w czasie wojny

Michał Borowik

Wiele Ukraińskich dzieci nigdy nie siedziało w szkolnej ławce. W miastach znajdujących się w pobliżu frontu dostępu do edukacji nie ma wcale. Nieustające bombardowania i ataki dronów sprawiają, że prosta droga do szkoły staje się niebezpieczna dla życia.

Według badania przeprowadzonego przez Plan International, organizację humanitarną i rozwojową z siedzibą w Wielkiej Brytanii, wśród tysiąca osób w wieku od piętnastu do dwudziestu czterech lat w Ukrainie jedna piąta (19,8 procent) straciła w wyniku wojny od roku do dwóch lat nauki.

Jak powiedział analityk organizacji: „Niektóre dzieci w piątej lub szóstej klasie nie potrafią czytać, ponieważ materiały edukacyjne umieszczono w sieci, a najmłodsi, pozbawieni wsparcia nauczycieli, sami nie rozpoczną nauki".

Sytuacja jest znacznie poważniejsza w przypadku uczniów mieszkających na wsi. Dzieci te mają średnio cztery do pięciu lat opóźnienia w stosunku do swoich rówieśników. Ukraiński rząd zdecydował się na kontynuację edukacji przez internet (jak było podczas pandemii COVID-19) bądź w podziemnych szkołach utworzonych w bunkrach.

Młodzi Ukraińcy i Ukrainki mają nie tylko braki w wiedzy, ale też poważne problemy w socjalizacji z rówieśnikami. Zdarza się, że rząd nie jest w stanie zapewnić dzieciom możliwości nauki w jednym pomieszczeniu. Coraz częściej zadanie to biorą na siebie organizacje pozarządowe.

Układ słoneczny

W Charkowie wraz z grupą psychologów z organizacji Children's Voices (zapewnia ona bezpłatną pomoc maluchom i młodzieży dotkniętym wojną) udaliśmy się do Pokotyliwki, osiedla miejskiego na południu od miasta. Tu, podobnie jak w innych małych miasteczkach oraz wsiach znajdujących się w pobliżu frontu, dzieci nie mają praktycznie żadnej możliwości spotykania się z rówieśnikami. Szkoły, które funkcjonowały przed wojną, zostały zamknięte lub zniszczone. Nie sprawdza się także nauka online, ponieważ brakuje dostępu do szybkiego internetu.

Według raportu UNICEF ponad 1600 ukraińskich szkół zostało uszkodzonych bądź zniszczonych w ciągu ostatnich trzech lat. Z tego powodu aż 40 procent dzieci

eprasa.pl 7d207e4b08



Michał Borowik

W małych ukraińskich miasteczkach w pobliżu frontu dzieci nie mają praktycznie żadnej możliwości spotykania się z rówieśnikami. Szkoły zostały zamknięte lub zniszczone. Nie sprawdza się nauka online – brakuje szybkiego internetu.

nie ma dostępu do przedszkola, a 40 procent młodzieży może się uczyć tylko zdalnie lub w sposób hybrydowy.

Wiele organizacji pomocowych działa głównie we wsiach znajdujących się w bezpośredniej bliskości frontu, przez co dzieci mieszkające nieco dalej od jego linii tracą praktycznie wszelki dostęp do edukacji. Problemem pozostaje także fakt, że jest zbyt mało organizacji, które mogłyby działać na terenach ogarniętych wojenną zawieruchą.

Zgodnie ze słowami Munira Mammadzade, wiele dzieci w wieku przedszkolnym nigdy nie uczęszczało do przedszkola. W regionach najbardziej zapalnych aż 83 procent małych dzieci wykazuje oznaki zaburzeń emocjonalnych i opóźnień w rozwoju. Mammadzade podkreśla, że „ustrukturyzowana zabawa, interakcja i nauka, które zapewniają przedszkola, mają zasadnicze znaczenie dla wczesnego rozwoju dziecka i jego edukacyjnej drogi do dorosłości".

Organizacja, z którą przyjechałem do położonego pod Charkowem miasta, pracowała właśnie z takimi dziećmi. Cel zajęć nie jest *stricte* edukacyjny. Specjaliści chcą dać dzieciom możliwość spotkania się i stworzyć dla nich stosunkowo bezpieczną przestrzeń, w której mogą poddać się terapii poprzez rysowanie lub pisanie, mogą zaprezentować swoje prace w grupie.

Psycholog pytała dzieci, jak się czują, rozmawiając z nimi twarzą w twarz, by uzyskać nieco więcej szczegółów. Tego dnia dzieci miały za zadanie narysowanie planet Układu Słonecznego, a następnie wymyślenie historii związanej z rysunkiem i przedstawienie jej przed klasą.

eprasa.pl 7d207e4b08

Młodzież szybko zabrała się do pracy. W ruch poszły markery, kredki i kolorowe długopisy. Psycholożka rozmawiała z nimi, pytała o samopoczucie. Chciała, by jak najwięcej mówiły, a także wymieniły się pomysłami.

Dzieci angażowały się w pracę z radością, przekomarzały się, żartowały. Doświadczały tego, co w czasie pokoju jest normą, a w czasie wojny staje się luksusem. Ta terapeutyczna sesja grupowa to „aktywność psychospołeczna". Służy jako pierwsza pomoc psychologiczna dla dzieci dotkniętych konfliktem. Działania te obejmują sztukę, aktywność fizyczną i oczywiście stałe wsparcie psychologiczne.

Alarm bombowy może zawyć w każdej chwili, również podczas zajęć. Część terapii odbywa się na zewnątrz, gdzie dzieci są dodatkowo zagrożone. Kiedy wyją syreny, zespół lekarzy ma za zadanie sprowadzić dzieci i młodzież do schronu. Muszą jednak uczynić to w sposób, który nie zaburzy w nich nowo powstałego poczucia bezpieczeństwa. Na zagrożenie dzieci reagują na różne sposoby: paniką, obojętnością, a nawet śmiechem. W schronie niektóre dzieci czują potrzebę wypłakania się, wykrzyczenia, bo sytuacja je przerasta. Wszystkie te czynniki biorą pod uwagę opiekunowie chcący zapewnić im bezpieczeństwo. Stres rozładowują stopniowo, na przykład ćwicząc z dziećmi miarowy, spokojny oddech.

Krok od śmierci

Wiele dzieci dusi w sobie emocje związane z wojną. Nie wiedzą, jak poradzić sobie ze strachem i sytuacją, na którą nie mają żadnego wpływu. Psychologowie starają się stworzyć dla nich przestrzeń do komfortowej rozmowy. Specjalista zadaje dziecku pytania, chce, by nie trzymało w sobie ciężkich doświadczeń oraz emocji związanych z wojną. W sytuacjach, w których najmłodsi nie czują się gotowi do rozmowy na tematy wojny czy nawet do brania udziału w zajęciach grupowych, nie są do tego zmuszani. Siedzą z boku, obserwują, słuchają. Niektóre mierzą się z bardzo wstydliwymi problemami wywołanymi stresem, na przykład doświadczają nocnego moczenia się, samookaleczają się. Są to sytuacje wymagające natychmiastowej interwencji psychologicznej, ponieważ rodzice nie zawsze potrafią sobie z nimi poradzić. Organizacje pozarządowe oferują dziesięć bezpłatnych sesji psychologicznych dla dzieci oraz rodziców. Jeśli po zakończeniu spotkań pomoc nadal jest potrzebna, organizacja stara się wysłać dzieci do psychologa, który byłby w stanie kontynuować terapię. Sześcio-, siedmiolatki nie rozumie-

Dzieci porwane przez Rosjan i mieszkające na terenach okupowanych mają luki w podstawowej wiedzy. Ciężko im też posługiwać się językiem ukraińskim.

eprasa.pl 7d207e4b08

ją, że w taki sposób reagują na ekstremalne warunki związane z ciągłymi bombardowaniami, wstydzą się, mają poczucie winy. Z czasem nabierają zaufania i otwierają się przed psychologiem.

Proces leczenia rozpoczyna się od konsultacji z rodzicami i rozmowy z dzieckiem. Następnie dla każdego dziecka układany jest indywidualny plan leczenia. Sesje terapeutyczne odbywają się raz w tygodniu niezależnie od grupowych zajęć.

Dzieci, których rodzice walczą na froncie, wymagają szczególnej opieki psychologicznej. Mają duży problem ze skupieniem uwagi. Matki nie zawsze mają dla nich czas, muszą sprostać wszystkim obowiązkom. Najmłodsi tęsknią za ojcem (a czasem matką). W zależności od wieku nie zawsze rozumieją, dlaczego jedno z ich rodziców walczy i tak często jest poza domem. Jeszcze większą tragedią jest, gdy ojciec (lub matka) ginie na froncie. Dzieci ze wschodniej Ukrainy bardzo często muszą mierzyć się nie tylko z utratą rodziców, ale i rówieśników.

Pomocy potrzebują także rodzice. Muszą ustabilizować własne emocje, aby zapewnić emocjonalne bezpieczeństwo swoim dzieciom.

Według danych UNICEF od czasu rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji w Ukrainie co piąte dziecko straciło bliskiego krewnego lub przyjaciela. „Od zbyt dawna śmierć i zniszczenie są stałym elementem życia dzieci w Ukrainie" – powiedziała dyrektor wykonawcza UNICEF Catherine Russell. „Taki poziom przemocy powoduje ogromny strach i cierpienie oraz zakłóca każdy aspekt ich życia". W większości organizacji pozarządowych oferujących pomoc psychologiczną nie pracują psychiatrzy. W szczególnie ekstremalnych – wymagających podania leków – przypadkach dzieci trafiają do lekarza będącego w stałym kontakcie z organizacją. Niekiedy potrzebna jest hospitalizacja.

Kim jestem?

Dzieci tworzą także rzeczy z plasteliny, papieru, rysują. Prowadzone są zajęcia ruchowe. Psychologowie wyjaśniają, że jednym z głównych celów „aktywności psychospołecznej" jest zaszczepienie dzieciom pewnych nawyków komunikacyjnych, których pozbawiła je wojna.

Charków chociażby oferuje naukę w „szkołach bunkrowych", czyli zlokalizowanych pod ziemią, na przykład w metrze. Nie są one jednak dostępne dla wszystkich dzieci, a poza tym do tego typu placówki uczęszczać można zazwyczaj dwa, trzy razy w tygodniu.

Pomocy potrzebują także rodzice. Powinni umieć ustabilizować własne emocje, aby zapewnić emocjonalne bezpieczeństwo swoim dzieciom. Praca z dziećmi ozna-

eprasa.pl 7d207e4b08

cza więc pracę z całymi rodzinami, aby postępy osiągnięte podczas sesji nie zostały zaprzepaszczone.

– Rodzice dzieci, z którymi pracujemy, opowiadają nam, że czują naprawdę olbrzymią różnicę w rozwoju swoich pociech. Stwierdzają, że przeszły wręcz metamorfozę – mówi jedna z psycholożek pracujących dla organizacji Głosy Dzieci.

Na terenach okupowanych przez Rosję edukacja skupia się przede wszystkim na rusyfikacji i nauczaniu ich rosyjskiej interpretacji historii. Rodzice często nie pozwalają najmłodszym wychodzić z domów, bojąc się, że trafią do rosyjskiej szkoły. Powoduje to powstawanie dużych luk w edukacji. Według organizacji Save Ukraine, zajmującej się ratowaniem porwanych przez Rosjan dzieci oraz dzieci z terenów okupowanych, młodzież wraca do ojczyzny z podstawowymi brakami wiedzy. Miewają problemy z językiem ukraińskim (używanie go było na terenach okupowanych zabronione).

Na terytoriach okupowanych dzieci nauczane są propagandowych bredni. Wmawia się im, że II wojna światowa nigdy się nie skończyła, że Ukraina jest kontrolowana przez nazistów oraz że Ukraina i Rosja są tak naprawdę jednym krajem. Propaganda działa: niektóre z nich zaczynają zastanawiać się, czy są Ukraińcami, czy Rosjanami.

Nawet w najbardziej sprzyjających warunkach niezwykle trudno będzie zniwelować lukę edukacyjną powstałą w wyniku tej wojny. Dzieci będą potrzebować kompleksowej pomocy psychologicznej, do której obecnie nie wszystkie przecież mają dostęp. Niektóre z nich urodziły się podczas wojny i nie wiedzą, czym jest pokój. Niektóre doświadczyły wyłącznie przesiedlenia. Pierwsze lata dzieciństwa są kluczowe w kontekście rozwoju dziecka i bez wątpienia wpływają na rozwój psychofizyczny i edukację. W raporcie UNICEF czytamy, że prawie jedna trzecia nastolatków zgłasza, że czuje się samotna i pozbawiona nadziei, i nie jest w stanie wykonywać codziennych czynności.

Michał Borowik jest reporterem. Pracuje w Ukrainie, specjalizuje się w problemie edukacji.

eprasa.pl 7d207e4b08

Minister nadziei? Kim jest nowy szef resortu obrony Ukrainy

Zoriana Varenia

Rok 2026 w Ukrainie rozpoczął się od istotnych zmian kadrowych w strukturach państwowych, obejmujących także sektor obrony. Zazwyczaj takie roszady budzą w społeczeństwie ostrożność i ograniczone zaufanie. Tym razem jednak reakcja opinii publicznej była inna. Nastrój optymizmu i nadziei wywołał urodzony w 1991 roku Mychajło Fedorow, który został najmłodszym szefem tego resortu w historii współczesnej Ukrainy.

Fedorowa wyróżnia jednak nie tylko wiek. Przez sześć lat kierował Ministerstwem Transformacji Cyfrowej Ukrainy, początkowo łącząc tę funkcję ze stanowiskiem wicepremiera, a następnie pierwszego wicepremiera. Jest on jedynym ministrem, który przetrwał wszystkie reorganizacje rządu ostatnich lat, nieprzerwanie pełniąc funkcję od początków prezydentury Wołodymyra Zełenskiego. Ponadto Fedorow należy do bardzo nielicznego grona członków pierwotnego zespołu, z którym Zełenski rozpoczynał aktywność polityczną.

Dzięki działaniom Mychajła Fedorowa cyfryzacja usług publicznych w Ukrainie stała się jedną z najbardziej udanych reform. Efektem było też to, że według danych Centrum im. Razumkowa jesienią 2024 roku był on jedynym ministrem, któremu Ukraińcy bardziej ufali, niż nie ufali.

Czy tak będzie w dłuższej perspektywie? Zobaczymy. Na razie nominacja Fedorowa sprawia, że został on już czwartym szefem resortu obrony od początku pełnoskalowej wojny Rosji przeciwko Ukrainie. „Ukraińska Prawda", będąca jednym z najbardziej wpływowych ukraińskich mediów, opublikowała materiał o nowym ministrze pod tytułem *Minister, któremu wierzą nawet ateiści wojenni*. W tekście podkreślono, że wobec Fedorowa formułowane są bardzo wysokie oczekiwania – zarówno ze strony środowisk wojskowych i cywilnych, jak i w szczególności ze strony prezydenta.

eprasa.pl 7d207e4b08

Skąd się wziął Fedorow

Minister urodził się w Wasyliwce w obwodzie zaporoskim. Jego rodzinne miasto w pierwszych dniach inwazji znalazło się pod rosyjską okupacją. Pod okupacją znaleźli się także członkowie rodziny Fedorowa oraz jego żony Anastazji. Matka i babcia polityka zdołały opuścić teren dzień przed rozpoczęciem pełnoskalowego ataku Rosji, jednak część krewnych tam pozostała. W jego domu rodzinnym szybko pojawili się rosyjscy żołnierze, a jego wujek został przez nich porwany.

Ojciec Fedorowa w pierwszym tygodniu okupacji miał udar i początkowo nie otrzymał odpowiedniej pomocy medycznej, w wyniku czego musiał na nowo uczyć się mówić i chodzić. Ostatecznie udało się go przetransportować na terytorium kontrolowane przez Ukrainę, gdzie jego stan zdrowia stopniowo się poprawiał, jednak pozostał osobą z niepełnosprawnością.

Fedorow ukończył socjologię i zarządzanie w Zaporożu. Podczas studiów pełnił funkcję „studenckiego mera" miasta, koordynując projekty społeczne i edukacyjne dla młodzieży. W czasie studiów zainicjował jeden z największych w Zaporożu ruch Aktyw-Z, skupiający aktywną młodzież wokół idei samorządności, odpowiedzialności społecznej i rozwoju środowiska miejskiego.

Fedorow także ukończył Wyższą Szkołę Polityczną oraz Szkołę Edukacyjną Przedstawicieli NATO w Ukrainie. Otrzymywał stypendium OBWE w ramach monitorowania ekologii w obwodzie zaporoskim. Według niektórych informacji uczestniczył także w programie Strategii Transformacji Cyfrowej w Yale School of Management.

Pierwsze pieniądze Mychajło Fedorow zaczął zarabiać jednak jeszcze przed rozpoczęciem studiów. Pracował u rolników, od około czwartej rano do późnych godzin wieczornych zbierając z pól pomidory i arbuzy. Taką pracę kontynuował również podczas pierwszych lat studiów wyższych. Wtedy równocześnie próbował prowadzić własny biznes – kupował na Krymie tzw. cebulę jałtańską, następnie uprawiał ją w rodzinnej Wasyliwce i sprzedawał na rynku w Zaporożu.

Nowo mianowany minister zapowiedział odejście od modelu „papierowej armii", w którym decyzje opierają się na raportach, na rzecz systemu wykorzystującego analizę rzeczywistych danych i pomiar efektywności jednostek wojskowych.

Ważnym momentem w jego życiu było pojawienie się pierwszego własnego komputera. Jak przyznaje w wywiadach, na jego zakup składała się cała rodzina, a i tak trzeba było zaciągnąć kredyt. Sprzęt kosztował wówczas około czterech tysięcy hrywien. Fedorow wykorzystywał komputer między innymi do pomocy nauczycielom

eprasa.pl 7d207e4b08

w digitalizacji materiałów edukacyjnych, ale także zajmował się monetyzacją gier komputerowych – zdobywał wirtualną walutę, którą następnie sprzedawał za realne pieniądze w klubach komputerowych.

W 2015 roku Fedorow założył agencję digitalową SMMSTUDIO, specjalizującą się w promocji z wykorzystaniem narzędzi marketingu cyfrowego. Początkowo firma współpracowała z lokalnymi kawiarniami i małymi przedsiębiorstwami, jednak w krótkim czasie zaczęła obsługiwać także większe ukraińskie marki.

Najważniejszym kierunkiem działalności Fedorowa stał się rozwój technologii bezzałogowych systemów powietrznych, czyli dronów. Aktywnie angażował się on w działania związane z jego rozwojem oraz wdrażaniem.

Jak podaje BBC Ukraina, jednym z ważniejszych klientów SMMSTUDIO stał się Kwartał 95, przedsięwzięcie założone przez Wołodymyra Zełenskiego, zanim zajął się polityką. W 2017 roku Fedorow zobaczył promocję tego projektu i skontaktował się z działem sprzedaży. Podczas rozmowy stwierdził, że koszt pozyskania jednej aplikacji przez reklamę wynosi około pięciu dolarów, i zaproponował możliwość obniżenia tej kwoty do dwóch dolarów. Później przedstawiciel projektu Maksym Tkaczenko, dyrektor generalny Kwartał-Koncert i przyszły deputowany z ramienia partii Sługa Narodu – zaintrygowany pewnością siebie Fedorowa – zaprosił go na spotkanie w Kijowie.

Pierwsze kroki polityczne

Mychajło Fedorow poznał osobiście Wołodymyra Zełenskiego latem 2018 roku, około pół roku przed oficjalnym ogłoszeniem przez niego zamiaru startu w wyborach prezydenckich. Fedorow pomógł wówczas opracować stronę internetową dla jednego z projektów Zełenskiego.

Kolejne spotkanie z Zełenskim odbyło się w grudniu tego samego roku, kiedy Fedorow zaprezentował mu już strategię kampanii wyborczej z perspektywy marketingu cyfrowego, a następnie zaangażował się w przygotowania kampanii partii Sługa Narodu.

Działania wyborcze Zełenskiego, prowadzone w dużej mierze w internecie, okazały się na tyle skuteczne, że zwróciły uwagę również na arenie międzynarodowej. W ramach nagrody Europejskiego Stowarzyszenia Doradców Politycznych Polaris Awards kampania otrzymała siedem wyróżnień, w tym w kategoriach digital i SMM.

Następnego dnia po inauguracji prezydent Zełenski powołał Fedorowa na stanowisko doradcy. Przez następne trzy miesiące zajmował się on koordynowaniem

eprasa.pl 7d207e4b08

działań oraz wspieraniem komunikacji między różnymi stronami, z którymi miał współpracować nowy prezydent.

Według BBC Ukraina w tym czasie sam Zełenski nalegał, aby Fedorow kandydował do Rady Najwyższej z ramienia partii Sługa Narodu. Jednak po uzyskaniu mandatu parlamentarnego nie pełnił funkcji posła, ponieważ już pierwszego dnia pracy nowo wybrana Rada powołała go na stanowisko wicepremiera oraz ministra transformacji cyfrowej w nowym składzie rządu. Miał wówczas dwadzieścia osiem lat, co było sytuacją bez precedensu w historii ukraińskiego parlamentu.

Ministerstwo od zera

Wcześniej w strukturach rządowych nie funkcjonowało odrębne ministerstwo odpowiedzialne za cyfryzację, więc zarówno budowę instytucji, jak i samego systemu państwowych usług cyfrowych należało rozpoczynać niemal od podstaw. Proces ten przebiegał jednak bardzo sprawnie.

W maju 2019 roku prezydent Zełenski ogłosił pomysł „państwa w smartfonie". Już we wrześniu tego samego roku Ministerstwo Transformacji Cyfrowej zaprezentowało platformę Diia – stronę internetową oraz aplikację mobilną, które umożliwiały obywatelom dostęp do usług publicznych.

Diia pozwala na przechowywanie w smartfonie dokumentów takich jak prawo jazdy, dowód osobisty czy paszport. Za pośrednictwem platformy można korzystać także z usług państwowych, umożliwiających rejestrację dziecka po urodzeniu, zakładanie działalności gospodarczej online, opłacanie podatków, podpisywanie dokumentów czy zmianę miejsca zamieszkania.

Do 2022 roku portal oferował dostęp do siedemdziesięciu dwóch usług, dziewięciu aplikacji oraz piętnastu dokumentów cyfrowych. Rok wcześniej Rada Najwyższa przyjęła ustawę nadającą elektronicznym paszportom w aplikacji Diia taki sam status prawny jak w przypadku dokumentów papierowych. Według Mychajła Fedorowa Ukraina stała się pierwszym państwem na świecie, w którym e-paszporty uzyskały równoważną moc prawną z dokumentami fizycznymi.

Po sukcesie projektu w 2020 roku Fedorow znalazł się na liście ukraińskiej wersji „Forbes 30 Under 30" w kategorii „Agenci zmian".

Cyfryzacja w stanie wojennym

Od początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Mychajło Fedorow i kierowane przez niego ministerstwo zaczęli działać na rzecz wsparcia ukraińskiego wojska oraz zabezpieczenia jego potrzeb.

eprasa.pl 7d207e4b08

Już trzeciego dnia rosyjskiej agresji Fedorow za pośrednictwem Twittera zwrócił się do Elona Muska z prośbą o zapewnienie Ukrainie dostępu do Starlinków. W rezultacie Ukrainie przekazano pięćset terminali oraz zapewniono początkowo bezpłatny dostęp do systemu, którego koszty w późniejszym okresie przejęli partnerzy Ukrainy. Fedorow kontynuuje komunikację z Muskiem, starając się przekazywać stanowisko Ukrainy oraz informować o sytuacji w kraju.

Jednak najważniejszym kierunkiem działalności ministra stał się rozwój technologii bezzałogowych systemów powietrznych, czyli dronów. Nie ograniczał się on jedynie do wspierania tego obszaru na poziomie „lobbowania" wśród osób bezpośrednio odpowiedzialnych za sytuację na froncie, lecz sam aktywnie angażował się w działania związane z jego rozwojem oraz praktycznym wdrażaniem rozwiązań.

Wielu ekspertów postrzega powołanie Mychajła Fedorowa na stanowisko ministra obrony jako naturalną kontynuację jego dotychczasowej kariery.

W lipcu 2022 roku rozpoczęto projekt „Armia dronów", którego celem był kompleksowy rozwój sektora wojskowych bezzałogowych statków powietrznych oraz zapewnienie Siłom Zbrojnym szerokiego i systemowego dostępu do tego typu technologii. Przy realizacji projektu współpracowali prezydent, Sztab Generalny Sił Zbrojnych, Ministerstwo Obrony oraz Ministerstwo Transformacji Cyfrowej. Na początku środki na drony dla wojska pozyskiwane za pośrednictwem platformy crowdfundingowej UNITED24, którą także rozwijało ministerstwo pod kierownictwem Fedorowa. W 2023 roku raportowano, że w ramach programu „Armia dronów" zakontraktowano ponad 300 tysięcy bezzałogowych statków powietrznych dla żołnierzy, z czego około 90 procent stanowiły drony produkcji ukraińskiej.

Program cały czas bardzo dynamicznie się rozwija, obejmując szkolenie operatorów dronów, rozwój technologii, ich zakup oraz integrację bezzałogowców z systemem obronnym Ukrainy, a nawet zmianę ustawodawstwa w celu jego uproszczenia.

Jak podaje „Suspilne", w 2023 roku, we współpracy z Ministerstwem Obrony i Sztabem Generalnym, Fedorow współtworzył także klaster dla rozwoju technologii obronnych Brave 1, którego celem jest przyspieszenie wdrażania innowacji w wojsku poprzez ograniczenie biurokracji.

W Brave 1 państwo rozpatruje zgłoszenia firm zajmujących się technologiami i przyznaje granty na realizację wybranych projektów. Po testach wyprodukowany sprzęt jest sprzedawany przez dedykowany marketplace bezpośrednio jednostkom Sił Obronnych Ukrainy, które dokonują rozliczeń przy użyciu e-Bał – punktów zdobywanych za skuteczne działania przeciwko okupantom.

eprasa.pl 7d207e4b08

Po 24 lutego 2022 roku rozwijano również platformę Diia, wprowadzając nowe usługi dla osób poszkodowanych w wyniku wojny, w tym program e-Odbudowa (e-Recovery), umożliwiający zgłoszenie zniszczenia domu w wyniku rosyjskiej agresji, a także dodatkowe mechanizmy wsparcia społecznego.

Pojawił się eWróg – chatbot w Telegramie, umożliwiający zgłaszanie informacji o przemieszczaniu się okupantów, ich działaniach wojennych, współpracownikach oraz podejrzanych i niebezpiecznych obiektach, w tym minach i materiałach wybuchowych. Według danych ministerstwa Fedorowa informacje przekazywane przez użytkowników systemu przyczyniły się do przeprowadzenia przez Siły Zbrojne Ukrainy szeregu udanych operacji.

W 2024 roku Diia została wpisana na listę „Best Inventions 2024" magazynu „Time". Jednak i sam Fedorow od 2022 roku był obecny w międzynarodowych i krajowych rankingach. Znalazł się między innymi na liście „Tech 28" magazynu „Politico" oraz w zestawieniu „TIME100 Next" magazynu „Time" w kategorii „Innowatorzy". Regularnie pojawiał się również w rankingach ukraińskich, w tym jako jeden z piętnastu liderów w kategorii „Administracja państwowa" według „Ukraińskiej Prawdy". W 2025 roku zajął czwarte miejsce w kategorii „Politycy" w „100 najpotężniejszych Ukraińców" magazynu „Focus".

Nowy minister obrony

Wielu ekspertów postrzega powołanie Mychajła Fedorowa na stanowisko ministra obrony jako naturalną kontynuację jego dotychczasowej kariery. Niemniej jednak przez ostatnie sześć lat kierował on ministerstwem, które współtworzył od podstaw, budując jego struktury z pomocą specjalistów z rynku technologicznego. Nowe wyzwanie ma jednak inną skalę – Ministerstwo Obrony jest rozbudowaną instytucją o złożonym dziedzictwie administracyjnym, co oznacza konieczność głębokiej modernizacji silnie zbiurokratyzowanej i skostniałej struktury.

Nominacja Fedorowa wiąże się przede wszystkim z przesunięciem akcentów w funkcjonowaniu resortu w stronę prowadzenia wojny technologicznej. Zakłada to rozwój i zwiększenie produkcji bezzałogowych systemów powietrznych, szybsze wdrażanie nowych technologii, pogłębienie współpracy z sektorem prywatnym oraz start-upami, a także bezpośrednie włączanie rozwiązań cyfrowych w działania operacyjne wojska.

W swoim wystąpieniu nowo mianowany minister wskazał główne kierunki pracy na najbliższy okres. Zapowiedział odejście od modelu „papierowej armii", w którym decyzje opierają się na schematycznych raportach, na rzecz systemu wykorzystującego analizę rzeczywistych danych i pomiar efektywności jednostek wojskowych.

eprasa.pl 7d207e4b08

Jednym z priorytetów ma być masowe wyposażenie jednostek frontowych w bezzałogowce. Program „Armia dronów" ma stać się standardowym elementem struktury Sił Zbrojnych Ukrainy. Fedorow zapowiedział również reformę systemu szkolenia żołnierzy, w tym przeprowadzenie pełnego audytu centrów rekrutacji i urzędów wojskowych oraz modernizację programu przygotowania nowych kadr.

W obszarze przeciwdziałania korupcji planowany jest szeroki audyt resortu oraz zwiększenie udziału sektora prywatnego w produkcji uzbrojenia, co w przyszłości ma przyczynić się do rozwoju ukraińskiego przemysłu obronnego.

Jednym z najbardziej ambitnych celów nowego ministra jest stworzenie systemu zdolnego do prognozowania i neutralizowania ataków przeciwnika przy wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Nowy minister obrony zakończył swoje wystąpienie słowami: „Ostatnie cztery lata żyję myślą o deokupacji Wasyliwki. Dlatego moja historia jest osobista".

eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA

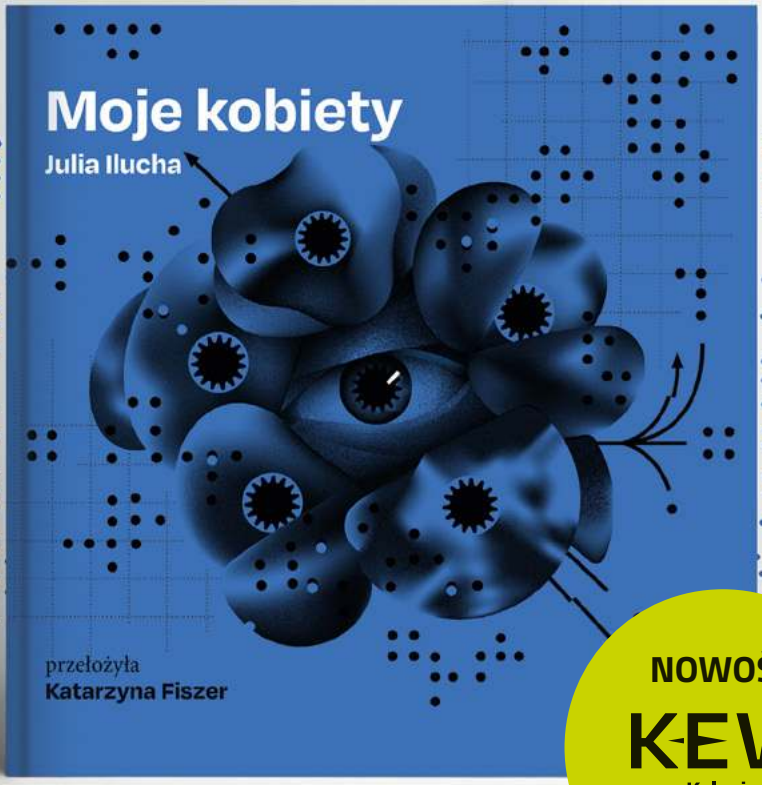

NOWOŚĆ

KEW
Kolegium
Europy
Wschodniej

Historie ukraińskich kobiet – pełne bólu, gniewu i wściekłości – które w obliczu wojny zachowują siłę i wolę życia.

Nowa książka wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA



NOWOŚĆ

KEW
Kolegium
Europy
Wschodniej

Wiersze Mort są ponadczasowe, precyzyjne, wyostrzone, stworzone tak, by przetrwać więcej niż jedno życie.

Nowa książka wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

eprasa.pl 7d207e4b08

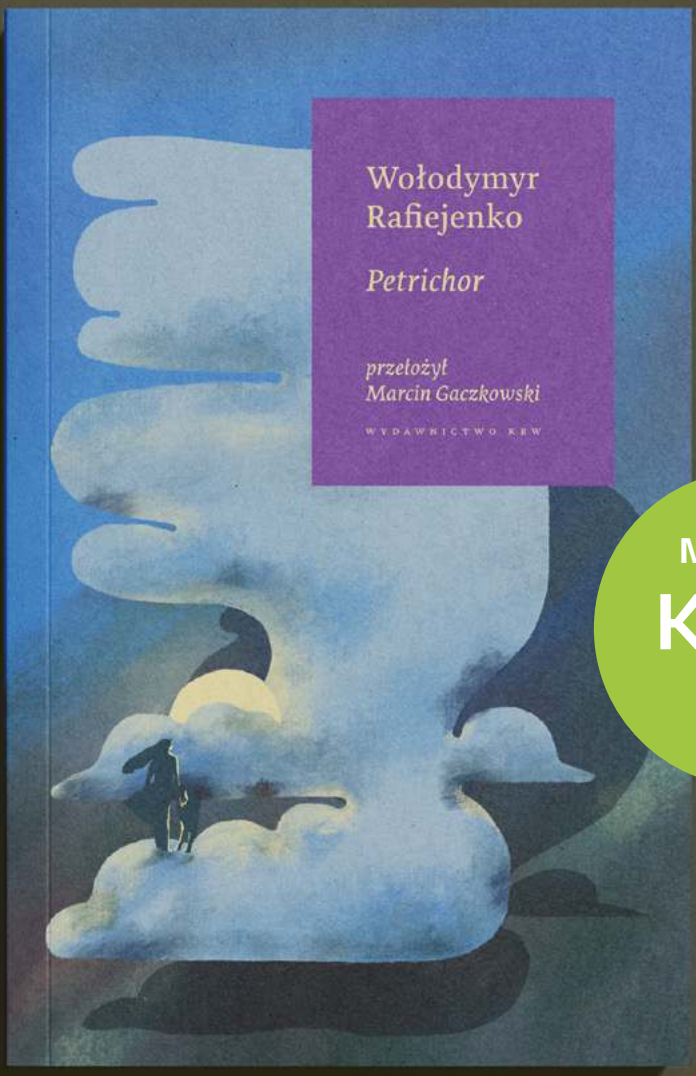

NOWOŚĆ

KEW
Kolegium
Europy
Wschodniej

Podróż bohaterów tej książki staje się opowieścią
o stracie, nadziei i uzdrawiającej sile pamięci.

Nowa książka wydawnictwa KEW

Sprawdź tytuły, które pozwolą Ci spojrzeć szerzej.

www.kew.org.pl

eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA

NOWOŚĆ

WYDAWNICTWA KEW

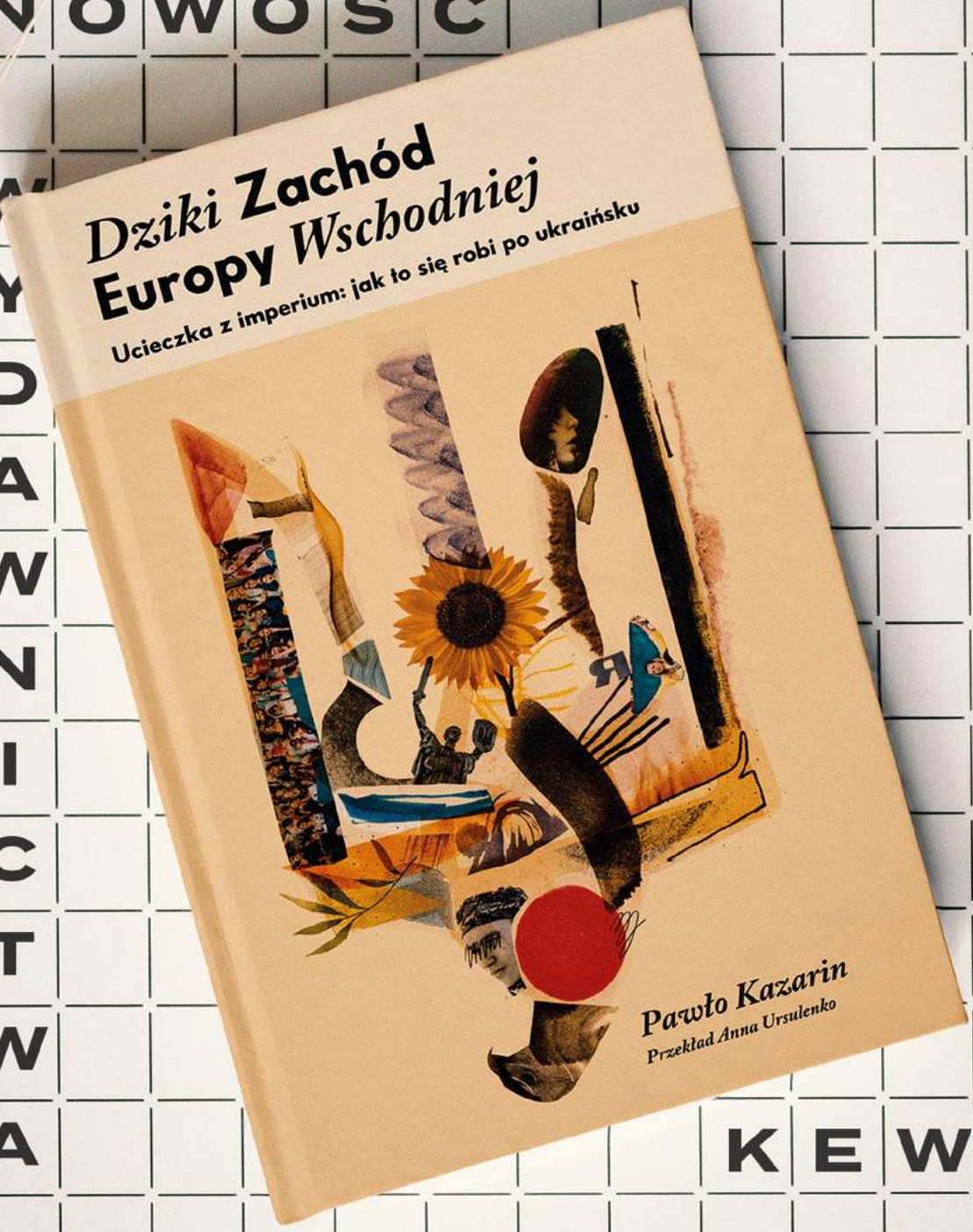

oprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA

Nowość Wydawnictwa KEW



eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA

dr **Piotr Tarczyński**

współautor „Podkastu Amerykańskiego”

Oślizgłe macki, wiadome siły

HISTORIA AMERYKI W TEORIACH SPISKOWYCH

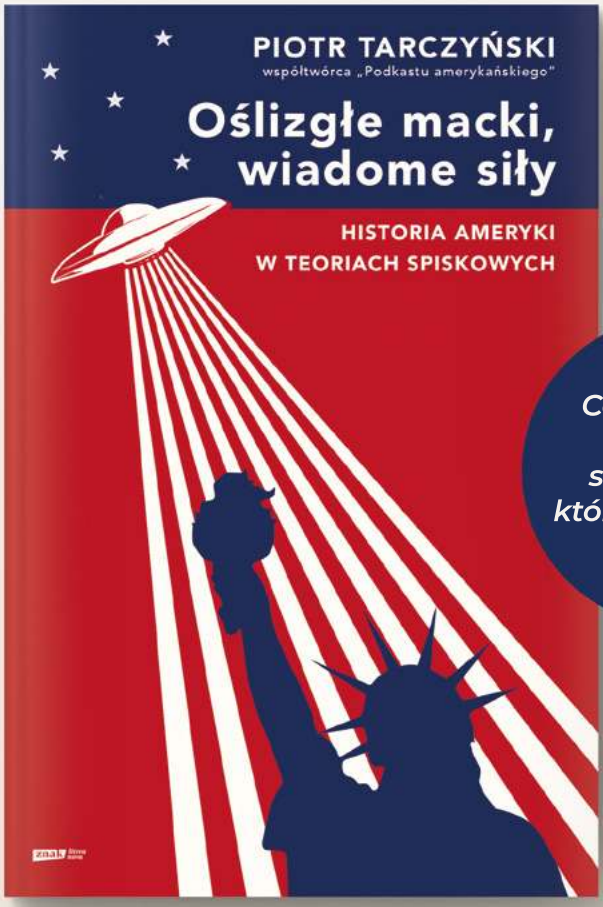

Cała prawda o teoriach spiskowych, które zbudowały Amerykę

Uwielbiam teorie spiskowe, im bardziej szalone tym lepiej. USA są w tej dziedzinie potęgą, a ***Piotr Tarczyński jest wspaniałym przewodnikiem po światach równoległych.***

MARCIN MELLER

Piotr Tarczyński z pasją ukazuje, jak tropiciele spisków, mentalni płaskoziemcy i mieszkańcy rzeczywistości alternatywnych zapanowali nad masową wyobraźnią. I polityką. A może zawiązali przeciw nam wielki spisek? ***Ta książka to przepyszne antidotum i cięta riposta****. Bo Tarczyński rozmontowuje szurskie opowieści i pseudoargumenty do ostatniej śrubki.* ***Czytajcie, szerujcie, kupujcie na prezenty, a teoriom spiskowym wypadną wszystkie zęby!***

ARTUR DOMOSŁAWSKI

znak litera nova

eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA

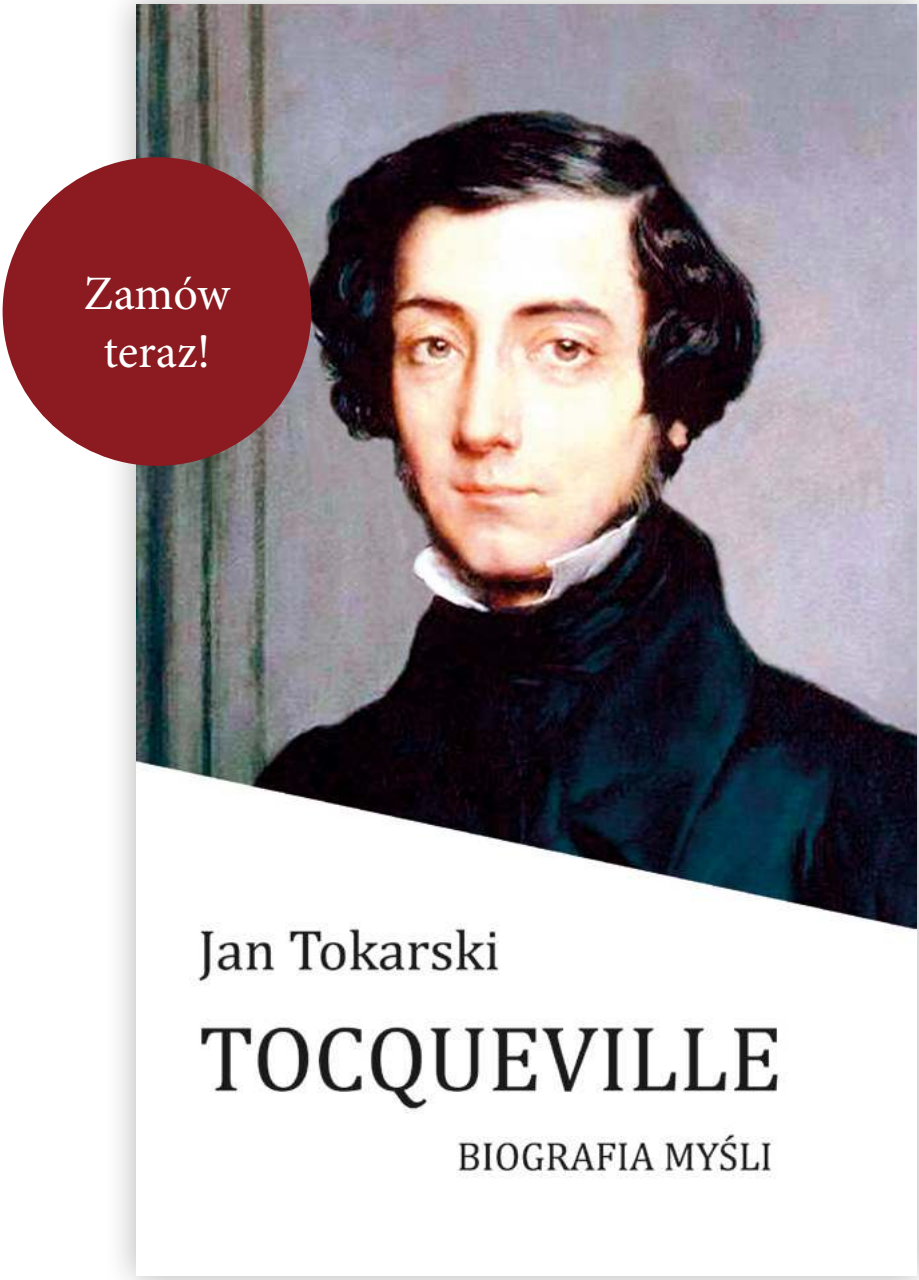

Nominacja do Nagrody im. Marcina Króla.

Książka dostępna na: przegladpolityczny.pl

eprasa.pl 7d207e4b08

REKLAMA

Czeski fenomen już w Polsce!

Karin Lednická

Krzywy kościół

Kronika powieściowa utraconego miasta: lata 1894–1921



Premiera 24.09.2025

tłum. prof. Joanna Goszczyńska

Z nożem na gardle

Miłosz Szymański

Naddniestrze – maleńkie i zależne od aktorów zewnętrznych państwo – jest jak kajak na środku oceanu w trakcie sztormu. Tylko cud może je uratować. W pierwszej połowie 2025 roku naddniestrzański PKB spadł o jedną czwartą. Był to krach porównywalny z PKB Ukrainy w 2022 roku w warunkach pełnoskalowej inwazji.

Naddniestrze weszło w najtrudniejszy okres w swojej historii. Władze wprowadziły (trzeci od 2022 roku) stan wyjątkowy w gospodarce, jest to rozpaczliwa próba stabilizacji sytuacji w kraju. Republika do 2022 roku funkcjonowała w warunkach względnej stabilności. Była to stabilność krucha, dawała jednak pewną przewidywalność. Od 2022 roku, a szczególnie od ostatnich jego miesięcy, obserwujemy rozpad nie tylko małej naddniestrzańskiej stabilizacji, ale i fundamentów funkcjonowania tego parapaństwa.

Naddniestrze zaprojektowano tak, by mogło funkcjonować w miarę sprawnie, ale tylko przy założeniu sprzyjających warunków międzynarodowych, a te od dawna sprzyjające nie są. Parapaństwo przeżywa pełzającą zapaść, która hamowana jest z zewnątrz. Dzieje się tak, ponieważ całkowity upadek tego projektu byłby bardziej niebezpieczny dla sąsiadów niż jego dalsze trwanie.

Idea

Naddniestrze wymyślił Stalin w 1924 roku jako narzędzie służące odzyskaniu kontroli nad Mołdawią, która w owym czasie była częścią Rumunii. Po tym jak w 1944 roku Armia Czerwona przekroczyła Dniestr i wyparła rumuńską administrację z Kiszyniowa, władzę nad Mołdawską Socjalistyczną Republiką Radziecką Stalin powierzył towarzyszom naddniestrzańskim. Samo Naddniestrze zostało połączone z Mołdawią, a jego nowym zadaniem było umocnienie kontroli nad Mołdawianami, którzy na krótko po wybuchu rewolucji październikowej ogłosili niepodległość od Rosji. Plan ten miał być realizowany przez budowę ciężkiego przemysłu na lewym brzegu Dniestru kosztem Mołdawii „właściwej". Do pracy w nowo powstałych zakładach ściągano osadników z całego ZSRR. Tak oto Naddniestrze stało się nie tylko przemysłowym zapleczem całej Mołdawskiej SRR, ale i regionem silnie zrusyfikowanym, który osłabiał mołdawski charakter całej republiki.

eprasa.pl 7d207e4b08

W Dnistrowsku – czyli południowo-wschodnim krańcu Naddniestrza – na trasie przebiegu gazociągu transbałkańskiego zbudowano zasilaną gazem elektrociepłownię Mołdawska GRES. Została ona pomyślana tak, by zapewniać energię dla Mołdawskiej SSR oraz częściowo dla Ukraińskiej SSR. Poza tym służyła jako węzeł dla sieci energetycznych w regionie. Dzięki taniej energii mógł rozwijać się przemysł ciężki, taki jak fabryka Elektromasz w Tyraspolu czy perła w koronie lokalnego przemysłu: Mołdawskie Zakłady Metalurgiczne w Rybnicy.

W ostatnich latach istnienia Związku Radzieckiego około dwóch trzecich ludności Naddniestrza miało pochodzenie słowiańskie i mówiło po rosyjsku. Mniej więcej tyle samo osób mieszkało w miastach, a region miał zdecydowanie przemysłowy i miejski charakter. Tymczasem na prawym brzegu Dniestru proporcje były odwrotne: około jednej trzeciej stanowiła ludność miejska i tyleż wynosił udział rosyjskojęzycznych mniejszości w mołdawskim społeczeństwie. Napędzało to naddniestrzański separatyzm, którego efektem było ogłoszenie 2 września 1990 roku powstania Naddniestrzańskiej SRR jako szesnastej republiki radzieckiej, czego nie uznały moskiewskie władze z Michaiłem Gorbaczowem na czele. Lokalnej elicie nie przeszkodziło to jednak ogłosić niepodległości od Związku Radzieckiego na dwa dni przed tym, jak uczyniły to władze w Kiszyniowie. Tarcia na linii Tyraspol–Kiszyniów doprowadziły ostatecznie do wybuchu wojny domowej w marcu 1992 roku. W konflikt zaangażowała się Rosja, co przeważyło szalę na stronę separatystów.

Moskwa była i pozostaje orędowniczką utrzymania jedności Mołdawii w granicach uwzględniających Naddniestrze, dzięki temu posiada ona konia trojańskiego wewnątrz tego kraju.

Od tamtej pory Naddniestrze rozwijało się w dość specyficzny sposób. Postępował kryzys demograficzny, do Mołdawii wyemigrowała co najmniej jedna trzecia ludności parapaństwa. Oficjalne dane nie istnieją, jednak władze w Kiszyniowie szacują, że w Naddniestrzu pozostała połowa z pierwotnych siedmiuset tysięcy mieszkańców. Możliwe, że dane są *de facto* jeszcze bardziej szokujące, zważywszy na fakt, że wielu obywateli Naddniestrza w wieku produkcyjnym mieszka na stałe za granicą, na miejscu silnie nadreprezentowani są emeryci. Z jednej strony region się wyludniał, a poziom życia pozostawał niski. Z drugiej strony, dzięki stałemu przypływowi pieniędzy od emigrantów oraz emerytur wypłacanych przez Rosję, żyło się w dostatecznym dobrobycie. Naddniestrze zajmowało się też sprzedażą energii elektrycznej do Mołdawii, zaspokajając ponad połowę jej zapotrzebowania. Był to interes tym bardziej dochodowy, że surowiec do zasilania Mołdawskiej GRES w postaci gazu Tyraspol otrzymywał za darmo. Rachunek Gazprom wystawiał Kiszyniowowi,

eprasa.pl 7d207e4b08



Miłosz Szymański

Blokowiska w Naddniestrzu. Parapaństwo rozwijało się w specyficzny sposób. Postępował kryzys demograficzny: do Mołdawii wyemigrowała co najmniej jedna trzecia jego ludności.

który konsekwentnie odmawiał płacenia, dowodząc, że skoro nie kontroluje lewego brzegu Dniestru, to nie może odpowiadać za jego zobowiązania. Darmowa energia nie szła tylko na eksport. Zasilała przestarzały i niedoinwestowany naddniestrzański przemysł. Dzięki temu jego produkty – choć odstające jakością od europejskich – były tanie i miały szansę konkurować na europejskich rynkach, gdyż gros eksportu trafiało przez Mołdawię do Unii Europejskiej.

Węzły

Władze w Tyraspolu, zdominowane przez koncern Sheriff, funkcjonowały więc w dość komfortowej sytuacji. Inwestycje w edukację czy infrastrukturę przeprowadzano oszczędnie, bo ludności i tak ubywało. Rządząca elita mogła więc utrzymywać niskim kosztem względny spokój wewnętrzny, równocześnie prywatyzując wszelkie gałęzie gospodarki, i wyprowadzać zyski za granicę. Dziurę budżetową zasypywała Rosja, której zależało na utrzymaniu spokoju w regionie, gdyż służył jej jako narzędzie wpływu na Mołdawię. Moskwa od zawsze była i nadal pozostaje głównym orędownikiem utrzymania jedności Mołdawii w granicach uwzględniających Naddniestrze, bo dzięki temu posiada ona konia trojańskiego (niejedynego zresztą) wewnątrz tego kraju. Ukraina z kolei od 2014 roku spoglądała na Naddniestrze z niepokojem, chociaż do 2022 roku miał on umiarkowany charakter. Obecność rosyjskich żołnierzy w Naddniestrzu, jakkolwiek symboliczna, stanowiła w ocenie Kijowa zagrożenie.

eprasa.pl 7d207e4b08



Miłosz Szymański

W Naddniestrzu tęskni się za Zachodem i rozpaczliwie stara się kopiować jego kulturę masową (także tę dotyczącą konsumpcji).

Było ono na tyle poważne, że gdy w kwietniu 2014 roku podróżowałem autobusem z Kiszyniowa, to na wjeździe do Odessy przekraczaliśmy zaostrzone punkty kontrolne. Z kolei w 2019 roku podczas podróży pociągiem z Odessy do Kiszyniowa przez Tyraspol na granicy Ukrainy i Naddniestrza paszport kontrolowali uzbrojeni w broń automatyczną ukraińscy pogranicznicy.

Rosyjska inwazja na Ukrainę była dla naddniestrzańskich władz katastrofą. Do lutego 2022 roku mogli twierdzić, że są zachodnią ekspozyturą rosyjskiego imperium, że Naddniestrze to *de facto* fragment Rosji z lokalną specyfiką, że Rosja i Naddniestrze to jedność. Mogli powtarzać, że zagrożenia czyhają z każdej strony i trzeba pozostawać czujnym, ale pokojowy naród naddniestrzański chce przyjaźnić się ze wszystkimi. Mogli także uważać, że Europa jest zła i pozbawiona moralności, a równocześnie robić z nią potężne interesy. Nagle okazało się jednak, że Naddniestrze od zachodu graniczy z Mołdawią, którą uważa za wroga, a od wschodu z Ukrainą, która tocząc wojnę z Rosją, także jest wrogiem. Ukraina od razu po inwazji zamknęła granicę z Naddniestrzem, co odcięło mu możliwość eksportu towarów przez jej terytorium, a szczególnie przez port w Odessie, który był jego oknem na świat. Cały obrót handlowy musiał od tego momentu iść przez terytorium Mołdawii, co dało Kiszyniowowi więcej wpływu na zbuntowany region, niż posiadał od 1990 roku. Doszło do bezprocentowej manifestacji siły w postaci obłożenia naddniestrzańskiego eksportu mołdawskim cłem od pierwszego stycznia 2023 roku. Symboliczna była zarówno wysokość ceł (0,4 procent od importu i 0,1 procent od eksportu), jak i ich

eprasa.pl 7d207e4b08

znaczenie, Kiszyniów bowiem manifestował w ten sposób swoją kontrolę. Paradoksalnie jednak dla Naddniestrza i absolutnie wbrew rozpowszechnianej przez niego propagandzie, to działalność Rosji okazała się największym zagrożeniem dla przetrwania tego parapaństwa.

Siła

Rosja wykorzystywała dostawy gazu jako narzędzie wpływu na „partnerów" (Władimir Putin publicznie używa tego słowa w znaczeniu „przeciwnik"). W październiku 2021 roku włodarz Kremla postanowił zaatakować Mołdawię pałką gazową i zmniejszył dostawy błękitnego paliwa o jedną trzecią, co spowodowało ostre niedobory w mołdawskiej gospodarce. Cena surowca skoczyła ze 150 dolarów za tysiąc metrów sześciennych w 2020 roku do 800 dolarów pod koniec 2021 roku. Po rozpoczęciu inwazji na Ukrainę i kolejnych zawirowaniach Mołdawia była zmuszona uzupełniać braki przez zakupy na rynku spotowym, gdzie stawka wynosiła ponad tysiąc dolarów, a chwilami nawet trzy tysiące dolarów. Cena gazu dla zwykłych Mołdawian wzrosła dziesięciokrotnie. Sytuacja w Naddniestrzu była w normie, dostawy dla parapaństwa nie były zagrożone, a nawet gdyby tak się stało, to gazociąg transbałkański prowadzi z Rosji przez Ukrainę do Naddniestrza, a dopiero dalej biegnie przez Mołdawię, więc Tyraspol mógł czerpać z niego do woli. Do czasu.

Od 1 listopada 2025 roku Naddniestrze zredukowało aktywność największych zakładów przemysłowych, które do tej pory wytwarzały około połowy PKB w regionie.

W październiku 2022 roku Rosja zredukowała dostawy na tyle, że gazu zaczęło brakować także w Naddniestrzu. Redukcja nie była katastrofalna, bo wyniosła jedynie 30 procent, ale wpłynęła na produkcję energii elektrycznej. Należąca do rosyjskiego koncernu Inter RAO Mołdawska Elektrownia GRES zmniejszyła wytwarzanie energii z uwagi na braki paliwa. W rezultacie problemy z dostawą energii dotknęły zarówno Mołdawii, jak i Naddniestrza. Równocześnie Rosja rozpoczęła ataki na ukraińską energetykę, co zmusiło Ukrainę do zawieszenia eksportu energii za granicę, w tym do Mołdawii i Naddniestrza. Separatystyczne władze ogłosiły stan wyjątkowy w gospodarce, który miał potrwać jedenaście dni, a przeciągnął się do kwietnia kolejnego roku. Od 1 listopada 2025 roku Naddniestrze przestało eksportować energię elektryczną na prawy brzeg Dniestru i musiało nawet zredukować aktywność największych zakładów przemysłowych, w tym Mołdawskich Zakładów Metalurgicznych w Rybnicy, które do tej pory wytwarzały około połowy PKB w re-

eprasa.pl 7d207e4b08

gionie. To był potężny cios dla Naddniestrzańskiej gospodarki, ale od tamtej pory było już tylko gorzej.

Naddniestrzańskie władze uparcie powtarzały, że wszystkiemu winna jest Mołdawia, Zachód i oczywiście Ukraina, a Rosja bardzo chciałaby pomóc, ale nie może, bo Naddniestrze z nią nie graniczy. Jedyne co Rosja mogła zrobić, to eksportować darmowy gaz do parapaństwa. I tak właśnie się działo, choć nie zawsze w takiej ilości, jakiej region potrzebował. Redukcja dostaw spowodowała nie tylko kryzys w metalurgii, ale i załamanie się innego ważnego źródła dochodów, czyli eksportu elektryczności do Mołdawii. Do października 2022 roku Mołdawia zaspokajała około 80 procent swojego zapotrzebowania importem z Naddniestrza, na czym separatyści dobrze zarabiali, bo choć dyktowali niewygórowane ceny, to paliwo otrzymywali za darmo. Po tym czasie Mołdawia zaczęła kupować droższą energię z Rumunii, a Naddniestrze tracić rynek. Dalsze istnienie parapaństwa wisiało na biegnącym przez terytorium Ukrainy gazociągu, na który w każdej chwili mogła spaść zbłąkana rakieta. Strategiczną infrastrukturę uderzył jednak cios z innej strony.

Wraz z końcem 2024 roku wygasała pięcioletnia umowa na transfer rosyjskiego gazu przez terytorium Ukrainy (już w marcu 2024 roku strona ukraińska ogłosiła, że nie będzie jej przedłużać). Dla niezależności Naddniestrza był to wyrok śmierci. Jedyne, co zostało lokalnym władzom, to ogłosić kolejny stan nadzwyczajny w gospodarce i modlić się o ratunek. Wbrew pozorom separatystom zostało w ręku jeszcze kilka kart. Najmocniejszą z nich była karta kryzysu humanitarnego. Mołdawia nie mogła dopuścić do całkowitego załamania się gospodarki Naddniestrza, bo formalnie uważa je za własne terytorium, a mieszkających tam ludzi za swoich obywateli. W związku z tym, gdyby w środku zimy 300 tysięcy Naddniestrzan z dnia na dzień straciło dostęp do prądu, wody i ogrzewania, to mogliby ruszyć na drugą stronę Dniestru, gdzie często mieszkają ich krewni lub znajomi. Dla dwuipółmilionowej Mołdawii oznaczałoby to kryzys humanitarny. Kiszyniów musiał się więc zaangażować w sytuację parapaństwa, chociażby dla zachowania stabilności w kraju. Istniał jeszcze jeden powód: skoro Ukraina zamknęła swoje granice z Naddniestrzem, włącznie z gazociągiem, to od początku 2025 roku Naddniestrze zostało całkowicie skazane na wsparcie Mołdawii. Po raz pierwszy w historii gaz płynął z Mołdawii do separatystów, a nie odwrotnie. To nie jest jednak tak, że odzyskała ona kontrolę nad zbuntowanym regionem. Relacje po obu brzegach Dniestru



Naddniestrzańskie władze uparcie powtarzały, że wszystkiemu winna jest Mołdawia, Zachód i Ukraina, a Rosja bardzo chciałaby pomóc, ale nie może, bo Naddniestrze z nią nie graniczy.

eprasa.pl 7d207e4b08

najlepiej opisuje powiedzenie: „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma". Kiszyniów mógł zignorować potrzeby gazowe Naddniestrza, nawet lekceważąc ryzyko wystąpienia tam kryzysu humanitarnego, ale nie mógł ryzykować kryzysu na terytorium podległym sobie. Mimo wszelkich starań i pomocy z Rumunii naddniestrzańska elektrownia nadal pokrywała ponad połowę zapotrzebowania Mołdawii na energię elektryczną.

Kryzys

Mołdawska GRES może być awaryjnie zasilana węglem, ale jego zapasy są niewielkie, starczają zaledwie na kilka tygodni. Więcej nie sposób ściągnąć, gdyż elektrownia jest dostosowana do wysokokalorycznego antracytu z Donbasu. Na scenę wkroczyła więc Komisja Europejska, która w styczniu 2025 roku zdecydowała o przekazaniu Mołdawii bezzwrotnej pomocy w wysokości 64 milionów euro, z których 20 milionów euro miało zostać przeznaczone na zażegnanie kryzysu energetycznego w Naddniestrzu. Była to pierwsza z wielu transz unijnej pomocy dla Mołdawii. W ciągu kolejnych tygodni wypracowano schemat, zgodnie z którym Mołdawia dostawała kwotę na zakup gazu w ilości wystarczającej do zapewnienia funkcjonowania państwa. Naddniestrze otrzymywało natomiast dość gazu, by wyprodukować energię elektryczną dla Mołdawii i pośrednio dochodów budżetowych dla Tyraspola. Za zabezpieczenie dostaw gazu na potrzeby samego Naddniestrza odpowiadać miała Rosja, która finansuje transport poprzez skomplikowany łańcuch spółek zarejestrowanych w Dubaju i Węgrzech. Dzieje się to przy współpracy mołdawskiej, ale zależnej od Gazpromu spółki Moldovagaz. Moskwa uznała jednak, że z jej punktu widzenia będzie najlepiej, jak Naddniestrze otrzyma wystarczającą ilość gazu dla zaspokojenia potrzeb ludności, ale nie dość, by zapewnić funkcjonowanie lokalnego przemysłu. Był to rosyjski pomysł na destabilizację regionu i wywieranie stałej presji na Mołdawię kosztem 300 tysięcy Naddniestrzan.

W 2025 roku Rosja zapewniała dostawy gazu dla Naddniestrza na poziomie około trzech milionów metrów sześciennych na dobę, podczas gdy do pełnego funkcjonowania miejscowa gospodarka potrzebowała około sześciu milionów. Nastąpiły znaczne redukcje mocy produkcyjnych w Mołdawskich Zakładach Metalurgicznych w Rybnicy, Elektromaszu w Tyraspolu i innych przedsiębiorstwach, co przełożyło się na spadek wolumenu eksportu mniej więcej o połowę. Obecnie gaz dociera do Naddniestrza falami, za każdym razem w objętości wystarczającej na dziesięć do piętnastu dni.

W pierwszej połowie 2025 roku naddniestrzański PKB spadł o jedną czwartą. Był to krach porównywalny z PKB Ukrainy w 2022 roku w warunkach pełnoskalowej

eprasa.pl 7d207e4b08

inwazji. W październiku władze w Tyraspolu postanowiły zredukować budżet centralny oraz budżety regionalne o 290 milionów rubli naddniestrzańskich (64 miliony złotych), tnąc głównie wydatki socjalne. Taki ruch można nazwać drastycznym, gdyż cięcia te odpowiadają około 5 procentom budżetu na 2026 rok, a ten wynosi 6,5 miliarda rubli, czyli 1,44 miliarda złotych, co jest porównywalne z budżetem miejskim Zabrza. Warto jednak zauważyć, że na pokrycie wydatków budżetowych wynoszących owe 6,5 miliarda rubli naddniestrzańskich budżet przewiduje dochody na poziomie 3,8 miliarda rubli, co oznacza gigantyczną dziurę budżetową wynoszącą ponad 40 procent. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że budżet zaprojektowany jest na podstawie optymistycznych założeń, to sytuacja jest katastrofalna.

Projekt naddniestrzańskiego separatyzmu funkcjonował przez trzy dekady w dużej mierze dzięki sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, której już nie ma. Pełnię władzy w regionie zdobyła korporacja Sheriff, której bogactwo opierało się na przejęciu niemal całej miejscowej gospodarki. Ta z kolei funkcjonowała dzięki darmowym dostawom gazu z Rosji. Do 2022 roku dwie trzecie naddniestrzańskiego PKB generował eksport energii elektrycznej i taniej produkcji przemysłu ciężkiego. Dlatego właśnie zawirowania wokół dostaw gazu uderzają w fundamenty miejscowej gospodarki. Zresztą nie tylko gospodarki, bo bez gazu nie ma prądu, bez prądu nie działa kanalizacja, co przekłada się na podstawy funkcjonowania państwa jako takiego. W związku z tym w Kiszyniowie odżyły nieobecne od dekad dyskusje o reintegracji zbuntowanej republiki.

Mołdawia nie odzyskała kontroli nad zbuntowanym regionem. Relacje po obu brzegach Dniestru najlepiej opisuje powiedzenie: „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma".

Z punktu widzenia obecnego (proeuropejskiego) rządu Mołdawii reintegracja Naddniestrza nie jest najbardziej pożądanym rozwiązaniem. Oznaczałoby to włączenie całej grupy zdecydowanie prorosyjskich obywateli w obieg lokalnej polityki. W zjednoczonej Mołdawii stanowiliby kilkanaście procent ludności i zdecydowanie przechyliliby poparcie w kierunku opcji prorosyjskiej w kolejnych wyborach. Ostatnie wybory parlamentarne, a zwłaszcza prezydenckie, pokazały, że przewaga opcji prozachodniej jest w Mołdawii wyraźna. Kiszyniów ma poza tym dość problemów do rozwiązania na własnym terytorium. Reintegracja zaniedbanego regionu, który wymagałby wielu inwestycji, nie jest czymś, co państwo mołdawskie mogłoby udźwignąć. Dlatego właśnie w Kiszyniowie i Brukseli otwarcie mówi się o integracji europejskiej na wzór cypryjski, w którym Unia, uznając integralność terytorialną Mołdawii, przyjęłaby do wspólnoty jedynie terytorium podległe Kiszyniowowi. Takie rozwiązanie zdaje się satysfakcjonować mołdawski rząd. Co to oznacza dla Naddniestrza?

eprasa.pl 7d207e4b08

Turecka Republika Cypru Północnego, podobnie jak Naddniestrzańska Republika Mołdawska, jest państwem niewielkim i skazanym na pomoc protektora z zewnątrz. W obu przypadkach rozwój gospodarczy hamowany jest przez niezręczny międzynarodowy status i niewielki potencjał własny. Różni je jednak znacznie więcej. Cypr Północny ma jakiekolwiek uznanie międzynarodowe, gdyż jego niepodległość uznaje Turcja. Poza tym położony jest na wyspie i posiada swobodny kontakt handlowy ze światem. Naddniestrze nie dość, że jest całkowicie nieuznawane, to jeszcze jego byt zależy od Mołdawii i Ukrainy, która – gdyby dostała zgodę – zajęłaby zbrojnie ten region.

Jaka przyszłość czeka więc Naddniestrze? Rosja potrzebuje parapaństwa do destabilizacji Mołdawii. Mołdawia nie potrzebuje go wcale, a Ukraina uważa je za zagrożenie. Mołdawia boi się kryzysu humanitarnego, jaki wyniknąłby z całkowitego załamania się naddniestrzańskiej gospodarki i państwowości. W obliczu dramatycznej sytuacji gospodarczej i cięć pensji w naddniestrzańskich przedsiębiorstwach może nasilić się emigracja z regionu. Liczba Naddniestrzan byłaby na tyle mała, że będzie można ich reintegrować do bogatszej i stabilniejszej Republiki Mołdawii, będącej już członkiem Unii Europejskiej. Oznaczałoby to zarządzanie kryzysem przez kolejną dekadę lub więcej, ale nie zapominajmy, że jest to kryzys, z którym Mołdawia funkcjonuje już ponad trzydzieści pięć lat.

Miłosz Szymański z wykształcenia jest prawnikiem i inżynierem, z zawodu mechanikiem okrętowym i reporterem. Obecnie tworzy podcast „Za Rubieżą. Historia i Polityka".

eprasa.pl 7d207e4b08

Republiki monarchiczne
O sukcesji w Azji Centralnej

Miłosz Szymański

Kraje Azji Centralnej słyną z oszałamiających widoków, uzależniającej kuchni i przystępnych cen. Nie kojarzą się natomiast ze swobodami obywatelskimi czy wysokim poziomem demokratyzmu rządów. Zasadniczo władza przechodzi tam z rąk do rąk przez namaszczenie lub – rzadziej – rewolucję. Przez trzy i pół dekady niepodległej historii pięciu republik tylko jeden prezydent doszedł do władzy i oddał ją w wyniku procesu demokratycznego. Było to w Kirgistanie, który długo odstawał od sąsiadów, ale ostatnio się z nimi zrównuje.

Warto jednak przyjrzeć się regionowi, gdzie trwa właśnie – mająca przynieść nowych aktorów – wymiana pokoleniowa na szczytach władz. A oni najpewniej będą odgrywać jednak te same, znane im role. Nie zmienia to faktu, że obserwowanie tego procesu może być ciekawe, ponieważ niemal cała polityka w regionie choć jest tylko teatrem, to przestaje nim być na czas przenoszenia władzy z rąk do rąk.

Kirgiski duet władców

Podróż po szczytach władzy w Azji Centralnej zaczniemy od Biszkeku. To tu w lutym bieżącego roku miało miejsce polityczne trzęsienie ziemi. Wstrząsy się rozeszły, po tym jak 10 lutego prezydent Sadyr Dżaparow ogłosił usunięcie ze stanowiska wicepremiera i, co ważniejsze, dyrektora Państwowego Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego (GKNB) generała Kamczybeka Taszyjewa. Naczelny siłowik Kirgistanu przez sześć lat zdążył na wzór rosyjskiej FSB podporządkować kierowanej przez siebie służbie poza wywiadem czy kontrwywiadem takie obszary jak ochrona granic, walka z korupcją czy ochrona najważniejszych osób w państwie. GKNB dumnie kontynuowała tradycje KGB czy WCzK, a sam Taszyjew prawdopodobnie widział się w roli kolejnego Andropowa czy Putina, który przejmie władzę z rąk cywila.

To oczywiście tylko spekulacje, bo przecież Taszyjew i Dżaparow stanowili zgrany zespół i dobrze się uzupełniali. W Biszkeku zupełnie serio mówiło się, że do końca nie wiadomo, który z panów jest prawdziwym władcą, a który tylko jego zastęp-

eprasa.pl 7d207e4b08

cą. Dżaparow odgrywał rolę trybuna ludowego, który z troską wsłuchuje się w głos ludu, a Taszyjew był zimnym i bezwzględnym twardzielem, który wchodzi do gry, gdy zamiast marchewki trzeba użyć kija. Nie jest jednak przypadkiem, że w naturze dwugłowe orły nie występują i było oczywiste, że prędzej czy później ów duopol się rozpadnie. Mało kto się jednak spodziewał, że nastąpi to w tak skoordynowany i precyzyjny sposób, nie mówiąc już o tym, że w przypadku zamachu pałacowego należało się raczej spodziewać, że to kagiebesznik wykiwa cywila. Stało się jednak inaczej.

Taszyjew, najwyraźniej zupełnie spokojny o swoją pozycję, wyjechał na leczenie do Monachium. Wtedy właśnie Dżaparow podpisał dekret o odwołaniu z pełnionych przez niego funkcji bez podania przyczyn. W ciągu kilku kolejnych dni większość urzędników związanych z Taszyjewem, z marszałkiem parlamentu na czele, ogłosiło swoje odejścia lub zostało odwołanych.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że w Biszkeku mówiło się, że kirgiskie służby nie dałyby rady przeprowadzić tak dobrze skoordynowanej akcji, sugerując, że ktoś musiał w tym pomóc, a tym kimś była zapewne Rosja, której służby są całkiem sprawne na polu czystek wewnętrznych. Niemalże równocześnie do całej akcji włączył się kirgiski Sąd Konstytucyjny, który wydał wyrok w sprawie kolizji norm zawartych w starej wersji konstytucji z nowelą wprowadzoną przez Dżaparowa. Chodziło o to, że Dżaparow został w 2021 roku wybrany na sześcioletnią kadencję, po której według ówczesnych przepisów nie mógł ubiegać się o kolejną. Dżaparow w trakcie urzędowania z pomocą Taszyjewa i parlamentu (kontrolowanego przez obu) wprowadził nowelę, zgodnie z którą można być wybranym na prezydenta dwukrotnie na pięcioletnie kadencje. Sąd Konstytucyjny wydał wyrok maksymalnie korzystny dla Dżaparowa, to znaczy przyznający mu prawo do reelekcji na pięcioletnią kadencję po zakończeniu sześcioletniej. Przy okazji urzędujący prezydent nie napotkał żadnego znaczącego oporu przy demontażu wolności mediów w trakcie swojego urzędowania.

W Kazachstanie jeden władca namaszcza drugiego, ale byłoby to zgrabną kontynuacją tradycji oddawania władzy w sposób kontrolowany jeszcze za życia.

Kirgistan stał się równocześnie przystanią dla rosyjskiego kapitału i bramą dla obchodzenia sankcji, w związku z czym gospodarka dynamicznie rośnie, co przysparza popularności władcy. Trudno więc wyobrazić sobie scenariusz, w którym Dżaparow nie zostanie u władzy na kolejną kadencję, to jest nie będzie rządzić do 2032 roku. Weźmy jeszcze pod uwagę, że Dżaparow jest relatywnie młody jak na centralnoazjatyckiego władcę, więc na koniec swojej drugiej kadencji będzie dopiero sześćdziesięcioczterolatkiem. Należy się więc spodziewać, że spróbuje przedłu-

eprasa.pl 7d207e4b08

żyć swoje urzędowanie w taki sam sposób, jak jest to przyjęte w regionie. To, czy Kirgizi mu na to pozwolą, dopiero się okaże. Jest to bowiem społeczeństwo, które zdobyło się na rewolucję trzykrotnie.

Za pierwszym razem obalili władcę Kirgistanu, autokratę Askara Akajewa, który rządził przez trzy kadencje, a za trzecim razem – Sooronbaja Dżeenbekowa, poprzednika Dżaparowa. Jedynie poprzednik Dżeenbekowa, Ałmazbek Atambajew, doszedł do władzy wskutek demokratycznych wyborów i w taki sam sposób ją oddał. Za czasów urzędowania Atambajewa, to jest w latach 2011–2017, Kirgistan osiągnął szczyt demokratyczności swojego systemu politycznego, a także maksymalną odległość, jaka dzieliła go od bratnich republik w regionie. Za jego kadencji Kirgistan był według The Economist Democracy Index krajem równie demokratycznym jak Albania, Ukraina czy Turcja. Obecnie Kirgistan zszedł już do poziomu kraju autorytarnego na równi z Algierią, Jordanią czy Kazachstanem. Należy się spodziewać kontynuacji zmian w tym właśnie kierunku.

Kazachska demokratyzacja „po wierzchu"

Kolejnym krajem, który mierzy się z reformą sprawowania władzy, jest Kazachstan. Urzędujący od roku 2019, ale mający realną władzę od stycznia 2022 roku, Kasym-Żomart Tokajew szykuje właśnie reformę konstytucyjną. Jest to proces noszący znamiona demokratyczne. Pospiesznie przeprowadzana przez władze procedura każe jednak myśleć, że ma ona dość powierzchowny charakter. Projekt nowej konstytucji został opublikowany 11 lutego, a już na 15 marca zaplanowano referendum w tej sprawie. Przy okazji władze były tak pewne jego wyników, że termin wejścia w życie nowej konstytucji ogłoszono na 1 lipca 2026 roku. Pisząc te słowa, nie znam jeszcze wyników referendum, ale w państwie autorytarnym referenda przeprowadza się po to, żeby zamanifestować społeczne poparcie. Dlatego należy się spodziewać ponad 70 procent głosów „za", niezależnie od tego, czy same wyniki zostaną sfałszowane, czy też władzom wystarczy inercja społeczna połączona z brakiem dostępu do niezależnych mediów i ogólny brak demokratycznego obycia w społeczeństwie.

Nowy władca nie zamierzał nigdy wprowadzać demokracji, jednak otworzył Uzbekistan na świat, żeby nieco przewietrzyć atmosferę, w tym tę dotyczącą roli kobiet.

Do tej pory zmiany konstytucji były w Kazachstanie traktowane całkowicie instrumentalnie. Dzięki nim władający krajem przez trzy dekady Nursułtan Nazarbajew przedłużał swoją kadencję prezydencką. Oddał ją ostatecznie dzięki społecz-

eprasa.pl 7d207e4b08

nej rewolucji z 2022 roku, która została szybko przejęta przez kazachskie służby. Nazarbajew od 2019 roku pozostawał, dzięki noweli konstytucji, „Liderem Nacji" i przewodniczącym kilku gremiów, które razem dawały mu realną władzę, podczas gdy namaszczony przez niego na następcę Tokajew pełnił urząd prezydenta z ograniczonymi kompetencjami.

W kluczowym momencie, w pierwszych dniach stycznia 2022 roku, zagrał jednak sprawnie i wymanewrował swojego patrona, pozbawił go funkcji i przejął realną władzę. Sam zdążył od 2022 roku już raz zmienić konstytucję. Nowela była niecodzienna, bo zamieniała dwie możliwe pięcioletnie kadencje prezydenckie na jedną siedmioletnią. Dotyczyła jednak tylko drugiej kadencji Tokajewa, ale przeprowadzona została w połowie pierwszej, to jest w 2022 roku, a więc oznaczała dla nowego władcy tyle samo czasu u sterów władzy – czyli dziesięć lat. W związku z tym Tokajewowi teoretycznie przyjdzie oddać władzę w 2029 roku, kiedy skończy siedemdziesiąt sześć lat.

Wiele wskazuje, że rzeczywiście zamierza to zrobić, gdyż projekt nowej konstytucji przewiduje, że w Kazachstanie powróci po trzech dekadach funkcja wiceprezydenta, niejako stworzona do wychowania sobie następcy. Ten wiceprezydent ma być wybierany i odwoływany przez głowę państwa, dlatego możliwe jest, że do 2029 roku zobaczymy kilka delfinów na tym stanowisku, zanim jeden z nich ostatecznie przejmie władzę. Plotki krążące po Astanie wskazują, że przyszłym wiceprezydentem, a może i nawet prezydentem Kazachstanu zostanie Erlan Karin. Jest to jeden z najbliższych współpracowników Tokajewa, pełniący od początku 2022 roku urząd Państwowego Doradcy Republiki Kazachstanu, czyli głównego doradcy prezydenta. Nie wiadomo, czy Tokajew rzeczywiście planuje oddać władzę już w 2029 roku, ale przekazanie jej w taki sposób kandydatowi takiemu jak Karin byłoby ukoronowaniem jego kariery, podczas której dał się poznać jako pragmatyczny technokrata. Nie ma tu oczywiście mowy o żadnej demokracji, bo w Kazachstanie jeden władca namaszcza drugiego, ale byłoby to zgrabną kontynuacją tradycji oddawania władzy w sposób kontrolowany jeszcze za życia.

Chaotyczna sukcesja w Uzbekistanie

Mieliśmy już do czynienia w regionie z chaotyczną sukcesją, gdy w 2016 roku zmarł Islam Karimow, władca Uzbekistanu. Karimow robił wszystko, co było w jego mocy, by zbudować dynastię, jednak los pokarał go dwiema córkami i brakiem synów, co w społeczeństwie takim jak uzbeckie oznaczało nikłe szanse na pozostanie władzy w rodzinie. Głównym pretendentem do tronu pozostawał więc generał Rutem Inojatow, wszechwładny Służby Bezpieczeństwa Państwowego, czyli przemia-

eprasa.pl 7d207e4b08

nowanej KGB. Inojatow dowodził uzbeckimi służbami przez dwie dekady i wielu mówiło, że podobnie jak później Taszyjew w Kirgistanie, współrządzi krajem. Przegrał on jednak cichą wojnę pod dywanem po śmierci Karimowa z premierem Szawkatem Mirzijojewem. Nowy prezydent wkrótce pozbył się Inojatowa, wysyłając go na emeryturę, a później regularnie zmieniał szefów SBP, żeby zapobiec wyłonieniu kogoś podobnego. Mirzijojew wydeptał więc ścieżkę dla Dżaparowa, a równocześnie sam trafił na tę przygotowaną przez Karimowa. Mirzijojew także został „pokarany" samymi córkami.

Czasy się jednak zmieniły, świat poszedł do przodu, a Uzbekistan razem z nim. Nowy władca nie zamierzał nigdy wprowadzać demokracji, jednak otworzył Uzbekistan na świat, żeby nieco przewietrzyć atmosferę, w tym tę dotyczącą roli kobiet. Spośród trzech prezydenckich córek bardzo szybko eksponowana została najstarsza z nich, czyli Saida, która pierwotnie była jedynie żoną zastępcy przewodniczącego administracji prezydenta. W końcu jednak przyćmiła męża, gdyż ojciec uczynił ją przewodniczącą swojej administracji i gwiazdą uzbeckich mediów.

W połowie 2024 roku czterdziestoletnia Saida zaczęła pojawiać się na wszystkich państwowych wydarzeniach, przewodniczyć wszelkim kongresom w kraju i delegacjom wysyłanym w świat. Budowa dynastii nie jest niczym nowym w Azji Centralnej, podobnie jak próba przekazania władzy córkom, jednak obecny władca Uzbekistanu ewidentnie prze do wyczynu, który jeszcze nikomu tam się nie udał. Saida Mirzijojewa ma realną szansę zostać pierwszą dyktatorką w regionie. Azja Centralna widziała już prezydentkę, Kirgistanem rządziła Roza Otunbajewa, która w 2010 roku otrzymała władzę w wyniku rewolucji. Otunbajewa była jednak osobą, której zadaniem było przeprowadzenie kraju przez okres transformacji, a następnie oddanie władzy demokratycznie wybranemu kandydatowi. Z roli tej wywiązała się śpiewająco, budząc obrzydzenie u sąsiadów.

Nie ma się więc co dziwić, że jeszcze przed końcem trwającej dekadę kadencji Nijazowa parlament uznał, że inny prezydent nie jest potrzebny, i przyznał mu dożywotnie panowanie.

Saida nie będzie też pierwszą dyktatorką w ostatnich latach, gdyż z tej roli doskonale wywiązuje się już Samia Suluhu Hassan, która siłą, groźbą i fałszerstwami zapewniła sobie w październiku 2025 roku 98 procent głosów w wyborach prezydenckich w Tanzanii. To więcej niż kiedykolwiek ośmielił sobie narysować Szawkat Mirzijojew, a nawet Islam Karimow. Mirzijojewa ma jednak realną szansę odziedziczyć władzę w Uzbekistanie w 2037 roku. Wtedy to jej ojciec będzie świętować osiemdziesiąte urodziny oraz ostatnią kadencję, do jakiej dał sobie prawo, zmieniając konstytucję w 2023 roku. Saida będzie wtedy mieć pięćdziesiąt trzy lata, z których

eprasa.pl 7d207e4b08

ponad dwadzieścia spędzi na najwyższych stopniach władzy, a Uzbecy zdążą się na tyle opatrzeć, że zaakceptują kobietę na tronie. Przynajmniej tak zdaje się kalkulować obecny lokator Pałacu Kuksaroj.

Operetka z Turkmenistanu

Podobnych rozterek nie mają już władcy Turkmenistanu. Kraj ten zasłynął operetkowym poziomem kultu jednostki i ingerencją władzy w życie obywateli. Tylko leniwy komentator rzeczywistości nie obśmiał złotych pomników pierwszego wodza Turkmenów Saparmurata Nijazowa znanego jako Turkmenbasza. Dwie dekady po jego śmierci okazuje się jednak, że o podobnych pomnikach i władzy marzy amerykański prezydent.

Nijazow pozwolił także wypowiedzieć się Turkmenom w kwestii ułatwienia im życia. Ojciec Turkmenów nie chciał bowiem fatygować rodaków na wybory co kilka lat i zorganizował referendum, w którym zapytał ich, czy nie byłoby lepiej, gdyby wydłużyć jego kadencję o trzy lata. Centralna komisja wyborcza dokładnie policzyła wszystkie głosy i orzekła, że na dwa miliony uprawnionych do głosowania przy urnach stawili się wszyscy Turkmeni, siedemnaście osób oddało głosy nieważne, a dwieście dwanaście było przeciw. To znaczy, że przy stuprocentowej frekwencji 99,99 procent obywateli było za propozycją Nijazowa.

Nie ma się więc co dziwić, że jeszcze przed końcem trwającej dekadę kadencji Nijazowa parlament uznał, że inny prezydent nie jest potrzebny, i przyznał mu dożywotnie panowanie. Turkmenbasza tak umiłował swój lud, że serce jego nie wytrzymało i przestało bić w 2006 roku, po szesnastu latach rządów. Złe języki sugerują, że w zatrzymywaniu pierwszego serca w kraju mógł pomóc wiceprezydent i minister zdrowia Gurbanguły Berdymuchamedow. W każdym razie Berdymuchamedow w najlepszym radzieckim stylu najpierw zorganizował pogrzeb Turkmenbaszy, a potem wybory, w których wszyscy kontrkandydaci go popierali, nie miał więc problemów z wygraną. Berdymuchamedow nie musiał nawet walczyć o władzę z prezydenckim synem Muratem, który mieszkał za granicą i nigdy nie pchał się do polityki.

Można tu znaleźć pewne podobieństwa z młodym Berdymuchamedowem, który całym sobą zdaje się mówić, że nie spieszyło mu się nigdy do polityki, a publiczne wystąpienia przyprawiają go o zakłopotanie. Niemniej jednak ojciec uznał najwyraźniej, że skoro Nijazow był prezydentem przez szesnaście lat, to jemu także wystarczy szesnaście i posadził syna w swoim fotelu. Oczywiście nie dał mu realnej władzy. W ten sposób Gurbanguły Berdymuchamedow powtórzył manewr Ojca Kazachów Nursułtana Nazarbajewa, to znaczy znalazł sobie następcę, powierzył mu stanowisko, ale władzę zachował dla siebie.

eprasa.pl 7d207e4b08

Niemniej jednak, gdyby drugi prezydent Turkmenistanu umarł równie młodo jak pierwszy, to trzeciego nie trzeba już szukać. Póki co jednak zarówno ojciec, jak i syn cieszą się dobrym zdrowiem i każdego dnia mogą walczyć o lepsze jutro dla swoich rodaków. Równocześnie trzeci Berdymuchamedow, Kerimguły, ukończył niedawno studia politologiczne na uniwersytecie w Exeter. Jeśli Serdar także postanowi oddać prezydenturę synowi po szesnastu latach, to w 2038 roku czeka nas koronacja trzydziestosiedmioletniego Kerimguły na kolejnego wodza Turkmenów. To jednak jeszcze nie jest pewne, gdyż sam Kerimguły nie pojawia się w oficjalnych mediach pod swoim nazwiskiem, a jedynie u boku dziadka.

Najdłużej urzędujący

Podobnych rozterek z pokazywaniem i namaszczaniem rodziny nie ma za to władca Tadżykistanu Emomali Rahmon. Jego oficjalny tytuł, zapisany w konstytucji Tadżykistanu, to „Twórca Pokoju i Narodowej Jedności – Lider Nacji Prezydent Tadżykistanu Emomali Rahmon". Dzierży on jeszcze jeden tytuł, nie mniej cenny, czyli najdłużej urzędującego władcy na obszarze poradzieckim oraz przy okazji trzeciego najdłużej panującego władcy w Azji. Rahmon obejmował władzę w 1992 roku, gdy o Putinie słyszała tylko garstka działaczy antykorupcyjnych w Petersburgu, a Aleksander Łukaszenka był jeszcze szeregowym posłem. Sadyr Dżaparow kończył studia trenerskie na AWF w Biszkeku, Tokajew został właśnie wiceministrem spraw zagranicznych, Mirzijojew został hakimem (burmistrzem) jednej z dzielnic Taszkentu, Gurbanguły Berdymuchamedow nadal był dentystą, a Serdar kończył podstawówkę.

Sytuacja na najwyższych stopniach władzy w Azji Centralnej pozostaje stabilna. Stabilność tę udaje się zachowywać poprzez koncentrację władzy w ręku jednego lidera.

Rahmon w ciągu ponad trzech dekad rządów sprywatyzował Tadżykistan w stopniu trudnym do opisania. Praktycznie cała gospodarka jest w rękach jego rodziny i najbliższego kręgu powinowatych oraz ewentualnie przyjaciół. Kwestię sukcesji załatwił już dziesięć lat temu, gdy specjalnie dla syna Rustama zmienił konstytucję, umożliwiając start w wyborach prezydenckich od momentu ukończenia trzydziestu, a nie trzydziestu pięciu lat. Później Rustam został merem Duszanbe, a od 2020 roku pełni także funkcję przewodniczącego izby wyższej parlamentu. Rustam Emomali jest więc nie tylko faktycznym, ale i konstytucyjnym następcą swojego ojca. Wszyscy w Tadżykistanie to wiedzą i jeśli nie obali go nikt z najbliższej rodziny, to po śmierci ojca obejmie on władzę w kraju. Nie wiadomo kiedy to nastąpi, bo choć „Lider Nacji" ma dopiero siedemdziesiąt

eprasa.pl 7d207e4b08



Tadżykistan jest krajem, w którym pod jednym dachem żyją wielopokoleniowe rodziny. Dziewczynki od małego są uczone domowych czynności.

Magdalena Gromek



Magdalena Gromek

eprasa.pl 7d207e4b08



Tradycyjne stroje i nakrycia głowy wciąż noszone są z dumą – nie tylko na prowincji.



W miastach, takich jak na przykład Duszanbe, toczy się nocne życie. W lokalach można zjeść tradycyjne tadżyckie potrawy.

Magdalena Gromek



Marszrutki pozostają najważniejszym środkiem transportu. Niekiedy pędzą z dziką prędkością po skalistych drogach, wzbijając tumany kurzu.

Magdalena Gromal

eprasa.pl 7e207e4b08



© Magdalena Gromek



Skaliste góry są jednym z najważniejszych komponentów kraju. Surowe i monumentalne wydają się na wyciągnięcie ręki – nawet w mieście. Podobiznę prezydenta kraju Emomali Rahmona spotkać można praktycznie na każdym kroku.



Rzeka Pandż oddziela Tadżykistan od Afganistanu. Po jednej i drugiej stronie granicy krajobraz jest podobny, ale są to dwa różne światy.

Magdalena Gromek

epapa.pl 7d207e4b08

cztery lata, to ostatnio zniknął na dwa tygodnie, podobno w związku z koniecznością leczenia serca.

***

Sytuacja na najwyższych stopniach władzy w Azji Centralnej pozostaje stabilna. Stabilność tę udaje się zachowywać poprzez koncentrację władzy w ręku jednego lidera. Jedynym problemem w takim układzie jest sukcesja, która musi być przeprowadzona błyskawicznie. Stąd centralnoazjatyccy władcy nie szczędzą sił i środków, by zapewnić możliwie gładki transfer władzy do kolejnych krzepkich rąk. Jedni stawiają na dynastię, inni na namaszczonych następców.

Jedynie Kirgistan wyłamywał się z tej logiki, ale najprawdopodobniej w najbliższych latach przestanie on znacząco odróżniać się od sąsiadów. Wszystko wskazuje więc na to, że jeśli chodzi o znaczące wydarzenia polityczne w regionie, możemy się spodziewać w następnych kilku latach: procesu namaszczania następcy w Kazachstanie, powrotu do dyktatury w Kirgistanie i moszczenia się trójki delfinów w Tadżykistanie, Uzbekistanie i Turkmenistanie. Najciekawiej, moim zdaniem, będzie obserwować, jak namaszczony technokratyczny władca namaści swojego następcę w Kazachstanie i jak Uzbecki chan będzie próbował intronizować własną córkę.

eprasa.pl 7d207e4b08

Michałkow, pierwszy piewca reżimu

Ireneusz Dańko

„Wołga płynie przy każdej władzy" – mawiał Siergiej Michałkow, autor słów do hymnów ZSRR i Rosji. Jego życiowe motto powtarza syn Nikita, zdobywca Oscara za film *Spaleni słońcem*, który, wzorem ojca, opanował do perfekcji sztukę podlizywania się władcom Kremla, stając się jedną z ważnych figur rosyjskiej propagandy.

Publiczne hołdy i odznaczenia od najważniejszych osób w państwie, biograficzne filmy i tasiemcowe wywiady w głównych telewizjach, a nawet specjalny pociąg kursujący w moskiewskim metrze z nazwiskiem jubilata i kadrami z jego filmów. Tak kilka miesięcy temu Rosja świętowała osiemdziesiąte urodziny reżysera i aktora Nikity Michałkowa. Putin przysłał Michałkowowi gratulacje i osobiście złożył mu życzenia podczas urodzinowej imprezy w Teatrze Warsztat 12 w Moskwie. Na Kremlu wręczył reżyserowi Order Świętego Andrzeja Apostoła Pierwszego Powołania – najwyższe odznaczenie imperium rosyjskiego, którego piewcą Michałkow pozostaje. W filmie dokumentalnym *Nikita* opowiadał o przyjaźni i szczególnej „chemii", jaka ich łączy. „Twoja twórczość, wyjątkowy wkład w rozwój rosyjskiego kina oraz wielopłaszczyznowa działalność społeczna, edukacyjna i informacyjna są przykładem oddanej służby dla swojego rzemiosła, swojego kraju i swojego narodu" – włodarz Kremla napisał w okolicznościowym telegramie, który opublikował Związek Filmowców Rosji, kierowany od blisko trzydzieści lat przez Michałkowa.

Bóg zesłał nam wojnę

Takich zaszczytów we współczesnej Rosji nie dostąpił żaden twórca kultury. Żaden też nie robi tyle, co Michałkow, by wspierać putinowski reżim i jego imperialne ambicje. Zdobywca Oscara i Grand Prix na festiwalu w Cannes za film *Spaleni słońcem* z 1994 roku na każdym kroku podkreśla uwielbienie dla Putina. „Dziękuję Bogu, że w końcu pojawił się człowiek, który przywrócił godność mnie i mojemu

eprasa.pl 7d207e4b08

krajowi. Ja go szanuję, kocham. To mój przyjaciel (…). Sram na to, co o mnie sądzą liberałowie" – kilka lat temu mówił Michałkow w wywiadzie udzielonym ukraińskiemu dziennikarzowi Dmitrijowi Gordonowi.

Reżyser przedstawia Putina jako wcielenie cara samowładcy, który po latach upadku przywrócił do życia rosyjską potęgę. Siebie określa jako monarchistę, wyznawcę „oświeconego konserwatyzmu". Obrońcę prawosławia, „rosyjskiego świata" i tradycyjnych wartości. „Ludzie są już zmęczeni wysłuchiwaniem deklaracji o niezależności politycznej, wezwaniami do wolności indywidualnej i do wiary w bajki o cudach gospodarki rynkowej. Euforia liberalnej demokracji się skończyła!" – napisał w manifeście politycznym, który ogłosił w 2010 roku podczas swoich sześćdziesiątych piątych urodzin. „Rosyjscy liberałowie doszli do tego, że odrzucają całą Rosję, to znaczy nienawidzą i biją swoją matkę" – tu posłużył się cytatem z Fiodora Dostojewskiego.

Michałkow czuje się pogromcą demonów, które dziś rzekomo zagrażają Rosji.

Te i inne opinie Michałkow wygłasza regularnie w autorskim programie *Biesogon*. To cykl ideologicznych pogadanek, który realizuje od 2011 roku. Internetowy wideoblog ma prawie pół miliona subskrybentów na Telegramie. Nadają go także największe państwowe telewizje w Rosji i kanał Spas TV, podległy Prawosławnej Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego. Oglądanie *Biesogona* nieraz deklarował Putin, chwaląc autora za celność uwag i patriotyzm. Z błogosławieństwem Kremla fragmenty programu pokazuje się rekrutom w wojsku i uczniom w szkołach, by analizowali treści na obowiązkowych zajęciach wychowawczych *Rozmowy o ważnym*. Tytuł nawiązuje do wczesnochrześcijańskiego świętego, który miał pokonać diabła. Michałkow czuje się pogromcą demonów, które dziś rzekomo zagrażają Rosji, w jego opinii – „jedynemu krajowi w świecie, który zachował chrześcijańskie, rodzinne wartości i tradycyjną europejską kulturę". Rozprawia się z nimi przed kamerą w pokoju ozdobionym ikonami i rosyjską flagą. Komentuje wybrane zdarzenia, zdjęcia, filmy i wypowiedzi. Gromi przeciwników Putina i snuje teorie spiskowe, tropi rusofobię i mało patriotycznych rodaków, którzy ulegają zepsuciu moralnemu płynącemu z Zachodu. *Patologiczna ekologia*, *Kto, jak i dlaczego chciałby okłamać Prezydenta*, *Krwawa wolność Europy* to tytuły niektórych odcinków *Biesogona*. Kremlowskich czynowników gani czasem za zbytnią pobłażliwość dla wroga. Wzywa, by eliminowali wpływy zachodniej kultury w Rosji, w tym emisję amerykańskich filmów w kinach i angielskie słownictwo w przestrzeni publicznej. Apeluje o zaostrzenie walki ze zdrajcami i terrorystami, włącznie z przywróceniem kary śmierci. Wielokroć atakował między innymi Aleksieja Nawalnego jako zagranicznego agenta. Po jego śmierci w kolonii karnej nagrał program *Anatomia zdrady*

eprasa.pl 7d207e4b08

czy wesoła wdowa, w którym urągał Julii Nawalnej i utrzymywał, że znanego opozycjonistę otruły zachodnie służby specjalne. Z sentymentem wspomina czasy sowieckiego i carskiego imperium. Broni „dokonań" najbardziej okrutnych władców na Kremlu – Stalina i cara Iwana Groźnego. „Jeśli cały kraj nie oddycha jednym oddechem, to bardzo trudno mu się obronić i mieć przyszłość" – zachwala autokratyczne rządy. Występy przed kamerą kończy zwykle toastem za „zwycięstwo SWO", jak w Rosji nazywa się oficjalnie wojnę przeciw Ukrainie. Wódkę zagryza ogórkiem. „Bóg zesłał nam specjalną operację wojskową, aby otworzyć nam oczy" – zachwala wojnę przeciw „nazistowskiemu reżimowi w Kijowie". W lutym bieżącego roku osobiście przekazał na ten cel trzy miliony rubli, które dostał za Grand Prix rosyjskiej Nagrody Literackiej „Słowo". Wcześniej wysłał między innymi amerykańską strzelbę myśliwską (dar od byłego premiera Wiktora Czernomyrdina) do zestrzeliwania ukraińskich dronów, a także 700 zbiorów wierszy wojennych nieżyjącego już ojca z nowymi mundurami. „Drogi przyjacielu! Pamiętaj, mój ojciec walczy u twego boku!" – podpisał każdy egzemplarz książki.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni

Za swoją działalność Michałkow zebrał więcej odznaczeń niż dawni książęta rosyjscy i sowieccy generałowie. Zasiada we władzach kilkudziesięciu organizacji, funduszy i instytucji. W wielu jest przewodniczącym. Jeśli wierzyć oficjalnym mediom, niedawno zajął drugie miejsce w rankingu autorytetów moralnych Rosjan (zaraz za Putinem). Rosyjscy twórcy kultury, którzy po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę wyemigrowali z kraju, nazywają osiemdziesięcioletniego reżysera „lizusem Putina". Nie kwestionując jego wybitnych osiągnięć artystycznych z przeszłości, wytykają serwilizm wobec Kremla. Jego wzorem jest ojciec – przedstawiciel dawnej sowieckiej elity. Siergiej Michałkow już jako młody poeta wkradł się w łaski Stalina, publikując w 1935 roku miłosny wiersz *Swietłana* w dzienniku „Izwiestia". Tytułowe imię nosiła córka dyktatora. To otworzyło mu drzwi do kariery. Wkrótce Michałkow miał już wydany tomik poezji, trzy nagrody stalinowskie i Order Lenina. W 1943 roku wygrał konkurs na tekst nowego hymnu Związku Sowieckiego. W kolejnych latach tworzył zgodnie z komunistycznym kanonem. Poznał osobiście wszystkich przywódców KPZR. Jako działacz, a później przewodniczący Związku Pisarzy tępił ideologiczne odchylenia w literaturze. Uczestniczył między innymi w nagonkach na noblistów Borisa Pasternaka i Aleksandra Sołżenicyna, których oskarżał o pisanie książek na zamówienie kapitalistycznego Zachodu. Nikita był jego młodszym synem. Dorastał w kręgu dzieci kremlowskich dygnitarzy. Dzięki koneksjom ojca już jako uczeń występował w filmach, na przykład w antyreligijnym obrazie *Chmury nad*

eprasa.pl 7d207e4b08

Borskiem. W wieku osiemnastu lat zagrał jedną z głównych ról w popularnej komedii romantycznej *Spaceruję po Moskwie*. Karierę filmową – na niespełna rok – przerwało wezwanie do wojska, ale nawet wtedy, jako marynarz dalekowschodniej floty, latał na przepustki do Moskwy i wystąpił w propagandowym dokumencie sławiącym żołnierską służbę. Po powrocie do cywila budował legendę mężczyzny zahartowanego przez armię. Wzorem starszego brata Andrieja, który zachował po matce nazwisko Konczałowski – zajął się reżyserią. Niewątpliwy talent sprawił, że jego filmy *Niewolnica miłości*, *Niedokończony utwór na pianolę* czy *Swój wśród obcych, obcy wśród swoich* weszły do klasyki sowieckiego i rosyjskiego kina. Często sam siebie obsadzał w głównych rolach. Jego ulubionymi postaciami filmowymi byli najczęściej czekiści i oficerzy. W ZSRR miał status gwiazdy. Podróżował po całym świecie, gdy większość mieszkańców mogła tylko marzyć o wyjeździe za granicę. Sprowadził sobie nawet niebieskiego Mercedesa, który budził zazdrość w Moskwie i który został wykorzystany w jego filmie. Kariery nie zachwiała pierestrojka Gorbaczowa. Bronił starej sowieckiej nomenklatury w kinematografii, ale równocześnie założył własne studio filmowe TriTe. W międzynarodowej koprodukcji nakręcił film *Oczy czarne* z udziałem gwiazdora włoskiego kina – Marcella Mastroianniego. Później współpracował między innymi z Amerykanami przy produkcji *Akademii Policyjnej 7: Misja w Moskwie*, a nawet zrobił film *Autostop* na zlecenie koncernu Fiata. Polityczny nos zmylił go na krótko na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Związał się wtedy z wiceprezydentem Aleksandrem Ruckojem, który jesienią 1993 roku stanął na czele antyjelcynowskiej rebelii. Michałkow zrozumiał swój błąd, kiedy prezydent Borys Jelcyn z pomocą wojska rozprawił się z konserwatywną opozycją. Reżyser zrobił wszystko, by zyskać przychylność zwycięzcy. Rok później stworzył swoje najwybitniejsze dzieło *Spaleni słońcem*, w którym rozliczał kraj z totalitarnej przeszłości. Po otrzymaniu Oscara żalił się publicznie, że nie dostał gratulacji od prezydenta Jelcyna. Winę odkupił, kandydując do Dumy Państwowej z listy jego partii Nasz Dom – Rosja, a następnie agitując w wyborach prezydenckich. Na wiecach przekonywał, że Jelcyn to prawdziwy mężczyzna, którego potrzebuje kobieta Rosja. Dobre kontakty z władzą przydały się, gdy w 1998 roku nakręcił z hollywoodzkim rozmachem film *Cyrulik syberyjski*. Był to najdroższy obraz filmowy w Rosji, kosztował około 45 milionów dolarów, z czego kilkanaście milionów wyłożyło państwo. Międzynarodowa koprodukcja sławiła przedrewolucyjną carską Rosję. Sam Michałkow zagrał cara Aleksandra III, co było

W ZSRR reżyser miał status gwiazdy. Podróżował po całym świecie, sprowadził sobie nawet niebieskiego Mercedesa, którym budził zazdrość w Moskwie i który „wystąpił" w jego filmie.

eprasa.pl 7d207e4b08

zgodne z jego przemianą w twardego monarchistę. Wcieleniem politycznych pragnień okazał się wkrótce Władimir Putin, były funkcjonariusz KGB, którego ciężko chory Jelcyn wyznaczył na swojego następcę w 1999 roku. Reżyser popierał go podczas wszystkich kolejnych wyborów, chwalił każdą jego decyzję, w tym brutalną wojnę w Czeczenii, od której Putin zaczął rządy. W 2007 roku podpisał apel do gospodarza Kremla o pozostanie na trzecią prezydencką kadencję wbrew zapisom rosyjskiej konstytucji. „Rosja potrzebuje Waszego talentu jako męża stanu, Waszej politycznej mądrości. Bardzo prosimy Was, drogi Władimirze Władimirowiczu, rozważyć nasze nadzieje na Waszą pozytywną decyzję" – to fragment pisma, którego Michałkow był współtwórcą. Oprócz kolejnych filmów fabularnych nakręcił między innymi propagandowy dokument o gospodarzu Kremla. Ten nie zapominał odwdzięczyć się za wsparcie. Już w 2000 roku przywrócił stary sowiecki hymn, do którego nowy tekst napisał ojciec Michałkowa. Nie szczędził też publicznych zachwytów nad coraz słabszymi dziełami reżysera. Kamera nieraz towarzyszyła im podczas wspólnych biesiad. W 2007 roku w prezydenckiej rezydencji Michałkow zorganizował dla Putina i Ramzana Kadyrowa specjalny pokaz swojego filmu *12*. Powszechnie znana zażyłość otwierała mu drzwi do najważniejszych urzędników oraz pieniędzy z państwowych i innych źródeł. W 2010 roku nakręcił sequel *Spaleni słońcem 2. Cytadela* za rekordową sumę 55 milionów dolarów. Wojenny melodramat, sławiący bohaterstwo sowieckiego żołnierza, był kandydatem Rosji do Oscara, ale nie odniósł sukcesu. Cztery lata później Michałkow przyleciał z nowym filmem *Słoneczny udar* na Krym. Samolot wynajęło Ministerstwo Obrony, które kilka miesięcy wcześniej przeprowadziło aneksję ukraińskiego półwyspu na polecenie Putina. „Każdy, kto mówi, że Krym nie jest rosyjski, jest wrogiem" – tymi słowami Michałkow przemawiał na premierze w Sewastopolu, po czym odśpiewywał hymn Rosji z chórem dońskich Kozaków.

Na wiecach Michałkow przekonywał, że Jelcyn to prawdziwy mężczyzna, którego potrzebuje kobieta Rosja.

Bezinteresowny patriota

Jako szef między innymi Związku Filmowców Rosji, Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Moskwie, największej sieci kin w Rosji, Fundacji Rosyjskiej Kultury, teatru i akademii filmowej stał się carem krajowej kinematografii i nieformalnym ministrem kultury. Oficjalnie to ostatnie stanowisko zajmuje od ponad pięciu lat Olga Lubimowa. Była autorka programów telewizyjnych o Cerkwi prawosławnej jest protegowaną reżysera i (według niepotwierdzonych informacji) jego chrześniaczką.

eprasa.pl 7d207e4b08

Pochodzi z teatralnej rodziny, z którą od lat przyjaźni się Michałkow. Od jego opinii zależy dziś powodzenie artystycznych projektów i karier w Rosji. Donosami miał skłonić władze chociażby do ukarania celebrytów i gwiazd rosyjskiej muzyki, które pod koniec 2023 roku bawiły się na roznegliżowanej imprezie w klubie nocnym w Moskwie. Uczestnicy, aby ratować skórę, musieli złożyć publiczną samokrytykę. To samo zrobili aktorzy, którzy trafili na czarną listę za potępienie wojny przeciw Ukrainie, a chcieli występować w spektaklach i filmach Michałkowa. Według niezależnej rosyjskiej telewizji Dożd, która od 2022 roku nadaje zza granicy, jego doniesienia doprowadziły do śledztwa i skazania na kilka lat kolonii karnej reżyserki Żeni Berkowicz i scenarzystki Swietłany Petrijczuk. Sąd uznał, że obie „usprawiedliwiały terroryzm" w spektaklu o Rosjankach, które poślubiły islamistów i uciekły do Syrii.

Michałkow zaprzecza tym oskarżeniom, choć przyznaje, że często dzieli się przemyśleniami z Putinem i jego najważniejszymi urzędnikami. Mimo że sam przyjął Oscara, nie chce, aby rosyjskie produkcje filmowe kandydowały do nagrody Amerykańskiej Akademii Filmowej. „Rosyjski film może zdobyć Oscara tylko za upokorzenie kraju" – uważa. Zamiast Oscarów wymyślił „nagrodę euroazjatyckiego kina", którą jest Brylantowy Motyl. Pod koniec ubiegłego roku przyznała ją po raz pierwszy Eurazjatycka Akademia Filmowa, złożona z przedstawicieli takich krajów, jak: Kazachstan, Chiny, Kuba, Pakistan, Uzbekistan i oczywiście Rosja. Uroczyste wręczenie z udziałem kremlowskich notabli i specjalnym posłaniem od Putina odbyło się w moskiewskim Teatrze Warsztat 12 Nikity Michałkowa. Chiński zwycięzca w kategorii najlepszy film – prócz srebrnej statuetki z motylem ozdobionym szlachetnymi kamieniami – otrzymał milion dolarów, inni laureaci dostali po 250 tysięcy dolarów.

Michałkow popierał Putina podczas wszystkich kolejnych wyborów, chwalił każdą jego decyzję, w tym brutalną wojnę w Czeczenii.

Michałkow nie po raz pierwszy okazał się mistrzem w zdobywaniu olbrzymich sum na swoje projekty. Choć oficjalnie przedstawia się jako bezinteresowny patriota, wiele pieniędzy trafia na jego prywatne konta. „Społeczeństwo, które żyje i definiuje swoją jakość życia ilością i jakością przyjemności, nie może wygrać" – to fragmenty przemowy Michałkowa wygłoszonej podczas konferencji „Ludobójstwo: wyzwania współczesności" w marcu 2024 roku na Wydziale Prawa Uniwersytetu Moskiewskiego. Ta i podobne deklaracje to – zdaniem niezależnych rosyjskich mediów – przejaw głębokiej hipokryzji. W 2018 roku sensacją stała się publikacja sprawozdania majątkowego Michałkowa przez departament kultury merostwa w Moskwie, któremu formalnie podlega miejski Teatr Warsztat 12. Według dokumentu dochód reżysera za wcześniejszy rok wyniósł ponad pół miliarda rubli (około 6,5 miliona dolarów).

eprasa.pl 7d207e4b08

W swoim majątku wykazał on między innymi około 30 tysięcy metrów kwadratowych różnych nieruchomości (w tym osiemdziesiąt dziewięć działek oraz dwanaście domów i apartamentów), śmigłowiec, dwa Mercedesy i udziały w dziesiątkach firm. Michałkow zapewniał, że na wszystko uczciwie zarobił przy produkcji ponad pięćdziesięciu filmów, w tym kilkunastu, które sam wyreżyserował. Jednak później nie ujawniano jego deklaracji majątkowych, choć wciąż kieruje miejskim teatrem. Raz po raz pojawiały się za to w mediach informacje o jego rozlicznych biznesach – deweloperskim, produkcji win (pod własną marką), przetwórstwie drewna czy wydobycia diamentów. Współpracownicy Nawalnego odkryli, że trzy apartamenty nad Morzem Śródziemnym w Hiszpanii w 2019 roku reżyser przepisał na córkę Annę. Tam też znajduje się willa (licząca 950 metrów kwadratowych i szacowana na wartość 5 milionów euro) z basenem i ogrodem, która oficjalnie należy do żony i trójki dzieci Michałkowa. Sam reżyser figuruje jako właściciel winnicy i dwustupięćdziesięciometrowego apartamentu w ekskluzywnej włoskiej klinice spa. Do zagranicznych nieruchomości stracił dostęp w 2023 roku, gdy trafił na europejską listę osób objętych sankcjami za wsparcie agresji Rosji przeciw Ukrainie. W ubiegłym roku działacze Fundacji Walki z Korupcją (FBK) ustalili jeszcze jedną nieruchomość w Hiszpanii, którą łączą z Michałkowem. To apartament Marii Lemieszewej, byłej prezenterki głównej państwowej telewizji w Rosji (Pierwyj Kanał), obecnie szefowej czasopisma „KinoReporter". Na osiemdziesiąte urodziny Michałkowa opublikowała na okładce magazynu zdjęcie reżysera. Tytuł głosił: *Okrutna prawda. Bez miłości – jest kłamstwo*. Według FBK pięćdziesięciopięcioletnia Lemieszewa jest matką pozamałżeńskiej córki jubilata, którą urodziła w 2011 roku. On też prawdopodobnie stoi za jej karierą i zakupem ponad stumetrowego apartamentu w tym samym hiszpańskim kurorcie, w którym znajdują się trzy apartamenty jego ślubnej córki.

„Nie wiecie, co mówicie, nazywając mnie kremlowskim propagandystą" – napisał Michałkow w liście otwartym do Rady Europy, gdy znalazł się na liście sankcyjnej – „jeśli was to interesuje: nie dostaję nawet kopiejki ani od stacji, ani od rządu, a program produkuję na własny koszt. Co więcej, dla dobra »czystości eksperymentu« mój program nie jest przerywany reklamami".

Co innego wynika z dokumentów, do których dotarła FBK. Za każdy odcinek *Biesogona* trafia na konto jego firmy 5 milionów rubli z koncernu naftowego Rosnieft. Oficjalnie to zapłata za reklamy, których faktycznie nie ma w programie. Kolejne sumy wypłaca Ministerstwo Edukacji za emisję fragmentów *Biesogona* w szkołach. Każdy przelew opiewa na 350 tysięcy rubli. Podobnie dzieje się w przypadku Ministerstwa Obrony.

Największe dochody przynosi studio filmowe TriTe, które produkuje autorskie filmy Michałkowa i innych twórców z jego „klanu". Część to wysokobudżetowe, ko-

eprasa.pl 7d207e4b08

mercyjne obrazy, jak na przykład zeszłoroczny *Kraken*, który kosztował około miliarda rubli. Naukowo-fantastyczny film sfinansowały w większości państwowe firmy i banki, dotację przyznało też Ministerstwo Kultury. Choć kina świeciły pustkami, to i tak konto głównego udziałowca studia zasilono pokaźną kwotą 112 milionów rubli. Rok wcześniej TriTe odnotowało prawie 3 miliardy rubli przychodu, a zaledwie 26 milionów zysku. Jak do możliwe? Ano z powodu olbrzymich honorariów dla twórców filmów na czele z producentem, reżyserem i aktorem Michałkowem, którego wynagrodzenie w 2024 roku wyniosło ponad 300 milionów rubli (około 15 milionów złotych).

„Ech, dobra nasza matka Rosja, a jeszcze lepszy ja w tej Rosji" – podsumowuje ironicznie filmową twórczość Michałkowa znany rosyjski krytyk filmowy Anton Dolin (od marca 2022 roku na emigracji). Sam reżyser, mimo podeszłego wieku, nie zwalnia tempa. W ubiegłym roku wystawił w swoim odnowionym teatrze sztukę *Przed świtem*. Spektakl oparł na zbiorze scen dramatycznych *Strach i nędza Trzeciej Rzeszy* Bertolda Brechta, które pokazują życie codzienne mieszkańców nazistowskich Niemczech w latach trzydziestych XX wieku. „Nawet prywatne, intymne życie »małych ludzi« jest atakowane przez niszczycielski wirus: rodzina i przestrzeń osobista nie mogą już zapewnić schronienia ani chronić przed zgubnym wpływem strachu, kłamstw, nienawiści i złośliwości na umysł" – można przeczytać w teatralnym opisie sztuki. Myliłby się jednak ten, kto by myślał, że to metafora putinowskiej Rosji, której podobieństwo do państwa Hitlera dostrzegł Michałkow. „Chcemy powiedzieć, że w ciągu czterdziestu lat wewnątrz naszego słowiańskiego społeczeństwa zrodził się absolutnie żywy nazizm, przy czym jeszcze pomnożony przez pogaństwo" – tak Michałkow wytłumaczył w jednym z wywiadów swój artystyczny zamysł. W finałowej scenie spektaklu umieścił „zaczarowanego wędrowca", który mówi po ukraińsku. „Przybywa do »cywilizowanej« Europy i spotyka na dworcu kolejowym dwie Niemki. Kobiety postanawiają zrobić żart naiwnemu nieznajomemu. Cały dowcip polega na tym, że nie rozumie on ani niemieckiej mowy, ani europejskich zwyczajów. Żart podchwytuje »radosny« niemiecki tłum, który omal nie powiesił obcego. Podróżował po zbawienie, ale zostaje złapany w pętlę i cudem uchodzi z życiem. Przyszło olśnienie, które powinno stać się olśnieniem dla wielu" – podsumowuje zachwycona recenzentka „Komsomolskiej Prawdy".

Ireneusz Dańko jest dziennikarzem i muzykiem. Specjalizuje się w problematyce historycznej, a także w historii, polityce i kulturze Europy Wschodniej.

eprasa.pl 7d207e4b08

Czy należy czytać rosyjską literaturę?

Z prof. Grzegorzem Przebindą z Instytutu Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawcą literatury rosyjskiej, tłumaczem, autorem książki *Umarli są szczęśliwi? Dziennik trzeciego roku wojny*, rozmawia Ireneusz Dańko

IRENEUSZ DAŃKO: Od ponad czterech lat prowadzi Pan „dziennik antywojenny". Skąd taki pomysł u filologa?

GRZEGORZ PRZEBINDA: To nie był „pomysł" w sensie literackiego projektu czy planu badawczego. Raczej poczucie obowiązku – a nawet swego rodzaju misji. Jako filolog rosyjski oraz historyk idei od dziesięcioleci zajmuję się kulturą, językiem i literaturą Rosji, próbując je rozumieć i objaśniać nie tylko polskiemu czytelnikowi. Kiedy jednak 24 lutego 2022 roku Rosja rozpoczęła regularną wojnę przeciwko Ukrainie – zwaną dziś, moim zdaniem dość nieporadnie, „pełnoskalową" – poczułem nagle impuls, że nie mogę pozostać wyłącznie obserwatorem ani tradycyjnym komentatorem dawnych tekstów. Dziennik stał się dla mnie sposobem reagowania na to, co dzieje się na naszych oczach. To próba intelektualnego zmierzenia się z Rosją – jej historią, jej językiem, jej mitami politycznymi – ale także ponownego namysłu nad rosyjską literaturą i jej autorami, których przez lata czytaliśmy w innych kontekstach. Wojna zmusza bowiem do stawiania dawnym tekstom nowych pytań i do ponownego zastanowienia się nad tym, jak rosyjska kultura rozumiała państwo, władzę, imperium czy wolność. Nieprzypadkowo pierwszy tom otrzymał podtytuł *Rozprawa filologa z Rosją*. Chodzi w nim nie tylko o demaskowanie języka propagandy i obronę prawdy w czasie wojny, lecz także o szerzej rozumianą rozprawę o Rosji – próbę jej zrozumienia poprzez literaturę, historię idei i doświadczenie współczesności.

Wojna – według Putina – miała przywrócić Ukrainę na łono odrodzonego imperium, tymczasem doprowadziła do jej derusyfikacji. Wielu Ukraińców przestało czytać rosyjskie książki i mówić w języku agresora, a w miastach usunięto pomniki pisarzy Rosjan. U Pana też zmienił się odbiór rosyjskiej literatury?

Rozumiem reakcję Ukraińców. Rosja prowadzi przeciwko nim brutalną wojnę, niszczy miasta i zabija ludzi, więc naturalne jest, że wielu z nich odrzuca dziś język agresora i symbole rosyjskiej kul-

eprasa.pl 7d207e4b08

tury. „Derusyfikacja" przestrzeni publicznej w Ukrainie jest częścią obrony własnej tożsamości i trudno się temu dziwić. U mnie jednak – bo choć bronię Ukrainy, pozostaję nadal Polakiem zainteresowanym Rosją – nie chodzi o odrzucenie literatury rosyjskiej, lecz o jej ponowne, zdecydowanie bardziej krytyczne czytanie. Wojna dramatycznie pozmieniała teksty i kontekst. Utwory, które przez dziesięciolecia czytaliśmy przede wszystkim jako wielkie dzieła literatury, należy dziś oglądać również w perspektywie rosyjskiego imperialnego myślenia, obecnego w historii państwa, a czasem także w samej kulturze. Dlatego nie przestałem czytać rosyjskich pisarzy, ale czytam ich inaczej niż dawniej. Filolog bowiem nie powinien zamykać książek – ani tym bardziej ich palić – lecz zadawać im nowe pytania. Dziś są to pytania o stosunek rosyjskiej kultury do państwa, do przemocy, do imperium i do sąsiadki Rosji. W tym sensie także moja praca nad literaturą rosyjską stała się częścią tej samej „rozprawy filologa z Rosją", o której piszę w swoim dzienniku. Rozprawa ma wszelako w języku polskim dwa znaczenia. Po pierwsze, to, które od razu narzuca się czytelnikowi na myśl – rozprawa jako polemika, spór czy nawet bezlitosne rozliczenie z Rosją i jej imperialną polityką. Ale po drugie, rozprawa oznacza także coś innego: próbę zrozumienia nowej sytuacji historycznej i politycznej, w jakiej znaleźliśmy się po 24 lutego 2022 roku, a także ponownego namysłu nad rosyjską kulturą, literaturą i ideami, które przez wieki współtworzyły rosyjskie myślenie o państwie, imperium i wolności.

Niedługo w „Gazecie Wyborczej", z woli Adama Michnika, ukaże się mój dłuższy tekst o Fiodorze Dostojewskim w kontekście Czesława Miłosza. Tam właśnie próbuję pokazać, co u Dostojewskiego dzisiaj trzeba oczywiście odrzucić – jego nacjonalistyczne czy antyzachodnie tyrady. Wielki pisarz nie przestaje być jednak wielkim pisarzem tylko dlatego, że jego epoka i jego poglądy były uwikłane w ideologie, które dziś widzimy wyraźniej niż kiedyś. Trzeba więc czytać go z większą czujnością, nie z zamkniętymi oczami, ale bynajmniej nie wyrzucać na śmietnik.

Całkowite natomiast odwrócenie się od Rosji i od języka rosyjskiego – także, podkreślę to dobitnie, w dzisiejszej Ukrainie – byłoby jednak poważnym błędem. Choćby dlatego, że trzeba znać historię, kulturę i język wroga, aby móc się przed nim skutecznie bronić. To jest naprawdę podstawowy warunek. Wystarczy zobaczyć, jak dramatycznie Rosji nie rozumie dziś część amerykańskich polityków. Gdy słucha się wypowiedzi Donalda Trumpa czy Steve'a Witkoffa, widać wyraźnie, jak bardzo brakuje tam elementarnego rozeznania w rosyjskiej historii, mentalności i sposobach prowadzenia polityki. Przydałby się w ich otoczeniu ktoś, kto pomógłby zrozumieć, skąd bierze się przebiegłość Putina. Może wtedy nie padałyby tak zdumiewające dzisiaj słowa Trumpa, że główną przeszkodą dla pokoju jest nie Putin, lecz prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski.

eprasa.pl 7d207e4b08



Jacek Wnuk

Nie przestałem czytać rosyjskich pisarzy, ale czytam ich inaczej niż dawniej. Filolog bowiem nie powinien zamykać książek – ani tym bardziej ich palić – lecz zadawać im nowe pytania. Dziś są to pytania o stosunek rosyjskiej kultury do państwa, do przemocy, do imperium i do sąsiadki Rosji.

Pierwszy tom dziennika nosi tytuł *Ostatnia wojna Putina*. Wierzy Pan, że będzie faktycznie ostatnia, a jej sprawca odpowie za zbrodnie przed Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze?

Pisząc „ostatnia", miałem przede wszystkim na myśli, że to jest wojna, która aktualnie się toczy. Mój dziennik nie jest analizą *ex post*, lecz zapisem „na gorąco" przemyśleń i stanu ducha. W jego książkowym wydaniu nie zmieniłem żadnej opinii, których część może wydawać się dziś nietrafiona. Jesienią 2022 roku wierzyłem przez pewien czas, że koniec wojny jest blisko, a Putin stanie przed trybunałem w Hadze. Ukraińcy odzyskali wtedy połacie ziemi koło Kijowa i Charkowa, a na południu odbili tereny po prawej stronie Dniepru z Chersoniem. Byłem przekonany, że pójdą dalej przy solidarnym wsparciu całej Europy i Ameryki, ale niestety się myliłem. Prezydent Joe Biden dużo mówił o pomocy dla Ukrainy, a w rzeczywistości – podobnie jak inni zachodni przywódcy – działał zachowawczo, zwlekając z poważnymi dosta-

eprasa.pl 7d207e4b08

wami uzbrojenia, potem zaś republikanie z Trumpem całkiem zablokowali finansowanie.

Pisząc o „wojnie Putina", nie ściąga Pan odpowiedzialności z narodu rosyjskiego? Ukraińcy uważają, że winni są wszyscy Rosjanie, ponieważ wyhodowali sobie zbrodniarza i dopuścili do wojny, którą teraz większość popiera.

Od początku solidaryzuję się i wspomagam Ukraińców, jak mogę. Nie zgadzam się jednak, aby obwiniać o wojnę absolutnie cały naród rosyjski. Takie podejście tylko jednoczy Rosjan wokół Kremla, który wymachuje narodową flagą. To Putin zdecydował o wysłaniu armii przeciw Ukrainie i to przede wszystkim on jest odpowiedzialny za wojenne zbrodnie. Bez niego i systemu władzy, który stworzył, nie doszłoby do agresji. Jest jej koniecznym ogniwem – tak samo jak bez Napoleona nie mówilibyśmy o wojnach napoleońskich. Kiedyś napisałem książkę na temat dziejów myśli rosyjskiej. Jedną z kwestii, którą Rosjanie żywo dyskutowali u schyłku XIX wieku, było to, czy jednostka może tworzyć historię. Narodnicy uważali, że tak. Osobiście czuli się nosicielami tej idei. Wysuwali teorię krytycznie myślących jednostek, których działanie może przyśpieszyć historyczne przemiany. Z drugiej strony byli marksiści na czele z Gieorgijem Plechanowem, którzy przekonywali, że decydujące są procesy społeczne, a nie wola pojedynczych osób. Rosja – według nich – musiała najpierw przejść długą fazę kapitalistyczną, aby nastąpiła rewolucja socjalistyczna. Tymczasem Lenin, który tak naprawdę nie był żadnym marksistą i nie przejmował się teoretycznymi rozważaniami, wykorzystał nadarzającą się okazję i doprowadził do przewrotu, by przejąć władzę. Bez niego nie powstałby Związek Radziecki. To samo dotyczy teraz Putina, którego decyzje zmieniły Rosję i uruchomiły procesy, których efektów sam nie jest w stanie przewidzieć.

Putin i Rosjanie, którzy popierają jego politykę, nie wzięli się z próżni. On sam nieraz mówił, że ukształtowała go rosyjska literatura. Jak z rękawa sypał nazwiskami ulubionych autorów, wymieniał: Puszkina, Lermontowa czy Tołstoja, którzy w swoich książkach często sławili rosyjskie imperium.

Oczywiście, nic się nie rodzi na kamieniu, ale nie przesadzajmy. To nie rosyjska literatura pchnęła Rosjan na wojnę przeciw Ukrainie. W dzisiejszej Rosji mało kto czyta książki, a tym bardziej XIX-wieczną klasykę. To nie jej autorzy są winni wojennych zbrodni, lecz chora ideologia Putina *et consortes*. Samo powoływanie się polityków czy dyktatorów na wielką literaturę niczego jeszcze nie dowodzi i o niczym nie przesądza. W końcu Hitler także powoływał się na Szekspira, Feliks Dzierżyński na Juliusza Słowackiego, a Stalin na Michaiła Sałtykowa-Szczedrina. Czy w związku z tym mamy oskarżać tych pisarzy o to, że byli

eprasa.pl 7d207e4b08

prekursorami nazizmu albo komunizmu w jego dzierżyńsko-stalinowskim wydaniu? To, że Putin wymienia nazwiska i dzieła, nie świadczy o niczym. Zapewne przeczytał jakieś pozycje, które były szkolnymi lekturami, ale wątpię, by wiele pamiętał, a tym bardziej, żeby ukształtowały one jego poglądy. Wspominając jakieś tytuły i pisarzy, stara się po prostu kreować swój wizerunek. Pozuje na człowieka, któremu bliska jest ojczysta literatura, żeby zyskać sympatię rodaków. W rzeczywistości bliżej mu do tatarskiego czy bizantyjskiego dziedzictwa niż rosyjskich romantyków – Puszkina i Lermontowa. Podobnie kiedyś robił Stalin, który demonstrował znajomość rosyjskiej literatury i mordował miliony ludzi, w tym wybitnych pisarzy i poetów. Pamiętam, jak w 2001 roku Putin powiedział Adamowi Michnikowi w słynnym wywiadzie dla „Gazety Wyborczej", że ceni twórczość Osipa Mandelsztama. Gdyby go jednak wtedy zapytać o jakieś wiersze, to nic by nie wymienił. Dziś tysiące ludzi znów siedzi w koloniach karnych, a Aleksiej Nawalny zginął w łagrze w Arktyce, jak Mandelsztam w stalinowskim łagrze pod Władywostokiem. Moim zdaniem podstawowym dziełem, które przyswoił sobie Putin, jest XI–XII-wieczna kronika *Powieść minionych lat*, napisana przez mnicha Nestora z Ławry Peczerskiej w Kijowie. Zawarty w niej opis na wpół legendarnych dziejów ziem ruskich wykorzystuje, by wysuwać roszczenia wobec Ukrainy jako rzekomo historycznej części Rosji, której wtedy jeszcze nawet nie było. W imperialnej ideologii Putina najważniejszą funkcję spełnia nie literatura, lecz historia interpretowana zgodnie z wytycznymi Kremla. Nie przypadkiem od 2027 roku ma stać się ona podstawą egzaminu w rosyjskich szkołach średnich.

Ukraiński pisarz Jurij Andruchowycz widzi jednak źródło obecnej wojny w rosyjskiej literaturze, która – jak podkreśla – jest przesiąknięta imperialnym duchem. Usuwanie Puszkina i innych rosyjskich pisarzy z nazw ulic czy pomników traktuje jako przejaw kulturalnej dekolonizacji kraju.

Rozumiem ukraińskie emocje i bardzo cenię twórczość Andruchowycza, ale wolałbym, żeby zajął się krytyką współczesnych rosyjskich pisarzy, którzy – jak na przykład Zachar Prilepin czy Aleksander Prochanow – wprost wspierają zbrodniczą wojnę przeciw Ukrainie. W rosyjskiej literaturze znajdziemy zarówno motywy imperialne, jak i antyimperialne. Nie da się jej sprowadzić do wspólnego mianownika. Dla mnie groźniejsze jest to, co dzisiaj putinowska propaganda określa jako historyczną sprawiedliwość i powrót do historycznych granic niż to, że Puszkin napisał dwa wieki temu „antypolską trylogię" czy poemat *Połtawa*, w którym przedstawił jako zdrajcę hetmana Iwana Mazepę. Taka była po prostu wtedy dominująca narracja w Imperium Rosyjskim i tego się nie zmieni.

Puszkin sławił Piotra Wielkiego jako oświeconego władcę i twórcę

eprasa.pl 7d207e4b08

rosyjskiego imperium. Obaj zajmują wysokie miejsca w rankingach najwybitniejszych postaci w historii Rosji.

To prawda. Jeśli chciałbym, żeby coś Rosjanie zrewidowali w swoich głowach, to opinię o Piotrze Wielkim jako proeuropejskim reformatorze. Tak naprawdę był okrutnym autokratą, który zmilitaryzował państwo, zniszczył Hetmanat na Ukrainie i zbudował Petersburg na kościach dziesiątek, jeśli nie setek tysięcy ludzi.

W duchu rosyjskiego imperializmu wypowiadali się także XX-wieczni pisarze nobliści: Aleksander Sołżenicyn i Josif Brodski, którzy na własnej skórze doświadczyli represji ze strony sowieckiej Rosji. Ukraińcy do dziś nie mogą zapomnieć temu drugiemu wiersza *Na niepodległość Ukrainy*, w którym pogardza ich dążeniem do niezależności. Putin z wielką atencją wypowiadał się o Sołżenicynie, kiedy ten wrócił do kraju i stał się zaciekłym rosyjskim nacjonalistą, obrońcą „russkiego miru" i prawosławia. Jako prezydent osobiście odwiedził pisarza w Moskwie, a *Archipelag GUŁag* pozostawił w spisie szkolnych lektur.

Nie zamierzam doradzać Ukraińcom, co mają myśleć o Brodskim, ale nikt mnie nie zmusi do jego potępienia na podstawie jednego nieszczęsnego wiersza, którego, nawiasem mówiąc, nie chciał nawet opublikować. Nie wymagam oczywiście od Ukraińców, aby znając ten skandaliczny wiersz z 1990 roku, starali się czytać go możliwie najdokładniej i najgłębiej, dostrzegając także inne jego konteksty, choćby te polskie. Ale ja sam, jako polski badacz i jako Polak, nie mogę zapomnieć, że Brodski był zarazem wielkim poetą europejskim, a także autorem znakomitych esejów o literaturze polskiej, o Miłoszu czy o Herbercie. Warto też zarazem pamiętać o faktach, które dziś zbyt łatwo się pomija. Gdy w Polsce w grudniu 1981 roku wprowadzono stan wojenny, Brodski napisał przejmujący wiersz *Kolęda stanu wojennego*, w którym wspominał zamordowanych górników z kopalni Wujek. A kiedy w czerwcu 1993 roku przyjechał do Katowic odebrać doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego, poprosił, aby zawieziono go pod kopalnię Wujek, gdzie złożył kwiaty w miejscu śmierci górników. Był to gest całkowicie prywatny, bez kamer i ceremonii. Trudno też zapominać, że już jako młody poeta pisał wiersze o Polsce – o napaści Hitlera 1 września 1939 roku czy o polskich żołnierzach spod Monte Cassino – a w latach sześćdziesiątych tłumaczył wielu poetów polskich: Gałczyńskiego, Herberta, Miłosza czy Różewicza. Dlatego także życie i twórczość Josifa Brodskiego należy odczytywać w całej ich złożoności – i nie przekreślać równie totalnie, co bezmyślnie, jego miejsca w literaturze światowej.

Z Aleksandrem Sołżenicynem sprawa jest bardziej skomplikowana. Wiele jego późnych opinii, formułowanych już po powstaniu niepodległej Ukrainy, może faktycznie budzić oburzenie, zwłaszcza gdy patrzymy na nie z perspektywy dzisiejszej wojny. Pamiętajmy jednak, że

eprasa.pl 7d207e4b08

odpowiadając na emigracji w połowie lat osiemdziesiątych na ankietę skierowaną do niego przez Ukraińców, Sołżenicyn podkreślał bardzo wyraźnie, że gdyby kiedykolwiek jakieś gorące umysły doprowadziły do wojny Rosji przeciwko Ukrainie, to ani on sam na taką wojnę nie pójdzie, ani nie puści na nią swoich synów. Nie wolno przy tym zapominać, że był on zarazem jednym z najważniejszych świadków i oskarżycieli sowieckiego systemu przemocy. Bez jego *Archipelagu GUŁag* świat znacznie później i znacznie słabiej zrozumiałby naturę tego systemu. Dlatego także jego twórczość trzeba dziś czytać podwójnie: krytycznie wobec jego późnych poglądów politycznych, ale z pełnym uznaniem dla jego wielkiego dzieła demaskującego zbrodnie komunizmu. No i nie sądzę jednak, aby Putin był jakimś wielkim znawcą twórczości tego pisarza. W rosyjskich szkołach przerabia się fragmenty *Archipelagu…* i *Jeden dzień Iwana Denisowicza*. Dla większości uczniów to po prostu nudziarstwo. Nauczyciele potrafią tak omówić wybrane wątki, że właściwie nie wiadomo, gdzie i po co były te łagry, a wszystko i tak sprowadza się do tego, że winny jest Zachód. Wdowa po pisarzu nie uwzględniła w zbiorowym wydaniu jego dzieł tekstów amerykańskich przemówień z okresu tuż po opuszczeniu ZSRR. Sołżenicyn porównywał tam Stalina z Hitlerem, a tego drugiego uznawał wręcz za ucznia Lenina, który jako jeden z pierwszych na świecie kazał stworzyć obozy koncentracyjne dla politycznych wrogów. Gdyby ktoś dziś tak pisał lub mówił w Rosji, to trafiłby z pewnością do kolonii karnej na co najmniej piętnaście lat.

W dzienniku sporo miejsca poświęca Pan „dobrym Rosjanom", przeciwnikom wojny i reżimu Putina. Po 24 lutego 2022 roku większość zamilkła albo wyemigrowała, aby uniknąć represji. Jeśli wierzyć oficjalnym sondażom, nie mają realnie wpływu na rosyjskie społeczeństwo, które gremialnie przyjmuje propagandę Kremla i popiera agresję przeciw Ukrainie.

Nie lubię określenia „dobry Rosjanin". Ma ono dla mnie jakiś niepokojący, dwuznaczny wydźwięk. Ale jeszcze bardziej wstrząsa mną zdanie, które czasem słyszę: że „dobry Rosjanin to martwy Rosjanin". Z taką logiką nie mogę się zgodzić w sposób absolutnie fundamentalny. Jest ona bowiem z natury rasistowska. Historia aż nadto dobrze pokazała, do czego prowadzą podobne uogólnienia, gdy zaczyna się nimi obejmować całe narody. Krytykować trzeba konkretne idee, teksty i działania państwa rosyjskiego – ale nie wolno zamieniać tej krytyki w potępienie całej kultury czy całego języka. W szeroko pojętym narodzie rosyjskim nigdy nie brakowało ludzi, którzy sprzeciwiali się przemocy państwa i dyktaturze, płacąc za to nieraz własnym losem. Wystarczy przypomnieć Andrieja Sacharowa czy Natalię Gorbaniewską – ludzi, którzy w czasach sowieckich mieli odwagę publicznie stanąć przeciw systemowi. Także dziś wielu Rosjan potępia wojnę przeciw

eprasa.pl 7d207e4b08

Ukrainie i broni jej prawa do niepodległości. Myślę choćby o historyku Andrieju Zubowie, o pisarzu Borysie Akuninie, o politykach Władimirze Kara-Murzie i Ilji Jaszynie, a także o licznych intelektualistach i artystach, takich jak Dmitrij Bykow, Wiktor Szenderowicz, Ludmiła Ulicka czy Wiktor Jerofiejew. Wielu z nich musiało opuścić ojczyznę, nie chcąc firmować polityki Putina. Dziś pracują za granicą na rzecz wolnej Rosji oraz zwycięstwa – powtarzam: zwycięstwa – Ukrainy w wojnie prowadzonej przeciw niej przez dzisiejszą Rosję, słusznie zwaną putinowską. Znam zresztą wielu innych Rosjan, także takich, którzy pozostali w kraju, a mimo to wspierają Ukrainę i życzą jej zwycięstwa. To wspaniali ludzie. Czasem niektórzy z nich potrafią mnie nawet zdenerwować, gdy zbyt mocno koncentrują uwagę na sobie i wikłają się w niepotrzebne spory, zamiast wspólnie przeciwstawiać się putinowskiemu reżimowi. Mimo to są oni żywym dowodem na to, że możliwa jest także inna Rosja – Rosja ludzi wolności, sprzeciwiających się imperializmowi, nacjonalizmowi i państwowej przemocy.

Nie ma ich, niestety, zbyt wielu.

Ale to nie obniża jednak ich wartości. Warto przypomnieć słowa Czesława Miłosza z *Traktatu moralnego*: „(…) Nie jesteś jednak tak bezwolny,/ A choćbyś był jak kamień polny,/ Lawina bieg do tego zmienia,/ Po jakich toczy się kamieniach./ I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,/ Możesz, więc wpłyń na bieg lawiny (…)". Historia bywa nieprzewidywalna. Największe przełomy dokonywały się często zupełnie irracjonalnie. W 1917 roku nikt nie spodziewał się, że Lenin przejmie władzę w Rosji. On sam, zanim wybuchła rewolucja lutowa, przedłużył sobie na kilka lat paszport w Szwajcarii, nie wierząc, że wróci szybko do kraju. Tymczasem wkrótce przejechał przez Niemcy zaplombowanym wagonem, dotarł na dworzec w Petersburgu i zdekomponował rosyjskie imperium. Nie zdziwię się, jeśli w ciągu najbliższych paru lat dojdzie do poważnych zmian w Rosji, których dziś nie potrafimy sobie wyobrazić. Mam taką wielką nadzieję. Piszę właśnie trzeci tom mojego antywojennego dziennika i mówiąc szczerze, nie chciałbym dorównać Tołstojowi, którego *Wojna i pokój* liczy cztery tomy.

Nie wiadomo tylko, czy ta nowa Rosja, która powstałaby po ewentualnym obaleniu Putina, zrezygnowałaby z imperialnych ambicji, skoro nawet przeciwnicy Kremla miewają różne wypowiedzi na ten temat. Sam Aleksiej Nawalny początkowo pozytywnie oceniał aneksję Krymu.

Już w Ewangelii napisano, że „w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia". Nawalny szybko wycofał się ze wspomnianych słów o Krymie i konsekwentnie krytykował agresję Rosji przeciw Ukrainie. Z nawiązką odpokutował swój grzech,

eprasa.pl 7d207e4b08

ponosząc śmierć w kolonii karnej. Moim zdaniem należy wspierać ludzi, którzy dają nadzieję na lepszą Rosję, a nie wrzucać ich do jednego worka z Putinem. Nie warto robić sobie wrogów z tych, którzy potencjalnie mogą być naszymi sojusznikami. Czy tego chcemy, czy nie, zawsze będziemy sąsiadami z Rosjanami. Nie da się ich zapakować i przenieść na inny kontynent. Codziennie śledzę rosyjskie media – te niezależne i oficjalne. W kraju działalność opozycyjna jest praktycznie niemożliwa z uwagi na surowe represje, ale emigracja pozostaje aktywna i prężna. Na Zachodzie działa mnóstwo rosyjskojęzycznych portali i wydawnictw, które starają się zwalczać kremlowską propagandę. Wiele z nich reprezentuje naprawdę wysoki poziom. Na doniesienia Mediazony, Meduzy czy telewizji Dożd powołują się często największe tytuły i agencje informacyjne na świecie, takie jak „New York Times", Reuters czy BBC. Ich twórcy znają dużo lepiej niż Putin dzieła Puszkina, Bułhakowa i innych rosyjskich pisarzy, ale reprezentują zupełnie inną Rosję – otwartą na świat, a nie imperialną i niosącą wojnę.

Prof. Grzegorz Przebinda jest rusycystą, publicystą. Autor wielu książek na temat Rosji, m.in. *Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologa z Rosją* (2023). Wespół z synem Igorem i żoną Leokadią Anną dokonał przekładu *Mistrza i Małgorzaty* Michaiła Bułhakowa.

eprasa.pl 7d207e4b08

Białoruś
Reżim totalny

Z Alaksandrem Fiadutą, dziennikarzem, literaturoznawcą, więźniem politycznym reżimu Łukaszenki, rozmawia Piotr Pogorzelski

PIOTR POGORZELSKI: Zacznijmy od Pana zatrzymania, ponieważ odbyło się ono w zupełnie inny sposób niż w przypadku pozostałych więźniów politycznych. Doszło do niego w Moskwie.

ALAKSANDR FIADUTA: To była wspólna operacja FSB i KGB. Komitet Bezpieczeństwa Państwowego (KGB) Białorusi nie może działać samodzielnie na terytorium Rosji, dlatego kierownictwo KGB, otrzymawszy nakaz mojego aresztowania od białoruskiej prokuratury, zwróciło się do kierownictwa Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) z prośbą o zatrzymanie mnie.

Stało się to w momencie, gdy wysiadłem z taksówki i szedłem do sklepu kupić wodę. Obok zatrzymał się bus, z którego wybiegła grupa mężczyzn. Chwycili mnie za ręce i wykręcili je do tyłu.

Zrozumiałem, że jestem aresztowany. Domyśliłem się, dlaczego. I bałem się, że użyją wobec mnie siły, zacząłem więc bardzo głośno mówić, że nie stawiam oporu. Miało to przyciągnąć uwagę ludzi idących ulicą. Jednocześnie wiedziałem, że jest to nagrywane, a zatem to wykluczało możliwość późniejszego stwierdzenia, że stawiałem opór. Ci, którzy mnie zatrzymywali, również zaczęli głośno mówić, aby przechodnie słyszeli, że trwa aresztowanie niebezpiecznego przestępcy i że dokonuje go Moskiewski Wydział Śledczy.

To była nieprawda. Zatrzymali Pana funkcjonariusze FSB, a nie struktur podległych MSW.

Tak, to było FSB. Wsadzili mnie do samochodu. Założyli worek na głowę i kajdanki. Po drodze zapytali, jak się czuję, bo było widać, że nie jestem zbyt zdrowy. Powiedziałem, że lepiej kupić mi leki i wodę. Samochód stanął przy aptece. Kupili mi leki i wodę i pojechaliśmy dalej.

Cały czas miałem worek na głowie i założone na ręce kajdanki. Funkcjonariusze FSB zapytali mnie, czy wiem, za co mnie zatrzymano. Powiedziałem, że powinni byli im to powiedzieć ci, którzy zlecili zatrzymanie. „Nam nie powiedzieli" – odparli. Stwierdziłem, że kiedy oddadzą mnie swoim białoruskim kolegom, ich szefostwo może im powie. „A skąd pan wie, że oddamy pana Białorusinom?" – usłyszałem. Powiedziałem, że wiem, bo

eprasa.pl 7d207e4b08

nie popełniłem żadnego przestępstwa na terytorium Federacji Rosyjskiej ani przeciwko Federacji Rosyjskiej.

Ktoś – nie widziałem twarzy, ale ponieważ jako jedyny ze mną rozmawiał, zrozumiałem, że to starszy stopniem – powiedział: „Pan jest mądry". Odpowiedziałem: „Gdybym był mądry, nie spotkalibyśmy się". Cicho się zaśmiał, pojechaliśmy dalej.

Zatrzymaliśmy się przy McDonaldzie. Zapytali, co mi kupić. Powiedziałem, że frytki. To było jedyne, co mogłem zjeść. Mogłem wsunąć frytkę pod worek, a hamburgera nie byłbym w stanie.

Przynieśli mi frytki i pojechaliśmy dalej, w pewnym momencie samochód się zatrzymał. Wysadzili mnie i przesiadłem się do innego busa, cały czas w worku na głowie. Dlatego nie widziałem, czy w tym busie jest ktoś inny poza mną. Ale później się okazało, że tym samym pojazdem podróżował inny uczestnik „spisku", Juraś Ziankowicz, z którym spotkaliśmy się rano – i jego zatrzymali.

Pojechaliśmy dalej. Bardzo mnie niepokoiło, dokąd nas wiozą. Na Białorusi kilku politycznych oponentów władzy zniknęło bez śladu i do dziś nikt nie zna ich losu. Rozmawiałem przez długi czas z żoną jednego z nich, Wiktara Hanczara, opozycyjnego polityka, który zginął w 1999 roku. Najprawdopodobniej padł on ofiarą tak zwanych szwadronów śmierci, które dokonywały morderstw politycznych na rozkaz Aleksandra Łukaszenki. Zrozumiałem straszny los tej kobiety, która do dziś nie wie, co się stało z jej mężem. I martwiłem się, że tak samo moja żona nie będzie wiedzieć, co się ze mną stało, jeśli zniknę. Uspokoiłem się dopiero wtedy, gdy zrozumiałem, że przywieźli nas do Mińska, czyli do wewnętrznego więzienia KGB, tak zwanej Amerykanki.

W jaki sposób zorientował się Pan, że to „Amerykanka"?

Poznałem to miejsce, bo byłem tam w 2010 roku po wyborach. I pamiętam, jak samochód, który mnie tam wiózł, zwalniał, ponieważ tam są progi, „leżący policjanci".

Z Moskwy do Mińska jedzie się prawie dziewięć godzin. Jak wyglądała ta podróż?

Tak, to długa droga. Tym bardziej, że wieźli nas nie główną trasą, a jak rozumiem, przez jakiś las, przez boczne drogi, żeby jak najmniej ludzi widziało jadący samochód.

Gdy wszedłem do gabinetu śledczych w Mińsku, to się uspokoiłem, bo stało się jasne, że aby zabić, nie musieli mnie wieźć do głównej siedziby KGB.

Rosyjscy funkcjonariusze, którzy Pana zatrzymali, traktowali Pana całkiem przyzwoicie. Jak Pan sądzi, dlaczego?

Nie byłem „ich" przestępcą. Nie dostali żadnego rozkazu, jak się ze mną obchodzić. Nie wiedzieli, kim jestem.

Ale nie wszystkich wożą do McDonalda.

eprasa.pl 7d207e4b08

Nie wszystkich wożą do McDonalda, ale sami tam pojechali, bo musieli coś zjeść. A skoro już kupili mi leki i wodę, logiczne było zapytać: „Dziadku, będziesz coś jadł?". W ich oczach nie byłem przestępcą. Nie wiedzieli, kim jestem. Zatrzymali mnie w Moskwie, gdzie według nich, mogłem przebywać tylko legalnie. A to znaczy, że mogłem być ważnym urzędnikiem, którego kazano aresztować, mogłem być bankierem itd. Dlatego ich stosunek był taki sam, jaki mieliby do własnego urzędnika czy bankiera, gdyby zdecydowano go aresztować. To znaczy obchodziliby się z nim zdecydowanie – skuliby go w kajdanki, założyliby worek, ale raczej nie biliby go pałkami.

W drugim busie byli funkcjonariusze białoruskich służb. Też byli tacy mili?

Tak, to już byli Białorusini. Odnosili się do mnie gorzej. Chciałem zrobić siku, bo minęło z osiem godzin od zatrzymania, a organizm jednak pracował. Początkowo reakcja była bardzo negatywna. Po tym, jak im powiedziałem: „No tak, będę miał mokre spodnie, ale wąchać będziecie wy", zatrzymali się i powiedzieli: „No dawaj". Zapytałem: „Może rozepniecie mi kajdanki? Raczej wam nie ucieknę, zwłaszcza z workiem na głowie". Naradzili się, rozpięli kajdanki, a potem znów zapięli.

Po drodze urządzono spektakl, jak to nazwałem. Bus się zatrzymał. To było na terenie obwodu mohylewskiego. Pole. Stał tam samochód osobowy, Żiguli albo jakiś inny. Wysadzili nas. Zdjęli nam kajdanki, zdjęli worki. Wtedy zobaczyłem, że Ziankowicz jechał ze mną. Postawili nas przy samochodzie. I włączono lampy innych aut. Kręcono nas kamerą wideo. Prawdopodobnie zamierzali pokazać, że aresztowano nas na Białorusi, zresztą w protokole zatrzymania, który dali mi do przeczytania, było napisane, że zostaliśmy zatrzymani na terytorium Republiki Białoruś w obwodzie mohylewskim w momencie popełniania przestępstwa. Odmówiłem podpisania tego dokumentu. Powiedziałem, że zatrzymano mnie w Moskwie. Poza tym w dokumencie było napisane, że zatrzymano mnie dwunastego, było to jedenastego kwietnia. Powiedziano mi, że mogę nic nie podpisywać. Dokument będzie w aktach. Dokument był w aktach, ale w sądzie o nim nie mówiono.

Potem do gabinetu, gdzie mnie posadzili, przyszedł człowiek, przedstawił się jako podpułkownik Konstantin Byczek [Kanstancin Byczak], który teraz stoi na czele Komitetu Śledczego Republiki Białoruś. Wtedy był zastępcą naczelnika Zarządu Śledczego KGB. Zrozumiałem, że całą tą akcją zatrzymania kierował on bezpośrednio.

Ale to moje domysły. Bo inaczej niejasne jest, dlaczego przyszedł, przedstawił się i wyszedł. Zapytał oficera, który prowadził protokół, czy składam zeznania. Ten powiedział, że odmawiam podpisu. Stwierdził, że to nieważne. Był poniedziałek dwunastego kwietnia.

We wtorek trzynastego kwietnia prawdziwą scenę aresztowania w Moskwie

eprasa.pl 7d207e4b08

pokazali w rosyjskiej telewizji. I stamtąd informacja poszła już do białoruskich mediów.

Gdzie była wtedy Pana żona?

W Moskwie. Wcześniej zadzwonili do niej do Mińska i powiedzieli, że zniknąłem. W biurze, w którym pracowałem, przechowywałem różne numery telefonów – wybrali jej telefon, powiedzieli, że zniknąłem, i ona w poniedziałek przyleciała do Moskwy. Do momentu emisji tego materiału w telewizji zdążyła odwiedzić siedem czy osiem moskiewskich kostnic w poszukiwaniu mojego ciała.

W szpitalach istnieje baza danych o niezidentyfikowanych chorych, których zabrano z ulicy. I można dowiedzieć się przez telefon pogotowia, gdzie znajduje się pacjent. Nigdzie nie figurowałem, więc zaczęła szukać w kostnicach.

W Mińsku trafił Pan do aresztu śledczego KGB, czyli „Amerykanki". Kto tam siedział?

Areszt śledczy KGB to miejsce, gdzie przetrzymują przestępców, których sprawy prowadzi KGB. To szczególnie niebezpieczni kryminaliści, szefowie grup przestępczych, handlarze narkotyków na dużą skalę, wielcy łapówkarze, wysocy urzędnicy, oficerowie w stopniu powyżej majora. Czyli ci, którzy z tej czy innej przyczyny posiadają jakieś informacje i których lepiej nie sadzać w jednej celi ze zwykłymi przestępcami. Oraz przestępcy polityczni, tacy jak ja.

Wspomniał Pan, że to nie Pana pierwszy pobyt w tym areszcie.

Tak, byłem w areszcie śledczym KGB już po raz drugi. Pierwszy raz znalazłem się tam po wyborach 2010 roku. Spędziłem tam sto dziewięć dni. Z tego pięćdziesiąt pięć w izolatce. Wtedy wydawało mi się to straszne. Teraz myślę, że to był areszt w wersji *light*.

Skąd taki wniosek?

Teraz, po pierwsze, miałem dłuższą karę. Po drugie, zmienił się stosunek personelu do osadzonych. Ci, którzy pracowali w latach 2010–2011, prawie wszyscy odeszli, zostało dosłownie kilku oficerów. Zmieniło się kierownictwo KGB i aresztu śledczego. Odpowiednio więc zmienił się stosunek do nas. Jeśli śledczy w 2010 roku odnosili się nawet z pewnym szacunkiem i próbowali, powiedziałbym, znaleźć wspólny język, żeby coś zrozumieć, to teraz przyszli młodzi karierowicze, którym zależało na udowodnieniu nie tego, że są profesjonalistami, ale że są oddani władzy. I dlatego zachowywali się znacznie brutalniej. Z szacunkiem odnosili się tylko ci, którzy pamiętali mnie z 2010 roku.

Kiedy Panu przedstawiono zarzuty?

Zgodnie z prawem organy ścigania mają obowiązek w ciągu trzech dni przedstawić zarzuty. I to w obecności adwokata. Obrońcy jeszcze nie miałem, dlatego trzeciego dnia przyszła adwokatka dyżurna z izby adwokackiej. Była obecna przy pierwszym przesłuchaniu. A potem moją sprawę prowadziła już prawniczka, z któ-

eprasa.pl 7d207e4b08

rą umowę zawarła moja żona. Wpuszczali ją, ale nie mogła zadawać żadnych pytań, robić uwag podczas przesłuchania. Kilka razy wpuścili ją, żeby ze mną porozmawiała. Nie przy okazji przesłuchania, tylko zapisywała się na ogólne widzenia.

Czekał Pan na proces w „Amerykance"?

Tam przebywałem do zakończenia śledztwa. Potem, kiedy śledczy uznał, że wszystkie pytania zostały zadane, a odpowiedzi uzyskane, przeniesiono mnie do aresztu śledczego numer jeden (SIZO nr 1) w Mińsku, czyli do „Wołodarki" przy ulicy Wołodarskiego. Przebywałem tam do momentu niezbędnego, by zapoznać się z aktami sprawy. Było nas pięciu oskarżonych w jednej sprawie, a akta liczyły dwadzieścia cztery tomy. I było jasne, że wszystko bardzo rozciągnie się w czasie. Podjęto decyzję, byśmy na miesiąc wrócili do aresztu śledczego KGB, zapoznali się z aktami, a potem miano nas odesłać z powrotem do SIZO nr 1. Co też uczyniono. Tam przebywałem do czasu procesu, w jego trakcie i po wyroku, aż do jego uprawomocnienia.

Proszę powiedzieć, ilu ludzi było w celach w „Amerykance" i w „Wołodarce"?

W „Amerykance" były cztery osoby. Na przykład, kiedy przyjechałem zapoznawać się z aktami, siedziałem ja i jeszcze jeden człowiek. On był biznesmenem oskarżonym o to, że finansował jakieś działania opozycyjne.

Wtedy osadzono wielu więźniów politycznych. W celach, w których byłem, mieliśmy wytoczone różne sprawy, ale wszystkie były związane z polityką. KGB w tamtym momencie innymi sprawami się nie zajmowało.

Na „Wołodarce" znajdowali się różni ludzie. Celę wypełniało niekiedy nawet piętnaście osób, byli i polityczni, i niepolityczni.

Jak się do Pana odnosili niepolityczni?

Do mnie dobrze. I do innych politycznych też. Może mieliśmy celę *light*. Ale potem w kolonii karnej było tak samo. Wszyscy ludzie, którzy siedzieli z innych artykułów – mordercy, handlarze narkotyków, złodzieje, chuligani, gwałciciele – odnosili się do ciebie tak, jak ty odnosiłeś się do nich. My nie okazywaliśmy żadnej pogardy. Nie traktowaliśmy ich jak ludzi drugiej kategorii. Byliśmy w takiej samej sytuacji.

Widzieli, że mamy gorzej niż oni. Bo ich nie pozbawiano widzeń, paczek, a nas tak. Nawet jeśli nie podzielali naszych poglądów, to i tak rozumieli, że jesteśmy tacy sami.

Ma Pan chore serce. Jak Pan sobie radził z tymi warunkami w „Wołodarce"? Piętnaście osób w celi – wilgoć, duchota, to musiało być ciężkie.

Tam były bardzo złe warunki. Ale był punkt medyczny i felczer pełnił całodobowy dyżur. Szefostwo aresztu było świadome mojego stanu zdrowia. Wiedzieli,

eprasa.pl 7d207e4b08

że jestem ważnym przestępcą i ważne jest, żebym był żywy. Dlatego traktowali mnie normalnie, udzielano mi wszelkiej niezbędnej pomocy.

Stosunek to jedno, ale chodzi mi o to, jak Pan się czuł.

Czułem się źle. Ale zdrowie to był mój jedyny zasób, którym dysponowałem, żeby bronić samego siebie.

Taki przykład: trwała wojna z moim śledczym. Śledczy zabrał moje rękopisy, powiedział, że przekaże je żonie, i tego nie zrobił. Zażądałem, żeby mi je zwrócił – nie oddał. Wtedy byłem w SIZO nr 1. Ogłosiłem, że nie będę przyjmował leków, dopóki nie zwrócą mi rękopisów. I przez miesiąc ich nie przyjmowałem. Śledczemu było wszystko jedno, miał już gotową sprawę. Było mu obojętne, czy będę żywy, czy martwy, bo zeznania już są. Ale administracji aresztu wszystko jedno nie było. Oni rozumieli, że jeśli umrę, zapytają ich: dlaczego umarł? Dlatego administracja robiła wszystko, żebym przerwał ten protest. Nie mogli mnie zmusić do przyjmowania leków, wywarli presję psychiczną na tych, którzy byli ze mną w jednej celi. Powiedziano im, że jeśli nie będę przyjmował leków, zostaną podjęte surowe środki wobec osadzonych w celi. Dwa razy dziennie będzie odbywało się przeszukanie – a dla więźniów to jest uciążliwe, bo trzeba wynosić rzeczy, funkcjonariusze wszystko wyciągają z toreb, rozrzucają po podłodze, potem trzeba to zbierać, wrócić, posprzątać. Po dwóch godzinach przychodzą i robią to samo. Dwóch ludzi, którzy byli ze mną w celi, podeszło do mnie i poprosiło, żebym przerwał akcję protestacyjną. Powiedzieli, że przecież dobrze mnie traktują. Oni rzeczywiście dobrze mnie traktowali i pomagali. Na przykład nie mogłem spać na leżąco, bo zaczynałem się dusić. Wzięli duże puste torby, włożyli do nich butelki z wodą i zrobili mi z nich oparcie. Siedziałem na łóżku, spałem na siedząco, tak jak człowiek śpi w fotelu. Powiedziałem zatem tym więźniom, którzy prosili mnie o przerwanie protestu: „Dobrze, dziś piątek, w poniedziałek przerwę. W poniedziałek przyjmę leki".

Poinformowali o tym funkcjonariusza administracji, który nadzorował naszą celę. Ten wezwał mnie i zapytał: „Dlaczego w poniedziałek?". Powiedziałem: „Chcę pomyśleć". Odparł: „Nie trzeba myśleć, trzeba się zgadzać. W przeciwnym wypadku wszystkim będzie źle. I źle będzie już dzisiaj". Zapytał mnie, czego chcę w zamian. Powiedziałem: „Walczę nie z panem, a ze śledczymi". I dodałem, że przez cały czas, kiedy tu jestem, chcę przebywać właśnie w tej celi, co dotychczas. Jedną z form nacisku było bowiem przenoszenie z celi do celi. A dla mnie to było ciężkie. Trzeba było brać wszystkie torby, pościel, materac, poduszkę, koc. Nie mogłem zażądać zwrotu rękopisów, bo on nie miał na to wpływu. Ale zgodził się na to, aby mnie nie przenosili do innej celi. I kiedy na miesiąc przewieźli mnie z powrotem do KGB, a potem wró-

eprasa.pl 7d207e4b08

ciłem, to trafiłem z powrotem do tej samej celi. Ja dotrzymałem słowa, oni też go dotrzymali.

Ale co z rękopisami?

Oddali mi je później. Stało się tak, gdyż zacząłem nową wojnę z prokuraturą. Wysyłałem do niej listy. I dopóki pisałem do nich w poważnym tonie, odpowiadali, że sprawa rękopisów to bzdura, że to ich nie dotyczy. Potem zacząłem z nich drwić. Potrafię to robić. Jestem zawodowym dziennikarzem i pisarzem, wiem, jak napisać tak, żeby człowiek poczuł się obrażony już po drugim zdaniu. Najpierw były zatem trzy poważne listy, a potem dwa listy drwiące. I na ostatni list dostałem odpowiedź, że prokuratura przekazała moje żądanie do Zarządu Śledczego KGB w celu udzielenia odpowiedzi merytorycznej –„co do istoty sprawy". KGB musiało zatem zameldować prokuraturze o wykonaniu. Przyjechał do mnie śledczy, który powiedział: „Oddam panu rękopisy, ale po tym, jak podpisze pan dokument, że zapoznał się pan z aktami sprawy". Powiedziałem: „Dobrze". I kiedy przeczytałem akta, powiedział: „Proszę podpisać". Zażądałem rękopisów. Otworzył szufladę biurka, wyciągnął rękopisy, położył na stole, a ja podpisałem.

Dlaczego one były tak ważne dla Pana?

Musiałem pisać, żeby nie zwariować. To, co pisałem, było zabawnym komentarzem do powieści Uładzimira Karatkiewicza *Kłosy pod twoim sierpem*. To białoruski klasyk. Gdybym był Polakiem, pisałbym komentarz do *Ogniem i mieczem*, a że jestem Białorusinem, pisałem komentarz do powieści historycznej białoruskiego klasyka.

To według Pana bardzo ważna powieść, tak?

To najważniejszy białoruski tekst literacki XX wieku. To nie jest najlepsza książka Uładzimira Karatkiewicza i to nie jest najlepsza książka napisana po białorusku. Myślę, że tak samo jak *Trylogia* Sienkiewicza to nienajwiększe dzieła napisane po polsku w XIX wieku. Ale w powstaniu warszawskim brali udział ci, którzy czytali Sienkiewicza. To zdanie powiedział mi – i je zapamiętałem – Jerzy Hoffman. A on wiedział, co mówi, bo nakręcił *Trylogię*.

Tak samo jestem przekonany, że powieść Karatkiewicza *Kłosy pod twoim sierpem* to książka zajmująca na Białorusi analogiczne miejsce do powieści Sienkiewicza.

Myśli Pan, że ci, którzy wychodzili w 2020 roku w Mińsku, też czytali Karatkiewicza?

Nie wszyscy czytali, ale ci, którzy trafiali do więzienia – starali się to uczynić.

Dlaczego w Związku Radzieckim wydano książkę Karatkiewicza? Ona opowiada o tym, co działo się przed powstaniem styczniowym.

Z prostego powodu. Oficjalnie Związek Radziecki nie był więzieniem naro-

eprasa.pl 7d207e4b08

dów, jakim było Imperium Rosyjskie. Wszystkie narody były równe, miały takie same możliwości. Istniała mitologia narodowa, mówiła ona o walce przeciwko carowi, przeciwko imperium, ale istniała przyjaźń narodów. I powieść Karatkiewicza była powieścią radziecką. To znaczy główny bohater spotyka się z rosyjskimi rewolucjonistami, ale przygotowuje się do walki z caratem. I jednocześnie był w niej inny ważny motyw. On kocha Ukraińców, spotyka się z Tarasem Szewczenką, ale gdy przyjeżdża do Wilna, przeciwstawiają mu się Polacy. To też ważny moment. Nie wszyscy Polacy, bo młody Zygmunt Sierakowski to pozytywny bohater. Ale Ignacy Chodźko, klasyk literatury, to bohater negatywny.

Dlatego to taka, powiedziałbym, radziecka książka. Trzeba ją było przeanalizować z mojego punktu widzenia. Bardzo chciałem to uczynić. Kiedy mnie wsadzili za kraty, miałem dużo czasu. Miałem możliwość zamawiania książek. Wiedziałem, że ta książka jest w księgarni. Zamówiłem, kupiono mi ją i przyniesiono.

Karatkiewicz nie mógł opublikować w Związku Radzieckim książki, w której można by przeczytać, że Białorusinom w Związku Radzieckim jest źle. Ale mógł napisać książkę o tym, że Białorusini walczyli z carskim imperium. Nie doprowadził tematu powstania do końca, ponieważ wtedy musiałby pokazać, że powstanie było krwawe, że zabijano ludzi. A on nie chciał, żeby jego bohaterowie ginęli. I nie chciał, żeby kogoś zabijali. Przecież ofiary były po obu stronach. I tak jak z rozkazu Michaiła Murawjowa, który był generał-gubernatorem wileńskim w czasie tłumienia powstania styczniowego, wieszano księży, tak wieszano i prawosławnych duchownych, powstańców. Bo to była wojna. I nie da się od tego uciec.

Powiedział Pan, że część tych ludzi, którzy wychodzili w 2020 roku, czytała Karatkiewicza. A czego jeszcze Pana zdaniem słuchali, czytali, co skierowało ich wtedy na ulice? Pytanie brzmi, co takiego było na Białorusi, co po dekadach rusyfikacji uczyniło Białorusinów Białorusinami?

W 2020 roku protesty nie miały charakteru narodowego. Nie wszyscy wtedy czuli się Białorusinami. Dopiero Łukaszenka i te wydarzenia 2020 roku zrobiły z nich Białorusinów.

To, co dzieje się teraz w Ukrainie, kiedy trwa w niej wojna z Rosją, zmusiło ludzi do innego identyfikowania. Ludzie nie mówią teraz „jesteśmy Ukraińcami" w sensie etnicznym. Na froncie walczą i etniczni Rosjanie, i etniczni Żydzi, i etniczni Białorusini itd. Ale stwierdzają: „walczymy za Ukrainę". Czyli trwa formowanie się narodu politycznego. To zaczęło się już w 2014 roku.

W 2020 roku na Białorusi takiej świadomości nie było. Było kilka przyczyn wybuchu protestów.

Po pierwsze, bardzo silny czynnik covidu. I nie chodziło tylko o to, że ludzie będący na Białorusi poczuli się obrażeni i porzuceni, gdy władza powiedziała, że

eprasa.pl 7d207e4b08

pandemii nie ma. Pojawił się za to ruch wolontariacki związany z covidem.

Ale był jeszcze jeden „czynnik" – Rosja. Bardzo wielu Białorusinów, przede wszystkim ze wschodnich regionów oraz z małych i średnich miast, gdzie nie było pracy, mężczyźni w wieku od dwudziestu dwóch do pięćdziesięciu lat, czyli ci, którzy mogą pracować, mają lub chcą założyć rodzinę, jechali do Rosji i w niej pracowali. Zaczęła się pandemia. Putin zamknął kraj. Zarządził, że wszyscy cudzoziemcy – w tym także Białorusini – muszą opuścić Rosję. Ci ludzie wrócili i zobaczyli, że pieniądze, które przywozili albo przesyłali do domu, się skończyły. Ceny na Białorusi były wyższe niż w Rosji. Zobaczyli też, że nie ma pracy. Jednocześnie włączali telewizor i słyszeli, że wszystko jest w porządku. Wywołało to bardzo negatywną reakcję. Ludzie, którym do tej pory wszystko było obojętne, zrozumieli, że władza ich oszukuje. Poszli głosować nie na „białoruskość", nie na Swiatłanę Cichanouską, a przeciwko Łukaszence. Gdyby dopuszczono do wyborów Wiktara Babarykę, wynik byłby dokładnie taki sam. Cichanouska zebrała cały elektorat, który był „przeciw". I okazało się, że to większość. Cichanouska nie grała w „teatrze" Łukaszenki, jak Kanapacka czy Dmitrijew.

Ale protesty potrzebowały jakiegoś symbolu narodowego.

Tak, dlatego pojawiła się flaga biało-czerwono-biała. Na początku to był protest przeciwko Łukaszence. Potem przeciwko temu, że państwo bije ludzi. Bito ich, lecz oni nadal wychodzili. Sprzeciwiali się oszustwu – tym razem skradziono wyniki wyborów. Reżim przestał ich bić pałkami. Zaczął wsadzać do więzienia. Zaczął zwalniać z pracy. A ludzie nadal wychodzili, dopóki nie nastała zima. Potem nie władza ich pokonała, tylko mróz. Wychodzili już na własne podwórka, a nie na ulicę w centrum miasta. Marzli na podwórkach. Przyjeżdżała do nich inteligencja, robiła wykłady. Było podwórko, na które dwa razy mnie przywożono, żebym wygłosił im wykład. Mówiłem o filomatach i filaretach, o Murawjowie.

Gdyby Cichanouska w tamtym momencie powiedziała: „Dziś wychodzimy, jutro wychodzimy ostatni raz. Macie ferie zimowe, a potem wychodzimy pierwszego marca". Wtedy ona zarządzałaby tym protestem. I był człowiek, przez którego przekazałem tę radę. Nie wiem, czy dotarła do Cichanouskiej, czy nie. Ale ona nie wydała takiego rozkazu. Ludzie poczuli się porzuceni i przestali wychodzić sami. A potem nikt im nie powiedział, żeby wyszli. Utraciliśmy moment.

Czy Białorusini nie odczuwali żalu, że Rosja tak popiera Łukaszenkę? W zasadzie, gdyby nie Moskwa, mógłby stracić władzę.

Kampania 2020 roku była prowadzona przez Łukaszenkę na hasłach antyrosyjskich. Dlatego w momencie, gdy stało się jasne, że może nie wygrać, Kreml odczuł pewien niepokój. W 2020 roku, przed wyborami, Dmitrij Pieskow dwu-

eprasa.pl 7d207e4b08

krotnie oświadczył, że Rosja zaakceptuje każdy wynik i będzie współpracować z tym kandydatem, którego wybierze naród białoruski. Można to było odebrać tylko tak, że Cichanouską jako głównego kandydata zapraszają do publicznego wypowiedzenia się na temat jej wizji relacji z Rosją.

Poradziłem, żeby Cichanouska wydała publiczne oświadczenie, że będą przestrzegane prawa wszystkich inwestorów i wszystkich właścicieli mienia na terytorium Białorusi, w tym z Rosji, Ukrainy, Unii Europejskiej, Stanów Zjednoczonych, Wielkich Chin i wszystkich innych krajów. Rosję trzeba było postawić na pierwszym miejscu choćby dlatego, by zaznaczyć, że była największym inwestorem na Białorusi. To miał być dla niej przekaz o gotowości do rozmowy. Wyróżnienie Chin i Ukrainy było konieczne, ponieważ Ukraina to rzeczywiście bardzo ważny partner gospodarczy, a Chiny w tamtym momencie były już graczem na terytorium Białorusi. Znam struktury, wiedziałem, że to było bardzo ważne. Nie posłuchali mnie. Mieli prawo.

W 2020 roku pracował Pan w Kijowie. Czy czuł Pan wtedy, że będą jakieś protesty, że dojdzie do próby zmiany władzy na Białorusi?

W dniu głosowania byłem w Kijowie. Poprosiłem w biurze, gdzie pracowałem, o samochód. Pojechałem pod ambasadę. Na czterech ulicach stali ludzie w kolejce, żeby zagłosować. Przyjechali z całej Ukrainy. Zrozumiałem, że nie przyjechali tu dla Łukaszenki. Dla mnie stawanie w kolejce było bez sensu. Było mi wstyd, że nie przewidziałem tej sytuacji. Po prostu nie wierzyłem, że znajdzie się taka ilość młodzieży, która gotowa będzie pracować przy wyborach za darmo: zbierać podpisy, kontrolować przebieg głosowania. Z mojego punktu widzenia ci, którzy mogli to zrobić, już dawno byli zintegrowani z systemem poprzez [specjalną strefę ekonomiczną] Park Wysokich Technologii. Przez biznes. Wszystko im się układało. I nagle oni to wszystko organizują, i rozumiem, dlaczego. Bo po prostu zmęczyli się życiem w taki sposób.

Przecież jeździli za granicę na wakacje. Jako pracownicy dużych firm IT mieli możliwość kontaktu ze swoimi kolegami za granicą. Ale nie chcieli tak żyć. Nie z powodów emocjonalno-politycznych, a ekonomicznych. To Łukaszenka sprawił, że ten proces był polityczny. On tego dotąd nie zrozumiał. I pewnie nie zrozumie.

Dobrze, ale jeśli widział Pan rewolucję godności w Ukrainie, to nie pomyślał Pan, że to samo może stać się u was? Przecież na Białorusi też się narodziła klasa średnia.

Nie. Co ma do tego klasa średnia? W Ukrainie była inna sytuacja. Po pierwsze: klanowi donieckiemu, który rządził, przeciwstawiły się nie mniej silne inne struktury gospodarcze. Nie z Doniecka. Czyli były finanse, żeby podtrzymywać żywotność rewolucji godności. Bo były alternatywne źródła, siły polityczne reprezentowane w parlamencie. I te alter-

eprasa.pl 7d207e4b08

natywne siły gospodarcze oraz polityczne miały do dyspozycji potężne środki masowego przekazu. Monopolizacji środków masowego przekazu w Ukrainie nigdy nie było. Właśnie to zasadniczo odróżniało sytuację kijowską od mińskiej.

Czyli sama obecność klasy średniej to tylko jeden z czynników?

Prowadziłem zajęcia z praktycznych technologii politycznych na białorusko-litewskim Europejskim Uniwersytecie Humanistycznym w Wilnie. Jedne z nich były poświęcone protestom na Placu Błotnym w Rosji, pomarańczowej rewolucji w Ukrainie i protestom na Białorusi w 2010 roku. Dlaczego na Białorusi nie mogło się udać? Nie było alternatywnych przepływów finansowych. Nie było sił opozycyjnych reprezentowanych w parlamencie, które stworzyłyby sytuację dwuwładzy. I nie było niezależnych mediów.

Coś zaczęło się pojawiać do 2020 roku. Były kanały internetowe, które jednak nie obejmowały większości społeczeństwa. Przepraszam, ale jeśli kanał Nexta, który był największy, miał milion odbiorców – to jest to tylko 10 procent ludności Białorusi. A reszta albo w ogóle nie otrzymywała informacji, albo czerpała je z mediów państwowych. To bardzo poważny czynnik. Głównymi odbiorcami informacji są duże miasta i w nich określone grupy wiekowe oraz społeczne. To dobrze – ale to za mało.

W rezultacie protestów powstała sytuacja, w której wszystkie oddziały OMON-u i specnazu przyjechały do stolicy. Ale protest nie koncentrował się wyłącznie w stolicy. Zamiast wzmacniać manifestacje w miastach obwodowych i miastach drugiej linii, sztab opozycji podjął decyzję, by wszystkich ściągnąć do Mińska. Tak, 400 tysięcy ludzi na ulicach stolicy wyglądało imponująco i to było bardzo ważne. Ale największe starcia były w Pińsku, Grodnie i Brześciu. A tam nie było mediów, które rozpowszechniałyby informacje. Wszystko opierało się na serwisach społecznościowych – to dobre, ale niewystarczające.

Do tego trzeba było się przygotować. Na miejscu powinno być kilkoro prawników, którzy mogliby pełnić funkcję konsultantów. Tego zabrakło.

W 2010 roku nikt nie ściągał OMON-u z Brześcia i Mohylewa do Mińska – uważano, że wystarczy to, co jest na miejscu. W 2020 roku władze już rozumiały, że to za mało. W efekcie centrum zostało nasycone mundurowymi, a prowincja pozostawiona sama sobie.

Ale ludzie z prowincji też przyjechali do Mińska.

Nie wszyscy. I tu trzeba było dopilnować, by zostali na miejscu. Jeśli już ich ściągnięto, należało ich jakoś zorganizować, dać im konkretne zadania. Zamiast tego mówiono: przejdziemy się tam, a potem tam.

Dniem kluczowym był 16 sierpnia, tydzień po wyborach, gdy odbywał się marsz setek tysięcy Białorusinów w Mińsku. Tego dnia okazało się, że władza nie ma środków. Gdyby w tym momencie

eprasa.pl 7d207e4b08

sztab Swiatłany Cichanouskiej powiedział: idziemy pod rezydencję – otworzono by im bramy.

Porozmawiajmy zatem o tej sprawie, przez którą został Pan później zatrzymany. Jak to wszystko przebiegało?

Przedstawiciele białoruskich służb skontaktowali się z adwokatem Jurasiem Ziankowiczem. Posiadał on paszport obywatela Stanów Zjednoczonych. I jednocześnie nie oddał paszportu obywatela Republiki Białorusi i nie powiadomił władz o tym, że przestał nim być, choć miał taki obowiązek. Prowadził aktywną działalność w internecie. To tak zwane „wojska kanapowe": „będziemy walczyć z władzą, siedząc na kanapie". Stale krytykował władzę. Przy czym robił to ostro. Rozumiem, że w końcu zwrócono na to uwagę, choć wszystkie jego wystąpienia w internecie nie miały więcej niż tysiąc wyświetleń.

We wrześniu 2020 roku przyjechał do Mińska. I wtedy jeden z widzów jego kanału napisał do niego, że chce się spotkać, bo jest wojskowym. Spotkali się. To był podpułkownik, który służył w Sztabie Generalnym. Prawdziwy podpułkownik, który rzeczywiście służył w Sztabie Generalnym do 1 stycznia 2021 roku. I jeśli dobrze rozumiem, gdy odchodził ze sztabu, to formalnie służył już w KGB. Ten podpułkownik Iwan Żurawski powiedział, a wszystko to zostało nagrane i figurowało potem w sądzie, że reprezentuje grupę wojskowych, którzy są niezadowoleni z panującego reżimu i zamierzają zawiązać spisek. Ziankowicz w to uwierzył. Powiedziano mu, że potrzebne są pieniądze i jakiś plan polityczny na to, co będzie dalej. Ziankowicz obiecał zdobyć fundusze oraz opracować plan. Pieniędzy nie znalazł, w sumie wydał ze swojej kieszeni – jak wynikało ze śledztwa – około 16 tysięcy dolarów. Wyobraża pan sobie, jaką rewolucję można zrobić za 16 tysięcy dolarów? I ile krwi można przez nie przelać?

Obok niego był Dzmitryj Szczyhelski, psychiatra, który swego czasu postawił Łukaszence diagnozę psychopatii, a potem wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Pochodzi z Grodna. On skontaktował się ze mną i zaproponował mi udział w projekcie, który opracuje przyszłość Białorusi. Zgodziłem się. Potem powiedział mi, że to wszystko będzie planem, który stanie się podstawą dla rządu stworzonego w wyniku zamachu stanu.

Usłyszałem to, w co byłem gotów uwierzyć. Rzecz w tym, że w 2020 roku armia była jedyną strukturą polityczną, która nie brała udziału w tłumieniu protestów. Co więcej, w internecie pojawiło się nagranie narady z generałami, którą prowadził minister obrony Wiktar Chrenin. Z tego nagrania wynikało, że generałowie nie chcą, aby armia była angażowana w tłumienie protestów. I Chrenin zapewnił, że armia nie będzie tego robić, tylko weźmie pod ochronę to, co najdroższe: Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Stworzono obraz, z którego wynikało, że główne jednostki armii zostały wysła-

eprasa.pl 7d207e4b08

ne na granicę do obwodu grodzieńskiego. Z jednej strony można to było interpretować jako strach przed interwencją ze strony Polski. Jednak z drugiej – to mógł być strach przed własną armią.

I uwierzyłem. Zadałem jedno pytanie: „czy można im ufać?", na co Ziankowicz odpowiedział: „sprawdziłem ich". I miałem rację, kiedy mówiłem oficerowi FSB: „gdybym był mądry, to by mnie pan teraz nie wiózł". Bo gdybym był mądry, to domyśliłbym się, żeby zadać kolejne pytanie: „Jak? Jak ich sprawdzałeś?". Obawiam się, że nie znalazłby odpowiedzi. Ale w tamtym momencie uwierzyłem w to, w co chciałem uwierzyć. Dlatego, kiedy podczas rozprawy wygłaszałem ostatnie słowo, powiedziałem, że brałem udział w spisku. Wierzyłem, że to realny spisek, a nie inscenizacja KGB. Bo jeśli powiem, że wierzyłem, że to może być inscenizacja KGB, to dajcie mi pistolet, zastrzelę się. To wstyd. A skoro uwierzyłem w spisek, to musiałem przyznać, że to był spisek.

Podczas udziału w tym „spisku" przebywał Pan w Moskwie – czy czuł się Pan bezpieczny?

Najpierw byłem w Mińsku. Potem w Moskwie. Nie popełniłem żadnego przestępstwa na terytorium Federacji Rosyjskiej. Za co mieliby mnie aresztować?

Zrozumiałe, ale Rosja i Białoruś współpracują.

Istnieje procedura, zgodnie z którą, żeby zostać aresztowanym na terytorium Federacji Rosyjskiej, należy popełnić przestępstwo w obrębie jej granic. W sądzie mój adwokat powiedział, że złamano prawo Federacji Rosyjskiej, prawo Republiki Białorusi oraz umowy dwustronne. Rosja nie miała prawa mnie wydawać, jeśli nie popełniłem przestępstwa na jej terytorium. Oczywiście sędzia udawał, że tego nie słyszy. Ale wymieniano tam konkretne artykuły kodeksów karnych Rosji i Białorusi oraz punkty umowy o współpracy między służbami specjalnymi.

Myśli Pan, że te procedury mają jakieś znaczenie dla władzy w Moskwie czy w Mińsku?

Nie. Ale dla przyszłego sądu będą ważne. Wierzę, że proces sądowy prędzej czy później się odbędzie. I nawet jeśli mnie już nie będzie na tym świecie, to i tak jest ważne.

Został Pan skazany na dziesięć lat pobytu w kolonii karnej o zaostrzonym reżimie. W grudniu 2022 roku trafił Pan do kolonii karnej numer 15 w Mohylewie. Jakie warunki tam panowały?

Nie żyłem w celi, a w dużym pokoju, gdzie były otwarte drzwi i można było wyjść na korytarz. Przypominało to dobrze wyremontowany szpital. Nasza sypialnia różniła się od sali chorych tym, że było tam znacznie więcej ludzi – dziewięć piętrowych prycz, czyli osiemnaście osób.

Taborety, szafki nocne. Każdy miał swoją, jak w szpitalu. Biurko, przy którym można było siedzieć. Szafa, w któ-

eprasa.pl 7d207e4b08

rej można było powiesić rzeczy. Toaleta była wspólna na korytarzu. Można było wyjść, pójść do łazienki i do toalety.

Więźniowie zostali podzieleni na grupy. Razem chodzili do pracy, stołówki, organizowali sprzątanie pomieszczenia, w którym mieszkali. W oddziale było od osiemdziesięciu do stu dwudziestu osób. Zazwyczaj w jednym budynku mieszkały trzy grupy. W bloku wielopiętrowym oddział zajmował jedno piętro. My mieliśmy budynek, który przypominał nie blok, a radzieckie przedszkole. Oddzielny, dwukondygnacyjny budynek otoczony płotem. Wewnątrz tego ogrodzenia można spacerować, można ćwiczyć. Było wyznaczone miejsce do palenia, zapewniono także sznurki do powieszenia prania, żeby wyschło.

Wewnątrz tego ogrodzenia toczy się życie. Rano zaczyna się od sprawdzenia obecności, wieczorem kończy się sprawdzaniem obecności. W naszym budynku, oprócz sypialni, była świetlica (pokój pracy wychowawczej zwany też *lenkomnatą*), gdzie nas zbierano, gdy trzeba było z nami porozmawiać lub wygłosić wykład. Mieliśmy tam też czas na oglądanie telewizji. Była też „stołówka". Ale to nie ta, w której jedliśmy więzienny prowiant, a miejsce, gdzie przechowywaliśmy jedzenie kupione w sklepach lub przywiezione przez bliskich. Stały tam trzy lodówki. Pudełka na naczynia i produkty, które się nie psują. Można było trzymać ciastka. Ale cukier został zabroniony, bo można było na nim pędzić samogon. Ale sól, sosy były dozwolone.

Oprócz tego stały dwie pralki, w których można było prać ubrania poza bielizną – majtki i skarpetki prałeś ręcznie sam. Ale całą resztę, bo musiałeś zachować czystość, prało się w pralce. Jeśli miałeś proszek do prania. Bo byli tacy, którzy nie dostawali paczek z domu i nie mieli proszku. Oni prali w wiadrach. Grzali wodę, gotowali, namaczali i tam prali.

Wspomniał Pan o świetlicy. Jakie kanały telewizyjne można tam oglądać?

Normalne kanały telewizyjne. O ile można nazwać białoruskie kanały „normalnymi". Przepraszam, dorastałem w Grodnie i pamiętam rok 1981 w Polsce. Muszę powiedzieć, że polska telewizja za czasów Wojciecha Jaruzelskiego była uczciwsza niż białoruska za Łukaszenki czy rosyjska za Putina.

Były też kanały rosyjskie, ale ocenzurowane. Na Białorusi nie ma tych samych programów, które oglądają Rosjanie, tylko to, co u nas pozwalano oglądać. Wstawiano tam białoruskie audycje. Starali się ograniczać główne programy informacyjne. Niezależnie od tego, co mówią o byciu wiernymi sojusznikami Rosji, bardzo boją się powtórki wariantu ukraińskiego. Był też własny kanał telewizyjny kolonii, który dwa razy w tygodniu pokazywał wiadomości z obozu: kogo zamknięto w izolatce, kogo skazano na dodatkowy wyrok, kogo zwolniono przedterminowo, jaką naradę przeprowadził naczelnik kolonii. Pokazywano tam też filmy bardzo tanie, bardzo słabe. Jakieś

eprasa.pl 7d207e4b08

japońskie anime i drugorzędne filmy rosyjskie oraz amerykańskie. Ale kilka razy pokazali klasykę. Na przykład kiedyś w programie filmowym na tydzień zobaczyłem, że w czwartek będą wyświetlać *Lot nad kukułczym gniazdem*. Pomyślałem, że wariuję, bo zamierzali pokazać ten film ludziom, o których on opowiada. Bo żyliśmy w stanie obłędu. Zdążyłem przekazać więźniom politycznym, że w czwartek oglądamy ten film. I wszyscy więźniowie polityczni w kolonii siedzieli i oglądali ten film, żeby zrozumieć, co miałem na myśli. Oni należeli do pokolenia, które już nie znało Formana.

Czy w tej kolonii było wielu więźniów politycznych?

Z artykułów politycznych siedziało 10 procent więźniów. Przy czym jedni wychodzili na wolność, a pojawiali się nowi.

Pracował Pan w kolonii karnej?

Codziennie. Z wyjątkiem sytuacji, gdy czułem się źle i miałem zwolnienie lekarskie.

Czym się Pan tam zajmował?

Naczelnik, który doskonale wiedział, kim jestem i jaką mam specjalizację, zapytał: „jakie ma pan wykształcenie?". Odpowiedziałem, że jestem filologiem, doktorem nauk filologicznych. Zapytał siedzącego obok oficera, potem dowiedziałem się, że to dyrektor strefy przemysłowej: „potrzebujecie filologa?". Tamten odrzekł: „nie potrzebujemy korektora, nie trzeba tu nic czytać". Powiedziano mi, że pójdę sprzątać halę produkcyjną. Zgodziłem się. Sprzątać halę – czemu nie? Sprzątałem wtedy, gdy czułem się dobrze.

Co to była za hala?

To był tak zwany odcinek pracy niskowykwalifikowanej. Na początku czyściliśmy tam druty. Kabel metalowy, aluminiowy lub miedziany to metal kolorowy. Trzeba po prostu usunąć izolację. Ktoś stał i czyścił, a ktoś inny potem zamiatał, bo inaczej nie dało się tam wytrzymać. Było tego mnóstwo, a normy odzyskiwania metalu były bardzo wysokie. Potem wszystkim zmieniła się praca. Zaczęli kleić torby na mleko w proszku. To było zamówienie na eksport do Chin. Później zgłosiła się jakaś prywatna firma z zamówieniem na montaż łóżek polowych. Myślę, że to było zlecenie Ministerstwa Obrony Rosji. A jeszcze później trafiło się nam duże zamówienie na składanie sztucznych kwiatów do wieńców nagrobnych.

Dla Rosji?

Nie wiem, raczej nie. To bardzo dochodowy biznes na miejscu. Wieńce na Białorusi są potrzebne cały czas, a sztuczne kwiaty są tańsze od żywych.

W każdym razie te rodzaje prac nie generowały już tylu śmieci. A ponieważ sprzątaczy było kilku, to mówili mi: „niech pan siedzi, nie przeszkadza". Jednak zrozumiałem, że gdy zostanę bez zajęcia, zacznę zasypiać w hali. To było zabronione. Nie wysłaliby mnie za to do karceru, ale pozbawiliby mnie dodatko-

eprasa.pl 7d207e4b08

wych paczek, widzeń i całej reszty. Więc żeby nie zasnąć, zacząłem czyścić druty razem z małą grupą ludzi, która wciąż to robiła. Miedziany drut czyściłem gołymi rękami – był owinięty w specjalny papier albo folię. Robiłem to bez użycia noża.

Zarabiał Pan tam jakieś pieniądze?

Jakieś tak. Raz otrzymałem „bardzo dużą" sumę: rubel i dziewięćdziesiąt kopiejek, czyli mniej więcej dwa złote trzydzieści groszy.

Powiedział Pan, że pracował, gdy nie był na zwolnieniu lekarskim. Często Pan na nim bywał?

Często. Po zwolnieniu, kiedy przechodziłem badania i robiono mi echo serca, usłyszałem, że mam bliznę na ściance serca. To oznacza, że przeszedłem zawał. Mikrozawał „na nogach". Tam mi nikt o tym nie mówił. W kolonii karnej często traciłem przytomność. Kiedy mdlałem, wzywano nosze i trafiałem do ambulatorium. Personel medyczny robił wszystko, żeby utrzymać mnie przy życiu, bo rozumieli, że będą za mnie odpowiadać. Administracja też to rozumiała. Robili wszystko, by doprowadzić mnie może nie do wyleczenia, ale przynajmniej, żeby uniknąć mojego zgonu. Myślę, że w momencie mojej deportacji najbardziej szczęśliwymi ludźmi nie byłem ja czy moja żona, ale właśnie administracja kolonii.

Jak wyglądało jedzenie w kolonii karnej?

Nasz podpułkownik odpowiedzialny za zaopatrzenie był bardzo rzetelny. Przez trzy lata widziałem, że jedzenie staje się coraz lepsze. To nie było jedzenie domowe – nie da się usmażyć ziemniaków, zrobić schabowych czy sałatki dla dwóch tysięcy więźniów. Ale można ugotować kaszę. Podawano purée ziemniaczane, gotowane jajka (dwa lub trzy razy w tygodniu). Nawet kasze stały się z czasem lepsze – zamiast pęczaku pojawiała się gryczana czy jaglana. Starali się różnicować jadłospis. Jedyne, z czym sobie nie radzili, to makaron, bo makaron trzeba odcedzić! A tam jest ogromny kocioł, w którym gotuje się dla pięciuset osób naraz. Jak to odcedzić? Nie da się. Lepiej mieli ci na diecie „wzmocnionej", dla chorych. Dostawaliśmy rano szklankę soku jabłkowego i pięć razy w tygodniu szklankę mleka. Wszyscy nam zazdrościli.

Ryby były w formie okropnych kotletów z tanich ryb. Mięso też tylko jako kotlety. Ale w dni „kotletowe" wszyscy starali się przyjść na posiłek. Więźniowie funkcyjni (brygadziści), którzy zwykle jedli własne jedzenie z domu lub ze sklepu, na kotlety przychodzili zawsze. To było święto. Podobnie jak niedzielne obiady z pielmieni lub pierogami z mięsem. Choć akurat pielmieni z czasem stały się gorsze – kupowali tańsze mięso i dawali ich mniej. Wyciągnęliśmy z tego wniosek, że „na wolności" musi być bardzo krucho z gospodarką.

Dostawał Pan paczki od żony?

eprasa.pl 7d207e4b08

Tak, do momentu aż mnie ich pozbawili, za karę. Administracja zawsze znajdzie powód, żeby to zrobić. Na przykład jeden z więźniów wyszedł na wolność, udzielił wywiadu o tym, jak siedział, i wspomniał o mnie. Wywiad dotarł do Mińska, stamtąd zadzwonili do Mohylewa. Wezwał mnie naczelnik i zapytał, czy prosiłem tego człowieka o takie wypowiedzi. Powiedziałem prawdę, że nie. Odparł: „To jak pan wyjdzie, to mu podziękuje". W ciągu dwóch dni nałożono na mnie cztery nagany. Muszą to robić narastająco, żeby móc pozbawić widzeń i paczek. Akurat miałem okrągłe urodziny, na które z żoną „oszczędzaliśmy" limit widzeń i paczek. I wszystko mi zabrali.

Powód zresztą może być dowolny: „nie przywitałeś się z oficerem". Mogłem siedzieć tyłem do drzwi i go nie zauważyć, ale raport idzie – „nie przywitał się". To prawda, nie przywitałem się, nie mam oczu z tyłu głowy. Ale jeśli będę się tłumaczył, dopiszą kolejny raport za pyskowanie.

Gdy mówił Pan o warunkach w kolonii karnej, na przykład o kuchni, trochę to brzmiało, jakby to było sanatorium...

Łukaszenka mówi, że to sanatorium, a ja przez pierwsze pół roku myślałem, że umrę. Przyjechałem tam w tak złym stanie, że przygotowywałem się na śmierć. A kiedy czekasz na śmierć, kiedy nic od ciebie nie zależy, to myślisz zupełnie o czym innym – o tym, jak zostaniesz zapamiętany.

Wielu ludzi, którzy ze mną siedzieli, po wyjściu pyta mnie: „jak pan przeżył?". Odpowiadam: „przeżyłem, bo było mi wstyd". W pewnym momencie byłem najstarszy i miałem największe doświadczenie polityczne. Obok mnie byli chłopcy, którzy mogliby być moimi synami lub wnukami – urodzeni w XXI wieku. Nie mogłem pozwolić, by zobaczyli, że się boję. Widzieli, że czuję się źle, ale widzieli już niemłodego faceta, który się trzyma. Myślałem o tym, jak wyglądam w ich oczach.

Chciał Pan być dla nich wzorem?

Tak. I dla wielu, jak się okazało, się nim stałem. Oni mi o tym mówili, a ja odpowiadałem: „Trzymam się, bo wstyd mi przed wami. Ja nie wychodziłem na ulice, nie bito mnie pałką. Mam tu lżejsze warunki niż wy, bo mnie przez zdrowie nie zamykają w karcerze, SIZO, a was tak. Dlatego muszę być silny". To kwestia szacunku do samego siebie i do ludzi obok. Choć kiedy widzieli, że upadam, to mnie podtrzymywali.

Czy Pana torturowano?

Mnie nie torturowano. Pół roku przed zwolnieniem jeden z oficerów powiedział mi zdanie, które zapamiętałem: „Pan jest u nas na pozycji politycznego wora w zakonie", czyli wysokiego rangą członka świata przestępczego. Byłem kimś takim.

Nie tylko przez biografię, ale głównie przez zdrowie. Bali się mnie dotknąć. Bali się, że rozsypię się na ich oczach. Rozumieli, ile siły kosztuje mnie samo utrzy-

eprasa.pl 7d207e4b08

mywanie się na nogach. Traktowali mnie z dystansem: „Dziadku, nie łączą nas żadne z tobą umowy. Jak każą rozstrzelać, to rozstrzelamy, ale, póki co, żyj". To było ich stanowisko, a ja starałem się zachowywać adekwatnie do tego, jak oni się zachowywali. Administracja nie chciała, by informacje o mnie wyciekały, dlatego moja żona nie udzielała wywiadów. Ale nie mogłem zabronić mówić tym, którzy wychodzili na wolność. Oni opowiadali.

Jak wyglądał moment, w którym dowiedział się Pan o tym, że wyjdzie na wolność?

Nie dowiedziałem się. Leżałem na oddziale szpitalnym przez półtora miesiąca. Administracja pewnie wiedziała, że nastąpi zwolnienie, i odizolowali mnie. Nie wiedzieli dokładnie, kiedy będą zwalniać. Oprócz tego mieli powód, bo mdlałem w strefie przemysłowej, trzy razy w październiku. Na początku listopada wezwało mnie kierownictwo i powiedzieli, że tak być nie może, więc chcę czy nie chcę, ale muszę iść na oddział szpitalny. Dali mi dwie godziny, żebym zebrał rzeczy i wziął prysznic, ogolił się. Zgodziłem się. Minęło półtora miesiąca. 24 lutego miała być operacja.

O piątej rano godzinę przed pobudką budzi mnie zastępca komendanta: „Ubierać się, idziemy". Idziemy obok budynku karceru. Pyta: „Wie pan, dokąd was prowadzę?". Odparłem: „Wiem, że nie tutaj, bo nikt nie pisał na mnie raportu o naruszeniu regulaminu. I wiem, że nie na rozstrzelanie, bo nie słychać strzałów". Potwierdził, że nie, więc powiedziałem, że się domyślam dokąd.

Zaprowadzili mnie do tak zwanej etapiki, pokoju rewizji, gdzie więzień jest kontrolowany, gdy przyjeżdża albo wyjeżdża z kolonii. Mówiłem, że nie wiem, gdzie mnie wiozą, jeśli jadę sam, a jeśli jest wiele osób, to się domyślam. Przyszło jeszcze dwudziestu innych z naszej kolonii. Zapytałem o moje rzeczy, w tym rękopisy. Powiedzieli, że je wzięli i już są w autobusie. Mówiłem, że naczelnik kolonii obiecał mi, że oddadzą mi rękopisy. Strażnik powiedział, że nie ma problemu. Nie dostałem ich, zabrali je. Bardzo bali się mojej histerii.

Wszystkich wsadzili do autobusu. Mnie ostatniego. Skuli mi ręce z przodu (innym z tyłu), nałożyli wszystkim czapki i pojechaliśmy do granicy, by przekazać nas Ukraińcom.

W późniejszych wywiadach mówił Pan, że tego rodzaju uwolnienia więźniów politycznych to „handel ludźmi". Od początku Pan tak o tym myślał?

O niczym na początku nie myślałem. Nie ma sensu myśleć o tym, czego nie możesz zmienić. Musiałem myśleć o jutrze. Przez cztery dni w Czernihowie mówiono nam sprzeczne rzeczy: „Jedziecie do Wilna", „Możecie zostać w Ukrainie albo pojechać do Polski, albo na Litwę", „Musicie jechać na Litwę i podpisać teraz dokumenty". W końcu po konsultacjach między ministerstwami spraw zagranicznych pozwolono nam wybrać pomiędzy Warszawą a Wilnem.

eprasa.pl 7d207e4b08

Większość osób nie wiedziała, co robić. Ja miałem łatwiej. Mam dyplom doktora habilitowanego wydany przez Uniwersytet Jagielloński. Znam trochę język, mam kontakty w świecie akademickim i wśród dziennikarzy. Mam znajomych w polskim MSZ.

Wybrałem Polskę, bo tu mam szanse na pracę. Ale pojawiły się pytania: gdzie będę mieszkał? Z czego żył, skoro nie mogę pracować bez legalizacji? Wyrzucono mnie bez paszportu! Musiałem myśleć o tym, co jutro, a nie o tym, co było wczoraj.

Alaksandr Fiaduta jest literaturoznawcą, dziennikarzem, doradcą politycznym. W 1994 roku pracował w sztabie wyborczym Aleksandra Łukaszenki. Po jego wygranej kierował biurem prasowym, ale po kilku miesiącach zrezygnował ze względu na próby wprowadzenia cenzury. W 2010 roku trafił po raz pierwszy za kraty, do aresztu KGB w Mińsku, za udział w protestach. Był członkiem sztabu wyborczego Uładzimira Niaklajeua. Później pracował jako doradca polityczny w Rosji i w Ukrainie.

Niniejsza rozmowa została przeprowadzona w ramach projektu zrealizowanego przez Ośrodek Studiów Wschodnich.

eprasa.pl 7d207e4b08

Słowacja
Nowy żar wygasłych dekretów

Aureliusz M. Pędziwol

Czechosłowacja pozbyła się niemal wszystkich z ponad trzech milionów „swoich" Niemców w ciągu niespełna trzech lat (od 1945 do 1948 roku), w tym również wielu ocalałych z obozów koncentracyjnych niemieckojęzycznych Żydów. Cała operacja nazywana jest do dziś eufemistycznym słowem „odsun", pojęciem przejętym z terminologii militarnej, gdzie oznacza przesunięcie czy też odsunięcie wojsk na inne pozycje.

„W Tornali [mieście na południu Słowacji leżącym tuż przy węgierskiej granicy, w połowie drogi między Bańską Bystrzycą a Koszycami – przyp. red.] starszy mężczyzna odzyskał przed laty ziemię w ramach restytucji [zwrotu majątku odebranego jego przodkom przez komunistyczną Czechosłowację – przyp. red.]. Stał się jej właścicielem, a później ją sprzedał" – napisał pod koniec listopada ubiegłego roku Zoltán Szalay, redaktor naczelny dziennika „Napunk", węgierskojęzycznej mutacji słowackiej gazety „Denník N".

Późne konfiskaty

To dopiero początek tej historii. Kilka lat później państwo pozwało nowego właściciela działki i zażądało jej wydania, powołując się przy tym na to, że została skonfiskowana. Sąd przyznał państwu rację i działkę odebrał.

Pozbawiony majątku właściciel zażądał od potomków człowieka, od którego kupił grunt, wyrównania poniesionej przezeń szkody w wysokości kilkuset tysięcy euro. Żyjący zarówno na Węgrzech, jak i na Słowacji krewni zmarłego nagle dowiedzieli się, że mają do zapłacenia ogromne pieniądze. „A to tylko dlatego, że [słowackie] państwo działało na podstawie decyzji (…), o której nikt ich nie poinformował" – twierdzi Szalay.

Działka została skonfiskowana na mocy rozporządzenia Słowackiej Rady Narodowej (Slovenská národná rada, SNR) nr 104/1945 „o konfiskacie i przyspieszonym podziale majątku rolnego Niemców, Węgrów, a także zdrajców i wrogów narodu

eprasa.pl 7d207e4b08

słowackiego", jak nazywa się słowacka implementacja Dekretu Prezydenta Republiki nr 12/1945 Sb.[1], którego tytuł różni się od słowackiego rozporządzenia tym, że jest w nim mowa o zdrajcach i wrogach „czeskiego i słowackiego narodu".

Rzecz w tym, że do konfiskaty doszło nie po wojnie, lecz kilkadziesiąt lat później, gdy działka należała już do nowego właściciela.

Nie był to jedyny przypadek konfiskat dokonanych w ostatnich latach na mocy powojennego prawa, które Czechy i Słowacja, czyli państwa powstałe ze wspólnej niegdyś federacji, w czasie gdy starały się o członkostwo w Unii Europejskiej, określały jako obowiązujące, ale wygasłe. Miało to oznaczać, że choć dekrety nadal tworzą podwaliny ich systemów prawnych, nie są już stosowane.

Skarga do Strasburga

Jeden z przeczących temu twierdzeniu przypadków trafił nawet przed Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu. Dotyczył 35 hektarów lasu koło wsi Váradka pod Bardziejowem we wschodniej Słowacji. Działka miała zostać po wojnie skonfiskowana. „Rodzina, podobnie jak większość rodzin węgierskich i niemieckich dotkniętych nowymi przepisami, nie znajdowała się na liście zbrodniarzy wojennych ani wrogów państwa, a jedynym powodem konfiskaty ziemi i majątku była ich narodowość" – informował w 2020 roku „Denník N". Z powodu błędu procesowego do tego nie doszło. Żyjący w Budapeszcie obywatel Węgier Miklós Bosits mógł więc tę działkę prawomocnie odziedziczyć po swoim dziadku.

W 2009 roku Lasy Państwowe Republiki Słowackiej uznały jednak, że ta ziemia im się należy, i wniosły skargę na Bositsa. Dwukrotnie przegrały. „Sąd powiatowy w Bardejowie, a później także sąd wojewódzki w Preszowie ustaliły (…), że w 1946 roku państwo rzeczywiście chciało skonfiskować las, ale z powodu błędów proceduralnych nigdy do tego nie doszło. Oba sądy oddaliły zatem powództwo państwa i w 2013 roku prawomocnie zakończyły postępowanie. Wydawało się, że obywatel Węgier Bosits pozostanie właścicielem lasu" – napisała słowacka gazeta.

Wtedy jednak do działania przystąpił prokurator generalny Jaromír Cziżnár, który w 2014 roku wniósł „odwołanie nadzwyczajne" (kasację) wobec sprawy wygranej prawomocnie przez Bositsa. Na tej podstawie Sąd Najwyższy uznał w 2015 roku, że ze względu na węgierską narodowość jego przodków majątek miał być skonfiskowany na podstawie wspomnianego już wyżej rozporządzenia SNR nr 104/1945, i odesłał sprawę do sądu pierwszej instancji z poleceniem konfiskaty majątku we wznowionym postępowaniu.

[1] Sb. to skrót oznaczający „Zbior ustaw i umów międzynarodowych" – odpowiednik polskiego „Dziennika Ustaw".

eprasa.pl 7d207e4b08

W 2017 roku Miklós Bosits i jego obrończyni Tünde Keszegh ze słowackiego Komárna wnieśli w tej sprawie skargę do Strasburga przeciw złożonemu przez prokuratora generalnego odwołaniu nadzwyczajnemu, które Keszegh określiła jako sprzeczne z prawem europejskim. 19 maja 2020 roku Trybunał przyznał im rację i nakazał wypłacenie odszkodowania. W kwestii merytorycznej, czyli zastosowania wobec Bositsa dekretu Benesza, się nie wypowiedział.

Dekrety prezydenta Republiki

„Dekrety Benesza" to nazwa nieformalna. Oficjalnie akty prawne wydawane przez Edvarda Benesza od 21 lipca 1940 do 27 października 1945 roku są dekretami prezydenta Republiki.

Następca pierwszego prezydenta Czechosłowacji, Tomásza Garrigue'a Masaryka, został wybrany w 1935 roku na najwyższy urząd w państwie. Abdykował zeń jednak piątego dnia po monachijskim dyktacie z 30 września 1938 roku, w którym Arthur Neville Chamberlain, Édouard Daladier i Benito Mussolini oddali Adolfowi Hitlerowi czeskie pogranicze zwane Sudetenlandem. Jednak dwa lata później, już w Londynie, stworzył emigracyjny gabinet i ponownie przyjął funkcję prezydenta. Gdy wiosną 1945 roku dotarł przez Moskwę do oswobodzonych Koszyc, mianował tam pierwszy powojenny rząd Czechosłowacji. Do Pragi powrócił 16 maja.

28 października 1945 roku ukonstytuowało się Tymczasowe Zgromadzenie Narodowe. Do tego czasu Benesz wydał łącznie sto czterdzieści trzy dekrety, z czego czterdzieści cztery za granicą. Jeszcze tego samego dnia tymczasowy parlament zatwierdził go na stanowisku prezydenta Czechosłowacji, a ustawą konstytucyjną z 28 marca 1946 roku ustanowił wydane przezeń dekrety obowiązującym prawem.

Symbol powojennej niesprawiedliwości

Dekrety dotyczyły różnych dziedzin życia. Na przykład dekret nr 50/1945 Sb. zajmował się sektorem filmowym.

Trzynaście dekretów miało fatalne konsekwencje dla około trzech milionów czeskich Niemców, zwanych sudeckimi, oraz kilkudziesięciu tysięcy słowackich Węgrów, którzy byli obywatelami Czechosłowacji. Pozbawiając ich bowiem najpierw ziemi rolnej, potem obywatelstwa, w końcu całego majątku, praktycznie uniemożliwiły im przeżycie w kraju, a tym samym stworzyły podstawę do wypędzenia obu niechcianych mniejszości.

Zdaniem węgierskiego prawnika Jánosa Fiali-Bútory w węższym ujęciu termin „dekrety Benesza" odnosi się właśnie tylko do tych dekretów prezydenta Republiki,

eprasa.pl 7d207e4b08

które regulowały stosunek państwa do będących jego obywatelami Niemców i Węgrów (do momentu pozbawienia ich jednym z dekretów tego obywatelstwa), oraz do wywodzących się z nich rozporządzeń Słowackiej Rady Narodowej „jako symbolu powojennej niesprawiedliwości”[2].

Wyjątkowa Chmielnica

Z ziem czeskich wypędzono bądź deportowano następnie niemal wszystkich Niemców sudeckich. Zatrzymano jedynie kilkadziesiąt tysięcy takich, których wiedza i umiejętności były niezbędne do utrzymania na chodzie gospodarki.

Wypędzona została także większość żyjących na Słowacji Niemców, zwanych z kolei karpackimi. Wielkim wyjątkiem od reguły stała się wieś Chmielnica (po słowacku Chmeľnica, po niemiecku Hopgarten), gdzie niemieckojęzyczni spiscy Sasi stanowili 80–90 procent mieszkańców. Wprawdzie 26 czerwca 1946 roku czechosłowaccy żołnierzy otoczyli wieś, wyłapali ich i wywieźli do obozu w pobliskiej Starej Lubowli, ale zostali zwolnieni po protestach słowackiego proboszcza Chmielnicy oraz słowackich i rusińskich wójtów okolicznych wsi.

Gdy kilka dni później, 5 lipca, żołnierze powrócili po tych Niemców, żadnych już nie znaleźli. Ostrzeżeni przez słowackich współmieszkańców skryli się w lesie oraz okolicznych wsiach i tam, dzięki ich wsparciu, w większości przetrwali czas deportacji. Władzom udało się wprawdzie wyłapać 101 z nich, ale około 600 wróciło we wrześniu do domów, gdy władze pozwoliły im uniknąć wysiedlenia przez zadeklarowanie narodowości słowackiej.

W spisie powszechnym z 2011 roku już tylko co piąty mieszkaniec Chmielnicy zadeklarował narodowość niemiecką, ale to i tak było dwa razy więcej niż w poprzednich dwóch spisach. Co czwarty jako język ojczysty wybrał niemiecki. A niemal co trzeci przyznał, że w domu mówi po niemiecku.

Wypędzanie słowackich Węgrów też nie przebiegło tak, jak pierwotnie planowano.

Dekrety wygasłe i palące

Niemalże kompletnie zapomniane przez kolejne cztery dekady, dekrety Benesza powróciły na scenę polityczną po aksamitnej rewolucji, gdy jeszcze żyjący wypędzeni zaczęli się domagać ich unieważnienia. Przez jakiś czas zdawało się nawet, że staną na drodze dążących do Unii Europejskiej Czech i Słowacji, które przejęły je w spuściźnie po wspólnym niegdyś państwie. Według Fiali-Butory stały one bo-

[2] János Fiala-Butora, *The Lasting Impact of the Beneš Decrees in Slovakia*, [w:] *Collective Guilt in Central Europe after WWII and Now*, Ed. Iván Gyurcsík, Ludovika University Press, Budapest 2024.

eprasa.pl 7d207e4b08

wiem w sprzeczności z unijnymi traktatami, ponieważ konfiskata majątku oparta była na kryterium etnicznym.

Relację między dekretami Benesza a unijnym porządkiem prawnym badała w Czechach Komisja Europejska. Czechom udało się w końcu przekonać Brukselę, że dekrety nie będą już stosowane, ale nie mogą z nich zrezygnować, gdyż są filarami ich porządku prawnego. Są wygasłe – tłumaczyli. W raporcie Froweina Komisja Europejska uznała, że w takim razie nie są one sprzeczne z prawem unijnym.

„Wygasłe i palące" – tak o dekretach Benesza powiedział w 2002 roku Radko Kubiczko, niedawno zmarły dziennikarz czeskiej redakcji Radia Wolna Europa i Czeskiego Radia. Jego zdaniem czescy i słowaccy politycy obawiali się wtedy, że unieważnienie dekretów mogłoby doprowadzić do negocjacji o odszkodowaniach majątkowych, a na Słowacji nawet do podania w wątpliwość granic państwa.

Czechy. Wypędzenie zwane odsunięciem

Czechosłowacja pozbyła się niemal wszystkich z ponad trzech milionów „swoich" Niemców w ciągu niespełna trzech lat – od 1945 do 1948 roku, w tym również wielu ocalałych z obozów koncentracyjnych niemieckojęzycznych Żydów. Cała operacja nazywana jest do dziś eufemistycznym słowem „odsun", pojęciem przejętym z terminologii militarnej, gdzie oznacza przesunięcie czy też odsunięcie wojsk na inne pozycje.

Zaraz po zakończeniu wojny wypędzaniem czeskich Niemców zajęli się niektórzy z ich ówczesnych czeskich współobywateli. Część z nich potem zorganizowała się w paramilitarne Gwardie Rewolucyjne, działające czy to pod parasolami lokalnych służb porządkowych zwanych Komitetami Narodowymi, czy też oficjalnego Korpusu Bezpieczeństwa Narodowego, który tworzyły StB i VB, czechosłowackie odpowiedniki UB i MO w Polsce. W tej fazie, zwanej „dzikim wypędzeniem", udało się usunąć z kraju 700–820 tysięcy Niemców. Towarzyszyły temu pogromy, które przeszły do historii jako:

- sąd ludowy w Lanszkrounie, 17–18 maja 1945 roku (od dwudziestu czterech do stu ofiar, z których wielu popełniło samobójstwo, widząc z okien egzekucje na rynku);
- brneński marsz śmierci, 30–31 maja 1945 roku (podczas którego, według czeskiej strony, życie straciło co najmniej 1961 ofiar wskutek „niefortunnych wystrzałów", starości lub chorób zakaźnych, zwłaszcza dyzenterii; według strony niemieckiej liczba ofiar sięgnęła 4040);
- masakra w Postoloprtach, 31 maja – 15 czerwca 1945 roku (gdzie Gwardie Rewolucyjne zamordowały być może nawet dwa tysiące ludzi, w tym pięciu trzynastoletnich chłopców; z grobów zbiorowych ekshumowano szczątki 763 ofiar);
- tragedia na Szwedzkich Szańcach, wzgórzu koło Przerowa na północy Moraw, noc z 18 na 19 czerwca 1945 roku (według różnych źródeł od dwustu czterdzie-

eprasa.pl 7d207e4b08

stu czterech do dwustu sześćdziesięciu siedmiu ofiar: deportowanych ze Słowacji karpackich Niemców i Węgrów, a nawet Słowaków, którzy zostali rozstrzelani przez żołnierzy wracających z Pragi do domu);
- masakra w Uściu nad Łabą, 31 lipca 1945 roku (80–100 ofiar według strony czeskiej, nawet 2700 według niemieckiej).

W 1992 roku czeski historyk Jaroslav Kuczera oszacował liczbę śmiertelnych ofiar „odsunięcia Niemców sudeckich" na 20–40 tysięcy. W 1996 roku Czesko-Niemiecka Komisja Historyków zredukowała liczbę ofiar wypędzenia na 15 tysięcy (do maksymalnie 30 tysięcy), wspominając jednocześnie, że statystyczne szacunki mówią o 220–270 tysiącach „niewyjaśnionych przypadków", co oznacza, że losy tylu ludzi są nieznane.

Wypędzanie słowackich Węgrów też nie przebiegło tak, jak pierwotnie planowano. W słowackim spisie powszechnym z 2011 roku już tylko co piąty mieszkaniec Chmielnicy zadeklarował narodowość niemiecką. A niemal co trzeci przyznał, że w domu mówi po niemiecku.

Podobne liczby podała prowadzona wspólnie przez Caritas i Diakonię Kartoteka Niemców Sudeckich (Heimatortskartei für Sudetendeutsche) w Ratyzbonie, która w ramach badania z 1958 roku nazwanego „Gesamterhebung des Sudetenlandes" („Kompleksowe badanie Sudetenlandu") zgromadziła dane osobowe 3 389 156 Niemców (imiona, nazwiska, daty urodzenia i śmierci, miejsca zamieszkania itd.), zarówno mieszkających 1 września 1939 roku na obszarze anektowanego przez III Rzeszę pogranicza, jak i ich dzieci urodzonych po tej dacie, a także tych Niemców, którzy osiedlili się na tym obszarze w czasie wojny. 18 889 z nich straciło życie podczas wypędzenia lub w jego skutku, kolejnych 287 169 to „niewyjaśnione przypadki".

Słowacja: mocarstwa mówią „nie"...

Władze Czechosłowacji zamierzały pozbyć się także około 250 tysięcy słowackich Węgrów, czyli trzecią część ich ówczesnej populacji. Liczyły na aprobatę mocarstw podczas Paryskiej Konferencji Pokojowej w 1946 roku. Ale jej nie uzyskały. Między innymi z tego właśnie powodu etniczne „czyszczenie" Słowacji z Węgrów nie było aż tak zdecydowane i konsekwentne, jak wypędzenie Niemców z Czech, Moraw i czeskiego Śląska. Ale także dlatego, że na Słowacji było zdecydowanie mniej brutalnej przemocy, pogromów i „dzikich wypędzeń" niż na ziemiach czeskich.

W końcu Słowakom nie udało się rozstać z „ich" Węgrami. Czekając na zgodę mocarstw, władze przeprowadziły jednak pod koniec 1945 roku coś w rodzaju Ak-

eprasa.pl 7d207e4b08

cji Wisła: około 44 tysięcy Węgrów wysłały na prace przymusowe do Czech, a ich majątek skonfiskowały.

...i proponują wymianę ludności

Zamiast zgodzić się na jednostronne wysiedlenie słowackich Węgrów z Czechosłowacji na Węgry, mocarstwa zaproponowały wymianę ludności między oboma państwami. Takiemu rozwiązaniu sprzeciwiały się wprawdzie władze w Budapeszcie, jednak nieskutecznie.

Po podpisaniu stosownej umowy i jej ratyfikacji do 1948 roku przesiedlono na Węgry prawie 90 tysięcy słowackich Węgrów (w tym 30 tysięcy tych, którzy osiedlili się w anektowanych w 1938 roku przez Węgry południowych regionach kraju). Z kolei na Słowację sprowadzono około 73 tysięcy żyjących dotąd na Węgrzech Słowaków. Jedni i drudzy musieli porzucić swoje majątki, a po przybyciu do kraju docelowego nie zawsze dostawali ekwiwalent tego, co pozostawili. Nie mieli jednak prawa do wyrównania poniesionych strat.

Przedtem władze Czechosłowacji przeprowadziły rozległą akcję resłowakizacji: kto się zadeklarował, że jest Słowakiem, miał szansę ocalić majątek i zostać w ojczyźnie – podobnie jak wspomniani wyżej Niemcy z Chmielnicy. Do stosownej komisji wpłynęły wnioski dotyczące prawie 450 tysięcy osób. Jak się okazało, niespełna 84 tysiące z nich podały w spisie powszechnym z 1930 roku narodowość słowacką lub czechosłowacką, czyli oficjalnie byli Słowakami, nie musieli więc poddawać się tej procedurze.

Z pozostałych ponad 366 tysięcy ludzi za Słowaków uznano niemal 285 tysięcy. Wnioski ponad 81 tysięcy osób zostały odrzucone, co otwierało drogę do zastosowania wobec nich prawa z dekretów Benesza, czyli odebrania ziemi, majątku i obywatelstwa. Podobnie stało się z tymi, którzy nie skorzystali z oferty resłowakizacji.

W końcu jednak znakomita większość słowackich Węgrów, od 80 do 85 procent, pozostała na Słowacji i mogła powrócić do deklarowania węgierskiej narodowości. Chichotem historii było to, że represje ustały po komunistycznym puczu z 25 lutego 1948 roku, a słowaccy Węgrzy odzyskali czechosłowackie obywatelstwo, chociaż niekoniecznie utracone majątki.

Minęły lata

Jednak ostatecznie ani dekrety Benesza, których odwołania domagali się nie tylko Niemcy sudeccy i Wolnościowa Partia Austrii (Freiheitliche Partei Österreichs, FPÖ), ale też ówczesny i późniejszy premier Węgier Viktor Orbán, ani elektrownie

eprasa.pl 7d207e4b08

atomowe w czeskim Temelínie i słowackich Mochovcach, którym sprzeciwiała się Austria, nie wpłynęły na decyzje podjęte w Brukseli. 1 maja 2004 roku oba kraje stały się członkami Unii Europejskiej, podobnie jak Polska i kraje bałtyckie, Węgry i Słowenia oraz Malta i Cypr. Temat kontrowersyjnego powojennego prawa zaczął powoli popadać w zapomnienie.

Dzięki podpisanej w 1996 roku przez kanclerza Helmuta Kohla i premiera Václava Klausa Deklaracji Czesko-Niemieckiej i powołanym przez nią Forum Dialogu i Funduszowi Przyszłości zaczęły się poprawiać stosunki nie tylko między Pragą a Berlinem, ale i między Pragą a Monachium, stolicą Bawarii, w której nową ojczyznę znalazła większość wypędzonych po wojnie czeskich Niemców.

W 2016 roku, po przejęciu władzy w Polsce przez PiS, nowy rozkwit przeżywała Grupa Wyszehradzka, zjednoczona przeciw przyjmowaniu uchodźców z Azji i Afryki, którym udało się przedostać na obszar Unii Europejskiej. Premierzy jej państw stanęli po tej samej stronie wewnątrzunijnej barykady. Viktor Orbán, który powrócił do władzy w Budapeszcie, nie mówi już, że „zapisana w dekretach Benesza koncepcja winy zbiorowej stoi w sprzeczności z ideą integracji europejskiej", jak to powiedział w Parlamencie Europejskim w 2002 roku, czyli jeszcze przed wejściem jego kraju do Unii.

Problem pozostał

W miarę upływu lat od dnia rozszerzenia Unii Europejskiej o osiem państw dawnego obozu komunistycznego, w tym Czechy, Słowację i Węgry, napięcie opadało. Sporą w tym zasługę mieli ludzie, którzy pojawili się na scenie, zwłaszcza szef Ziomkostwa Sudetoniemieckiego Berndt Posselt, który w 2015 roku doprowadził do skreślenia ze statutu tej organizacji celu odzyskania utraconej ojczyzny oraz do zrzeczenia się roszczeń majątkowych bez żadnej rekompensaty. A także czeski minister kultury Daniel Herman, który jako pierwszy oficjalny przedstawiciel czeskiego rządu rok później pojechał do Norymbergi na doroczny zjazd sudetoniemiecki i tam zwrócił się do zebranych słowami: *„Liebe Landsleute!"* – „Kochani rodacy!", co oni nagrodzili burzliwymi oklaskami.

Temat dekretów Benesza i ich skutków zaczął powoli znikać z codziennych mediów, choć jeszcze w 2013 roku, podczas pierwszych bezpośrednich wyborów prezydenckich w Czechach poślizgnął się na nich kandydujący na najwyższy urząd w państwie ówczesny minister spraw zagranicznych Karel Schwarzenberg, stając się w symbolicznym sensie ich bodajże ostatnią ofiarą w tym kraju. W jednej ze stacji telewizyjnych powiedział bowiem niezbyt szczęśliwie, że od momentu przyjęcia konstytucyjnej „Listy Podstawowych Praw i Wolności" już nie obowiązują, co skwa-

eprasa.pl 7d207e4b08

pliwie wykorzystał jego przeciwnik i niebawem zwycięzca wyborów Milosz Zeman, przypominając, że według Sądu Konstytucyjnego są one obowiązującą częścią „naszego porządku prawnego".

Konfiskaty trwają

O tym, że na Słowacji dekrety prezydenta Republiki nie tylko nadal obowiązują, ale są też stosowane, zaczęli się przekonywać ci, których one dopadły, jak wspomniany na początku właściciel działki w Tornali czy Miklós Bosits z Budapesztu. Ale nie byli bynajmniej przypadkami odosobnionymi, czemu słowackie władze już nawet nie zaprzeczają. Słowacki Fundusz Ziemski (Slovenský pozemkový fond, SPF) poinformował naczelnego „Napunku" o swoich wnioskach dotyczących konfiskaty trzydziestu jeden działek o łącznej powierzchni ponad 80 hektarów.

Wygląda jednak na to, że to wciąż tylko wierzchołek góry lodowej, bo zdaniem reprezentantów węgierskiej mniejszości konfiskaty dotyczą znacznie większego obszaru. János Fiala-Butora przytacza przykład katastru Podunajské Biskupice – niegdyś samodzielnej wsi zamieszkanej głównie przez *Hungarian speakers*, ludzi posługujących się językiem węgierskim (dziś jest to część Bratysławy) – i podaje czterdzieści trzy numery tamtejszych działek, w których księgach wieczystych jako właściciel w ostatnich latach zostało zarejestrowane państwo, a jako podstawę rejestracji wpisano nakazy konfiskaty z 1946 lub 1947 roku.

Przyczyną tych działań była budowa autostrady D4. Krajowa Spółka Autostradowa (Národná diaľničná spoločnosť, NDS) była gotowa je odkupić od właścicieli. Wtedy jednak interweniował SPF, wskazując, że na te działki rozciągało się działanie dekretów Benesza, a zatem należą one do państwa. „Obecnie toczy się około pięćdziesięciu spraw sądowych" – pisał dwa lata temu węgierski prawnik.

„Nasi eksperci obliczyli, że chodzi o tysiąc hektarów ziemi, czyli górę pieniędzy. Mówimy tu o około stu milionach euro" – powiedział w pierwszej dekadzie grudnia ubiegłego roku konserwatywnemu dziennikowi „Postoj" („Pogląd") László Gubík, szef działającej na Słowacji partii Sojusz Węgierski (w węgiersko-słowackim oryginale: Magyar Szövetség – Maďarská aliancia) o rozmiarach akcji prowadzonej przez państwo.

Apel opozycyjnych liberałów...

Tego dnia, gdy ukazał się wywiad z Gubíkiem, dekrety Benesza były już od ponad dwóch tygodni na czołówkach słowackich mediów. Sprawili to posłowie największego ugrupowania opozycyjnego, liberalnej partii Postępowa Słowacja (Pro-

eprasa.pl 7d207e4b08

gresívne Slovensko, PS), którzy w komplecie udali się na południe kraju, gdzie nadal żyją słowaccy Węgrzy.

24 listopada ubiegłego roku, na wyjazdowym posiedzeniu swojego klubu parlamentarnego w Komárnie posłowie PS przyjęli deklarację „O współżyciu i rozwoju w południowej Słowacji". W jednym z jej pierwszych punktów odrzucili zasadę winy zbiorowej, która legła u podstaw nowego powojennego porządku prawnego wyznaczanego przez dekrety Benesza. Powołując się na uchwałę Rady Narodowej (parlamentu Słowacji) z 2007 roku, która potwierdziła, że dekrety nadal obowiązują, jednak na ich podstawie nie można już zmieniać stosunków prawnych, oświadczyli, że mimo to nadal tak się dzieje. Opozycyjni posłowie wezwali rząd, by wstrzymał stosowanie dekretów.

...i riposta rządzących

„Nasze stosunki z Węgrami są obecnie najlepsze w historii, czemu więc nie rzucić w nie granatem?" – zareagował na platformie społecznościowej minister spraw wewnętrznych i szef współrządzącej partii Głos (Hlas) Matúš Szutaj Estok. „Uważam to za podkopywanie fundamentów Republiki Słowackiej i naruszanie powojennego porządku, co jest nie do przyjęcia" – stwierdził minister spraw zagranicznych z partii Kierunek (Smer) premiera Roberta Ficy. „Jeśli PS będzie nadal ciągnąć temat dekretów Benesza, przygotujemy analizę prawną i zwrócimy się do prokuratora generalnego" – pogroził szef koalicyjnej, nacjonalistycznej Słowackiej Partii Narodowej (Slovenská národná strana, SNS) Andrej Danko. Przewodniczący skrajnie prawicowej Partii Wsi (Strana vidieka, SV), poseł wybrany z listy SNS, minister sportu Rudolf Huliak zarzucił liberałom, że apelując o wstrzymanie obowiązywania dekretów Benesza, podważają wynik II wojny światowej. „Ten szalony wniosek totalnie graniczy ze zdradą ojczyzny. Przewodniczący postępowców zachowuje się jak pogubiony agent węgierski" – oskarżał.

W końcu, dwa dni po apelu z Komárna, odezwał się sam premier Robert Fico: „Przedstawiciele Postępowej Słowacji z lekkością wiosennego wietrzyka mówią, że są już zmęczeni dekretami Benesza i że należy je uchylić. No cóż, będzie zabawa" – zakpił na konferencji prasowej po wyjazdowym posiedzeniu rządu w Svidníku we wschodniej Słowacji.

„Premier kłamie świadomie i w niewybredny sposób – bronił się szef PS Michal Szimeczka i zapewnił: – Nie ma tam jednego słowa o podważaniu czy uchylaniu".

– Na próżno, mleko już się rozlało. Na burzy, którą ten apel wywołał, najbardziej bowiem zyskał Fico. Premier natychmiast wykorzystał go do ataku na najsilniejszą partię opozycji, a zwłaszcza jej lidera – podkreśla politolog dr Juraj Marusziak, dy-

eprasa.pl 7d207e4b08

rektor Instytutu Nauk Politycznych Słowackiej Akademii Nauk w rozmowie z „Nową Europą Wschodnią". Poruszenie kwestii stosowania dekretów Benesza w dzisiejszych czasach było jego zdaniem strategicznym błędem Michala Szimeczki.

Czyn karny

11 grudnia w trybie ekspresowym Rada Narodowa przyjęła nowelizację kodeksu karnego, 23 grudnia prezydent Peter Pellegrini ją podpisał. Ustawa weszła w życie. Zapisano w niej: „Kto publicznie zaprzecza lub podważa pokojowy porządek po II wojnie światowej, który powstał na podstawie aktów prawnych reprezentatywnych organów Republiki Czechosłowackiej lub Słowackiej Rady Narodowej, podlega karze pozbawienia wolności do sześciu miesięcy".

Mówiąc prościej, od tego dnia czynem karalnym stała się jakakolwiek krytyka dekretów Benesza – rozumianych w tym węższym ujęciu węgierskiego prawnika Jánosa Fiali-Butory.

– To z kolei wywołało rozgoryczenie w Sojuszu Węgierskim, który w ostatnich wyborach prezydenckich wsparł kandydata koalicji Petra Pellegriniego, zapewniając mu w ten sposób zwycięstwo – mówi Marusziak. Ówczesny szef tej partii Krisztián Forró, który stał się doradcą nowej głowy państwa, po podpisaniu przez Pellegriniego nowelizacji kodeksu karnego złożył dymisję z tej funkcji.

– Sojusz jeszcze się nie odwrócił od rządzących, ale wyraźnie ochłodził swoje wsparcie dla nich – twierdzi słowacki politolog.

Okazało się więc, że dekrety nie tylko obowiązują i są nadal stosowane, ale po osiemdziesięciu latach potrafią także solidnie wstrząsnąć sceną polityczną. A być może i wpłynąć na stosunki z Węgrami, gdzie szczególnie nie spodobały się liderowi opozycyjnej obecnie partii TISZA, który niebawem może stanąć na czele kolejnego węgierskiego rządu. A wtedy życie polityczne w Europie Środkowej skomplikuje się jeszcze bardziej.

Aureliusz M. Pędziwol jest dziennikarzem, korespondentem mediów w obszarze języków polskiego, niemieckiego i czeskiego. Zajmuje się tematyką społeczno-polityczną krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl 7d207e4b08

Nowa ziemia obiecana

Antoni Mach

W Czarnogórze pojawia się coraz więcej migrantów. Niewielkie państwo stało się miejscem napływu przybyszów nie tylko z obszaru byłej Jugosławii czy Albanii. Niektórzy uciekają przed wojną i represjami, inni szukają spokoju, a bywa że i raju na ziemi.

Od kilku lat rosła liczba osób przyjeżdżających z Turcji, Ukrainy czy Rosji. Jedni szukają bezpieczeństwa, inni stabilizacji, możliwości uprawiania biznesu lub nowego początku w kraju aspirującym do członkostwa w Unii Europejskiej. Od 2022 roku ściągnęło tu ponad 10 tysięcy Rosjan, prawie dwa razy tyle Ukraińców, ponadto w Czarnogórze jeszcze niedawno przebywało 13 tysięcy Turków. Są to spore liczby relatywnie do niewielkiej, bo sześciusettysięcznej populacji tego państwa.

Limenka

W Podgoricy, na zachodnim brzegu Moračy, zaraz za siedzibą wydziału ekonomicznego państwowego uniwersytetu, mieści się oddział Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i posterunek policji, zwany na wpół oficjalnie „Limenka", czyli „puszka". Wydawane są tu dowody osobiste oraz rejestruje się auta. Każdego dnia, już od wczesnych godzin porannych, ustawiają się kolejki petentów. Najdłuższe prowadzą do okienek o numerach siedemnaście–dziewiętnaście. Tam składa się bowiem wnioski o pozwolenie na pobyt i pracę dla osób zza granicy. Czekając na swoją kolej, można usłyszeć wiele języków, a z kieszeni czy plików dokumentów wyglądają paszporty różnych krajów. Między rzędami ludzi biegają tłumacze, z agencji wizowych, pomagają swoim klientom w załatwieniu spraw.

– W ostatnich latach zostaliśmy krajem imigracji. Od XVI do XIX wieku Czarnogóra, stara Czarnogóra, to było tylko Cetynie, stolica królewska, i okolice, nie było żyznej ziemi, wody, surowców naturalnych, otaczały ją wrogie imperia, była miejscem, z którego ludzie chcieli uciec, a niewielu chciało przyjeżdżać. Teraz, po raz pierwszy w historii mamy zmianę paradygmatu, jesteśmy krajem imigracji, nie tylko emigracji – wyjaśnia Mehmed Djecević z Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Czarnogóry. – Chcemy odnaleźć motywy działania tych ludzi, ich odczucia wobec tego kraju i ich wiedzę, jaką mieli o Czarnogórze, zanim tu przyjechali.

eprasa.pl 7d207e4b08

Celem Djecevicia jest przeprowadzenie badań w postaci szczegółowych wywiadów z przedstawicielami każdej z tych grup. Mimo że są dostępne statystyki liczbowe, tego typu analiz społecznych nikt jeszcze nie prowadził.

Powolne życie

Dilia jest studentką wydziału ekonomicznego. Pochodzi ze Stambułu, do Czarnogóry przyjechała za matką, która otworzyła firmę zajmującą się obrotem nieruchomościami w Budwie, nadmorskim kurorcie. Sama zwraca uwagę na pogarszającą się sytuację polityczną w ojczyźnie.

– Zawsze chciałam opuścić Turcję z powodu warunków politycznych – stwierdza. Po tym, kiedy prezydent Erdoğan zabrał kontrkandydatowi, Ekremowi İmamoğlu, jego tytuł uniwersytecki, wspólnie z matką doszły do wniosku, że bezpieczniejsza będzie edukacja i tytuł naukowy uzyskany poza Turcją. Sama traktuje Czarnogórę jako przystanek, myśli o przeniesieniu się do Niemiec lub Francji.

– Nie zrozum mnie źle, to nie jest tak, że nie lubię Czarnogóry, jestem typem osoby z dużego miasta, bo mieszkałam w Stambule całe życie. Czarnogóra nie satysfakcjonuje mnie, jeśli chodzi o życie towarzyskie, jakiego bym chciała. Są kluby, bary, jest jedna ulica, jedno centrum handlowe, jest jeden Burger King, nie ma McDonalda, nie ma H&M – tłumaczy Dilia.

To, co dla niej jest uciążliwościami, dla wielu stanowi zachętę. Wizerunek kraju, gdzie życie toczy się wolniej, gdzie piękne wybrzeże, górskie widoki, niskie opłaty i możliwość założenia własnej działalności gospodarczej są na wyciągnięcie ręki. Matce Dilii podoba się emerytura w Czarnogórze. Nie mieszka w Stambule już cztery lata. Była zmęczona zatłoczonymi ulicami, zgiełkiem. Czarnogóra to dla niej dobre miejsce. Ale nie dla studentki, takiej jak Dilia.

Czarnogóra to kraj, gdzie życie toczy się wolniej, gdzie piękne wybrzeże, górskie widoki, niskie opłaty i możliwość założenia własnej działalności gospodarczej są na wyciągnięcie ręki.

Krajobrazy i poczucie wolniejszego życia w Czarnogórze przypadły natomiast do gustu Natalii i Aleksowi. Ta pochodząca z Ukrainy para zdecydowała się na przeprowadzkę do Podgoricy w 2024 roku. Od czasu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę ich nastawienie odnośnie do możliwości pozytywnego rozstrzygnięcia konfliktu się zmieniało. Stało się tak pod wpływem opowieści przyjaciół, którzy znaleźli się w siłach zbrojnych i donosili o panujących tam strukturalnych problemach z zarządzaniem, brakiem szkoleń, niekompetencją i korupcją.

eprasa.pl 7d207e4b08



Antoni Mach

Życie w Czarnogórze toczy się niespiesznym rytmem. Dlatego od kilku lat rosła liczba osób przyjeżdżających tu z Turcji, Ukrainy czy Rosji.

– W pierwszym roku wojny wielu ludzi ściągnęło tu z zagranicy. Czekali na to, by dostać broń, trenować i wstąpić do armii, ale kiedy skonfrontowali się z rzeczywistością skorumpowanych struktur i sowieckiego podejścia do ludzi, którzy zaciągali się na ochotnika i byli wysyłani na front, zmienili plany – mówi Natalia. Oboje pracują zdalnie w sektorze IT, są freelancerami. Cenią sobie spokojne i relatywnie tanie życie, jakie oferuje Czarnogóra. Po raz pierwszy odwiedzili ten kraj w 2021 roku, przyjechali na wakacje.

– Zakochaliśmy się w naturze, a na tle innych krajów Czarnogóra jest najtańsza. Czynsz i ceny wynoszą mniej więcej tyle, co w Ukrainie – dodaje Aleks. Wspominają także o zapoznanych Białorusinach i Rosjanach, którzy, podobnie jak oni, pracują sprzed komputera.

– Wszyscy podzielamy ten sam pogląd na wojnę, na wektory moralności – mówi Natalia.

Pull factor, push factor

– W badaniach migracji stosujemy termin *push factor* na opisanie tego, od czego mieszkaniec danego kraju chce uciec, a *pull factor* to coś, co ściąga go do danego społeczeństwa – tłumaczy Mehmed Djecević. – W Turcji panuje gigantyczna inflacja, desykularyzacja kraju. Dla niektórych ludzi, którzy są bardziej liberalni, postępowi, jest to coś, od czego chcieliby uciec – to dla nich *push factor*.

eprasa.pl 7d207e4b08



Antoni Mach

W Czarnogórze jedni szukają bezpieczeństwa, inni stabilizacji, możliwości uprawiania biznesu lub nowego początku w kraju aspirującym do członkostwa w Unii Europejskiej.

Oczywiście, dla Ukraińców i Rosjan czynnikiem, który zmusza ich do wyjazdu, jest wojna i panująca w ich krajach sytuacja polityczna. Do czynienia mamy tu z trzema grupami, a każda z nich ma nieco inne motywacje. Ukraińcy przyjeżdżają z powodu wojny, Rosjanie jeszcze przed 2022 rokiem przybywali skuszeni możliwością luksusowego życia w miejscach takich jak: Tivat, Budwa, Kotor i Herceg Novi. Dla Turków Czarnogóra stanowiła szansę na przeniesienie swojego życia do Europy, był to przystanek na drodze do krajów zachodnich, albo też miejsce do otwarcia własnej działalności gospodarczej. Wszystkie te wnioski są jednak nadal pewnymi interpretacjami na podstawie dostępnych, niepełnych danych.

– Myślę, że badania potwierdzą to, co mówię, ale potrzebujemy głębszej analizy – podkreśla Djecević.

Stłumione emocje

Jesienią ubiegłego roku w stołecznej dzielnicy Zabjelo doszło do incydentu, podczas którego jeden z mieszkańców miasta został ranny po pchnięciu nożem. Pierwsze plotki i informacje podawane przez policję wskazywały na przybysza z Turcji jako sprawcę napadu. W ciągu kolejnych dni, nie tylko w Podgoricy, ale także w Barze i Herceg-Nowym, doszło do zamieszek, podczas których tłum polował na osoby, które wyglądały na Turków. Kilka biznesów zostało podpalonych lub zdewastowanych. Dwa dni później rząd Czarnogóry zawiesił prawo bezwizowego wjazdu dla

eprasa.pl 7d207e4b08

obywateli Turcji – z czego częściowo wycofał się niedługo później. Dla wielu przedstawicieli tej społeczności w Czarnogórze był to upadek iluzji mówiącej, że mogą się czuć w tym kraju bezpiecznie. Po tych wydarzeniach większość z nich – około dziewięciu tysięcy – opuściło Czarnogórę.

O fakt ten pytam innego naukowca z Uniwersytetu Czarnogóry, Nemanję Stankova, który zajmuje się wpływem migracji na życie polityczne.

– Wszystko to, co wydarzyło się w te kilka dni, było naprawdę źle poprowadzone, pokazało, że politycznie nie wiemy, jak radzić sobie z kryzysem, krytycznymi momentami. Z drugiej strony to było dobre w tym sensie, że wyciągnęło na wierzch te stłumione rasistowskie odczucia wobec Turków, ponieważ powstawało fałszywe wrażenie, że w kwestii wartości odeszliśmy jako społeczeństwo od tego typu anachronicznych poglądów na relacje między krajami i narodami – mówi Stankov.

Temat migracji funkcjonuje w społeczeństwie, ale, jak zauważa Stankov, nie dyskutuje się o niej na arenie politycznej. Jeśli usiądziemy na kawie czy na piwie, w pewnym momencie zacznie się rozmawiać o migracji, bo na tym poziomie drastycznie wpływa ona na jakość tutejszego życia. Na przykład po zamieszkach, kiedy wielu ludzi opuściło Czarnogórę, ceny wynajmu spadły. Były sztucznie wysokie z powodu napływu ludzi z zagranicy. W Podgoricy z około 300 euro na miesiąc ceny podskoczyły do 500–550 euro (za mieszkanie z jedną sypialnią). Ludzie rozmawiają o tym fakcie, ponieważ wpływa on na ich życie. Stankov uważa jednak, że nie przekłada się to na poziom polityczny – ludzie nie będą mówili o migracji w sposób spójny, z jasnym stanowiskiem, czego chcą.

Od tematu uciekali sami rządzący. Jak zauważa Stankov:

– Przedstawiciele rządu mówią o inflacji, o problemach ekonomicznych, ale nie poruszają kwestii sztucznego ściągania ludzi, którzy są w znacznie lepszej sytuacji niż przeciętny Czarnogórzec, co podnosi ceny.

Taka postawa została brutalnie zderzona z rzeczywistością po październikowych wydarzeniach, co doprowadziło do chaotycznych działań.

Miejsce na nowego wroga?

Sam Nemanja Stankov przebywał w Budapeszcie w latach 2014–2016. Skoro temat migracji stał się jedną z przyczyn skuteczności populistycznej polityki orbanowskiego Fideszu, to czy Czarnogórę także czekają tego typu procesy?

Stankov podkreśla jednak, że w Czarnogórze nadal trwa spór między Czarnogórcami a Serbami. Podział ten pozostaje dalej istotny w polityce, jest więc zbyt mało przestrzeni, by ktoś inny mógł zaangażować się w walkę. Czarnogóra uzyskała niepodległość w 2006 roku. Połowa obywateli kraju była za, połowa – przeciw. Analityk

eprasa.pl 7d207e4b08

podkreśla, że niejednoznaczna postawa w kwestii niepodległości Czarnogóry panuje w Belgradzie. Serbowie z Czarnogóry niezbyt akceptują fakt, że jest to niepodległe państwo. Stąd czarnogórska polityka przez ostatnie dwadzieścia lat była zdominowana przez debatę bloków proserbskich i proczarnogórskich. To wystarczające podłoże, by tworzyć politykę opartą na podziałach „my kontra oni". Na razie nie ma więc potrzeby kreowania zewnętrznego wroga, bo każda strona ma już swojego wroga.

Temat migracji funkcjonuje w społeczeństwie, ale nie dyskutuje się o niej na arenie politycznej.

Czy w tym momencie ma to jeszcze jakieś znaczenie? Przez nieumiejętność zarządzania kryzysem i długie zamiatanie sprawy pod dywan tysiące ludzi wyjechało z kraju, który z tych czy innych powodów wybrali jako swoje miejsce do pracy i życia. Po opuszczeniu przez Turków Czarnogóry kłopot rozwiązał się sam. Jednak czy jest to sposób, w jaki należy radzić sobie z tego typu problemami?

Antoni Mach jest absolwentem filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie student Studium Europy Wschodniej, gdzie przygotowuje pracę magisterską o wojnie w Kosowie. Interesuje się bieżącą polityką w Europie Wschodniej i Południowej.

eprasa.pl 7d207e4b08

Sezon na raki

Kateřina Tučková

Prezentujemy opowiadanie w przekładzie Julii Różewicz, będące częścią antologii *Sudety*, która ukaże się w lipcu 2026 roku nakładem wydawnictwa Książkowe Klimaty.

(Lata dziewięćdziesiąte XX wieku)

Lato zameldowało się tak samo jak co roku. Thaya z siłą fali powodziowej wtargnęła w jego sny, dzikim nurtem wypełniła żyły i wlała w całe ciało niepokój, tak łudząco podobny do tego, który budził się w nim kiedyś wraz z sezonem na raki. Znów był małym chłopcem i pędził przez łęg w stronę rzeki, kiedy tylko opadły jej mętne wody, by z nogawkami podwiniętymi nad kolana brodzić wzdłuż brzegu i przeczesywać dłonią dno w poszukiwaniu upragnionej raczej nory. Zawsze przypominał sobie wtedy słowa wujka Liebera:

– Był sobie raz śmiałek, co wsadził łapę do kryjówki raków. Potem ją wyjął. Tyle że już osobno!

Nikt nie umiał rechotać tak zaraźliwie jak onkel Lieber i chociaż tamten szpas wuja napędził mu – wówczas smarkaczowi, którego starszy kuzyn Johann po raz pierwszy zabrał na raki – niezłego stracha, nie potrafił się na niego gniewać.

Całe szczęście – żaden krebs nigdy nie obciął mu ani ręki ani nawet palca, choć trzeba przyznać, że jeden stary paskudnik kilka razy dotkliwie uszczypnął, zanim wreszcie, po zaciekłej walce, udało się wyciągnąć go z nory. Na pewno uniknąłby tego, gdyby łowił do więcierzy. Tyle że z pułapkami też niepewna sprawa: nigdy nie było wiadomo, w jakim stanie się je znajdzie kolejnego dnia. Sezon na raki trwał krótko, bo tylko trzy letnie miesiące, te w których nie terkoce „r", Juni, Juli i August, a konkurencja była bezlitosna. Takich braci Lobeck na przykład było w chałupie aż pięciu, starsi musieli zarabiać i łapali różne fuchy, ale bubki latały nad rzekę, tak jak on. A w łapska braci Lobeck za nic nie chciałby wpaść. Ich ojcowie byli wprawdzie rodziną, dziesiąta woda po kisielu, ale i tak wolał trzymać się od nich z daleka. Każdy we wsi wiedział, że stary Lobeck więcej wina wlewał w siebie niż wyrabiał, a dzieciaki wychowywał pięścią. Przykład szedł z góry i jego chłopcy też umieli jej używać. Gdyby się na nich natknął nad Thayą, pewnie nie tylko opróżniliby jego pułapkę, ale w dodatku spuściliby srogie manto niezależnie od więzów krwi. Dla-

eprasa.pl 7d207e4b08

tego wolał nie zastawiać więcierzy, ale i tak w każdą sobotę przed zmrokiem, kiedy szedł na raki, diabelnie uważał na tamtych, a jeśli udało mu się coś złapać, niepostrzeżenie przekradał się do domu z łupem zawiniętym we własną mokrą koszulę, żeby przypadkiem ich nie spotkać i nie stracić połowu. Na to nie mógł sobie pozwolić. Każdy rak był dla rodziny prawdziwym błogosławieństwem. Mutti mogła ugotować z takiego krebsa cały gar zupy, a co ważniejsze, Abeles, Żyd z Mikulova, który jechał przez wieś każdej niedzieli przed wieczornymi dzwonami, płacił dobrych parę koron za sztukę.

Tuzin raków oznaczał wiadro węgla, nowe kalesony albo trzy motki wełny, z której mutti i siostry dziergały wieczorami grube pończochy dla sąsiadów, dzięki czemu przez lato mogli naszparować na całą zimę.

September był już czasem raczych amorów, a to oznaczało koniec sezonu. Abeles biadolił, że kiedy z jego beczki znika napis „Muschauer Krebse", to najlepszy utarg ze zbytu na Wiedeń bierze w łeb, ale i tak nikt z Mušova nie chodził już we wrześniu na raki. Szlus, nie dawali się przekabacić nawet wyższą ceną skupu. On też był nieugięty, choć Żyd próbował go podejść na wszelakie sposoby. – Fang, mein bester Krebsfänger! – krzyczał na przykład z wozu telepiącego się obok ich chałupy i rzucał mu jakiś drobiazg: soczystą brzoskwinię czy bułkę od piekarza Mácala z niedalekiego Eibis. Późnym latem u jego bosych stóp wylądował śliczny nożyk, a kupiec zawołał mimochodem, że świetnie się nada do cięcia wikliny w pułapce na raki.

Wcisnął nożyk do kieszeni z myślą, że odda go Abelesowi kolejnej niedzieli, bo sezon na raki właśnie się skończył, a on, podobnie jak wszyscy tutejsi, znał prawa Thai i za skarby świata nie zamierzał z nią zadzierać. Tym bardziej z mutti. Zawsze, kiedy kładł na stole tobołek pełen wściekle kłapiących szczypcami raków, z radością mówiła, że jest zuch i ojciec byłby z niego dumny. Jeśli zapolowałby po czasie połowów, raczej nie doczekałby się jej pochwał.

***

Te sny powracały każdego lata, a on zawsze dziwił się, że jego ciało wciąż chodzi niczym zegar nakręcony w odległej przeszłości i że ponad pół wieku rozłąki z Thayą, płynącą niegdyś przez pastwiska za domem, nie było w stanie osłabić wyjątkowej więzi między nimi. Wciąż potrafił przywołać w myślach jej niepowtarzalny zapach, spokojny lub wzburzony głos, poczuć chłodny dotyk na skórze.

A dziś przekonał się, że świat tamtej Thai oraz całe to zaskakująco silne i nieprzerwane poczucie bliskości na zawsze pozostaną snem. Wyjechał na dawne wzgórze Burgstall, obecnie Hradisko, by na własne oczy zobaczyć, że rzeka, jaką zachował w pamięci, nie istnieje. U jego stóp zamiast doliny, przez którą dawniej wśród buko-

eprasa.pl 7d207e4b08

wych lasów, łąk, winnic i pól, w zakolach i starorzeczach srebrzyście wiła się Thaya, leżał parking, a ponad dachami samochodów rozpościerała się bezkresna tafla zapory, łypiąca na niego pustym spojrzeniem ślepca. Był wściekły. Gniew pulsował mu w skroniach.

Zbrodnia. Jak inaczej nazwać to, do czego tu doszło? Niepojęte spustoszenie rajskiej krainy, o którą tak sumiennie dbali dawni gospodarze. Najwyraźniej nie wystarczyło ich stąd przepędzić, trzeba było jeszcze doszczętnie zburzyć odwieczny porządek i zmyć z powierzchni ziemi każdą pamiątkę po nich. Z Muschau włącznie. Pod wodą zniknęły ich chałupa, ogród z rozłożystą gruszą, która rodziła rozpływające się w ustach owoce, niska stodoła, chlewik i dzierżawiony przez nich kawał gruntu. Nowy zbiornik wodny pochłonął główny plac, studnię, która stała w cieniu potężnej lipy, szkołę, postamt, nawet zajazd Habarta przy starym trakcie cesarskim.

Przekleństwo samo cisnęło mu się na usta, nie powstrzymywał się, wypowiedział je głośno. Dwaj mężczyźni, którzy go tu przywieźli, a teraz stali oparci o auto w cieniu kaplicy Rinderów, cudem ocalałej z budowy parkingu, drgnęli. Pewnie pomyśleli, że głupieje na stare lata.

– Coś się stało? – zapytał Nicholas.

– Chce pan już wracać? – zawtórował mu tłumacz Otava.

Ich słowa jeszcze bardziej go rozsierdziły. Nie ma mowy! Tłukł się taki kawał drogi, żeby teraz, po pierwszym zderzeniu z brutalną rzeczywistością, odwrócić się i uciec z podkulonym ogonem? O nie, niedoczekanie. To, co ujrzał, może i wpłynęło na jego plany, ale na pewno nie na stopień jego determinacji. Przecież nie wszystko zniknęło pod wodą. Na wysepce pośrodku dawnego Mušova całej tej katastrofie nadal opierał się kościół.

– Jedźmy tam. – Wskazał palcem jego wieżę.

Nicholas i Otava popatrzyli na siebie zdziwieni. Tłumacz nieśmiało zaoponował:

– Obawiam się, że to niemożliwe. Na wyspę od lat nie ma wstępu.

– Warum?

– Bo ja wiem? – Chłopak wzruszył ramionami i zerknął na Nicholasa, jakby tamten był lepiej zorientowany. – Jest zakaz i już.

– Kto go wydał?

– No… chyba gmina – bąknął niepewnie Otava.

– Niby jaka? Nie widzi pan, że cała gmina jest pod wodą?

– Nie, nie ta. Ta obok. Zbiornik należy teraz do gminy Pasohlávky. – Tłumacz szybko machnął ręką w kierunku Weißstätten. – Żeby zdobyć pozwolenie, trzeba chyba uderzyć do ichniejszej rady narodowej.

Mein Gott! Słynny w całej okolicy Kościół Świętego Leonarda trafił w łapska wrednych sąsiadów ze wzgórza Burgstall? Tych, którzy tak im zazdrościli winnic na po-

eprasa.pl 7d207e4b08

łudniowych i wschodnich zboczach, bo sami borykali się z chłodnym wiatrem od strony Pálavy? Po wredotach z Weißstätten nigdy nie można było spodziewać się niczego dobrego. Ale nie zamierzał dawać za wygraną.

– Ruszajmy!

Nie przejął się dezaprobatą w oczach Nicholasa. I jemu, i Otavie niemało skapnęło pod stołem za tę wycieczkę, więc niech nie biadolą. Jakoś się przemęczą kilka dni. Jeśli on przeżyje, to co dopiero oni.

***

Platforma z wózkiem inwalidzkim opadła na podłogę, kliknęły blokady. Nicholas zajął miejsce za kierownicą, na siedzenie obok wśliznął się Otava i samochód do przewozu osób niepełnosprawnych, którym telepał się z domu opieki w zapadłej wsi pod Linzem aż tu, na południe Moraw, ruszył. Kościół w Mušovie szybko zniknął za wierzchołkiem wzgórza Burgstall.

„Heiliger Leonhard, Beschützer der Muschauer, o, Święty Leonardzie, nasz opiekunie, broń nas przed wielką wodą, ześlij obfitość w sieciach rybackich, obdarz urodzajem w polu i winnicy…"

Ileż to razy powtarzał tę modlitwę, kiedy klęczeli z mutti i siostrami przed ołtarzem w mušowskim kościele? Ileż razy mutti, w ciasno opinającej bujne kształty odświętnej sukience i czarnej wdowiej chuście naciągniętej głęboko na czoło, dawała mu kuksańca w bok, żeby się nie wiercił, bo to od modlitwy jej zdaniem zależało, czy stracą dach nad głową i ostatnią kromkę chleba? Ech, może powinien był modlić się gorliwiej. Tyle że wtedy jego głowę zaprzątały zupełnie inne sprawy niż pacierze do świecącego łysiną pustelnika z obrazu.

Marzył o rowerze. Takim, jaki miał Johann. Lśniącym czernią, z chromowanymi szprychami, kierownicą obitą skórą i klaksonem. Kuzyn przewiózł go w sobotę, kiedy byli z mutti pomagać w gospodarstwie Lieberów, i od tamtej pory nie myślał o niczym innym.

Ile raków musiałby złapać, żeby pomykać po Muschau na takim cacku? – zastanawiał się, obracając w kieszeni nożyk od Żyda Abelesa. A gdyby tak przez trzy miesiące bez „r" łowił na potrzeby domu, a pieniądze za raki schwytane we wrześniu odkładał? W kilka lat powinien uzbierać na rower. Później by z tym skończył, obiecuje, przyrzeka. Nie zamierzał się zresztą porównywać z Johannem, sprawy miały się tak, jak się miały, i był z tym pogodzony. To starszy kuzyn pewnego dnia odziedziczy ziemię, chociaż jego matka też była z domu Lieber. Nie zazdrościł Johannowi. Bo to był Johann i tyle. To on go uczył łowić raki, to on tłumaczył, kiedy bić się o swoje, a kiedy odpuścić. Gdzie mu tam było do Johanna! Do dziś pamięta,

eprasa.pl 7d207e4b08

jak kuzyn w tradycyjnym kolorowym mušowskim stroju skrzykiwał młodzików na procesję, Leonhardsritte…

Pędził na swoim srokaczu od chałupy do chałupy, przed każdą ściągał wodze, koń stawał dęba, a Johann wołał tak głośno, że pewnie było go słychać po stronie austriackiej, i nie przestawał, dopóki nie dołączył do niego ostatni z jeźdźców. Później wszyscy rajtowali po wsi, gdzie witali ich ludzie wygalantowani w tradycyjne stroje, różne, różniste, bo na święto Leonadra schodzili się do nich z całej okolicy, a Leonhardsritte była widokiem rzeczywiście niezwykłym. Młodzieńcy robili trzy rundki wokół kościoła w Mušovie, później zeskakiwali z koni, klękali przed krzyżem, z którym witał ich ojciec Wyhoda, i składali na ołtarzu plony minionego lata. Po mszy zaczynała się zabawa, muzyka grała cały dzień i noc, były tańce w zajeździe Habarta, do tego tyle jedzenia, picia – do dziś, kiedy zamknie oczy i przypomni sobie wszystkie te kolory, zapachy i gwar, kręci mu się w głowie.

Tuzin raków oznaczał wiadro węgla, nowe kalesony albo trzy motki wełny, z której mutti i siostry dziergały wieczorami grube pończochy dla sąsiadów, dzięki czemu przez lato mogli naszparować na całą zimę.

Chyba tylko raz w Muschau celebrowano wydarzenie jeszcze bardziej podniosłe niż dzień patrona, Świętego Leonarda, a był nim przyjazd samego prezydenta Masaryka, który zawitał do wsi wczesnym latem roku 1928.

Sprawa wywołała niemałe poruszenie, bo nikt prócz badaczy, którzy prowadzili wtedy wykopaliska na wzgórzu Burgstall, nie miał pojęcia, że ich podmokła wioska będzie za kilka dni gościć taką osobistość. Mimo pospiesznych przygotowań stanęli na wysokości zadania. Kiedy prezydencki samochód wjeżdżał na plac główny, witała go wieś wyglansowana staranniej niż na powitanie samego Świętego Leonarda. Wszędzie powiewały czarno-czerwono-żółte chorągiewki, kobiety były na ludowo, mężczyźni w strażackich mundurach lub strojach stowarzyszenia gimnastycznego Deutscher Turnerbund, a kto nie należał do żadnej z tych grup, włożył po prostu swoje najlepsze ubranie. Starosta sprawił sobie na tę okazję nowy ancug i cylinder. Zewsząd rozlegały się okrzyki „Hoch!", „Niech żyje!", „Heil!" i „Czołem!", po czym wystąpił miejscowy Gesangverein, by łamaną czeszczyzną zaprezentować prezydentowi jego ulubioną pieśń.

Znakomity gość został podjęty chlebem, kiszonymi ogórkami i kieliszkiem najlepszego elbinga z zeszłorocznych zbiorów na Burgstall, i to prosto z beczki wujka Liebera, któremu asystował Johann, tak przystojny w fartuchu i czapce, że nawet starzejąca się panna prezydentówna zakwitła na jego widok rumieńcem niczym świeża piwonia. Ale zauważył to chyba tylko on, sterczący za Johannem z tacą nie-

eprasa.pl 7d207e4b08

tkniętych ogórków, bo wzrok reszty był skupiony na staroście, który toczył nierówną walkę z cylindrem – to wciskał go pod pachę, to na głowę – i z zapałem bełkotał coś na temat lojalności tutejszych obywateli, którzy „być może nie byli zbyt entuzjastyczni wobec powstania Czechosłowacji, bo jako od zawsze związani z Austrią wiele stracili na rozpadzie monarchii", a po chwili gorliwie zapewniał, że teraz wszyscy Mušovianie sumiennie pracują na wspólną teraźniejszość i z nadzieją spoglądają w przyszłość, gdyż wierzą, że nowa republika będzie traktować na równi obywateli niemieckich i czeskich, szczególnie tu, na ziemiach, gdzie matka natura też traktuje ich na równi surowo i jeśli zmarznie winorośl lub podtopione sadzonki zginą, Niemiec i Czech ponosi taką samą stratę…

Prezydent grzecznie odmówił poczęstunku, ale życzliwie kiwał głową podczas przemówienia, serdecznie uścisnął dłoń staroście i powiedział:

– Jakże cieszy mnie zgoda w obozach czeskim i niemieckim, niech odejdą w przeszłość dawne zatargi, albowiem dziś obowiązkiem wszystkich jest praca dla dobra ogółu!

Następnie udał się z wujem Lieberem na Burgstall, gdzie wysłuchał opowieści, jak to roku pańskiego 1890 ojciec wuja poszerzał winnicę i w pewnej chwili zapadła się pod nim ziemia, a potem znaleziono go w starym ceglanym spichlerzu, przez którego dach się przypadkiem przebił. Dlatego też oni, Lieberowie, wiedzieli, że wzgórze kryje w sobie sprawy wielkiej wagi, a odkryli to już w czasach, gdy obecny tu dziś zespół szanownych uczonych biegał w pieluchach.

Prezydent spędził na Burgstall całe przedpołudnie, z zainteresowaniem oglądał każdą skorupę, jaką wydała winnica Liebera, i słuchał interpretacji podekscytowanych kustoszy i archeologów, ze słynnym profesorem Antonem Gnirsem na czele. Utytułowani badacze mówili do niego wciąż i wciąż, zmieniając się bez końca, jak obrazy w czarnoksięskiej latarni. Później szanowna delegacja usadowiła się w automobilu, prezydent i panna Alice uprzejmie żegnali zebranych skinięciem głową, zastęp uczonych salutował, ludzie radośnie machali, a on i reszta chłopców biegli co sił w nogach, skakali i piszczeli, dopóki samochód nie zniknął za zakrętem starego cesarskiego traktu.

Onkel Lieber chwalił się tą wizytacją przy każdej możliwej okazji, a o zespole badaczy, którzy z taką pasją przekopywali jego winnicę, mawiał, „meine Maulwürfe", „moje krety". Jednak w roku 1931, pod koniec sezonu, kiedy ukazała się książka, gdzie każdy mógł przeczytać, jakie skarby profesor Gnirs znalazł na jego ziemi, wujowi przeszła ochota na szpasy.

Otóż okazało się, że pod korzeniami winorośli tkwił rzymski obóz wojskowy z wystawną rezydencją dowódcy, do tego *balneum* z ogrzewaną podłogą, o kilka dobrych długości prześcigające stopniem technologicznego zaawansowania dzisiejsze mu-

eprasa.pl 7d207e4b08

šovskie chałupy, sporo ceramicznych dachówek oznaczonych pieczęciami słynnego legionu X, fragmenty uzbrojenia, fibule z brązu, przeróżne naczynia i – co najważniejsze – monety, bardzo dużo monet… I tak na Burgstall tłumnie zjechali uczeni z całej Europy, by na własnie oczy przekonać się, że na północ od Vindobony, w regionie dotąd bezspornie uważanym za terytorium plemion germańskich, naprawdę odkryto wyjątkowe rzymskie stanowisko archeologiczne, po czym w prasie na całym świecie zaczęły ukazywać się rozprawy naukowe o rzekomo planowanej w Mušovie stolicy nowej rzymskiej prowincji i chyba każdy badacz czuł się zobowiązany odnieść się do przełomowego znaleziska profesora Gnirsa. Napisano na ten temat setki, tysiące słów. Ale Mušovianie skupili się na dwóch z nich, wielkimi literami wydrukowanych na stronie tytułowej gazety „Mährisches Tagblatt", którą ktoś przypiął na wiejskiej tablicy ogłoszeń: „GERMANIA SUBACTA, Germania podbita".

Te dwa łacińskie słowa wybite na rzymskich monetach wywróciły życie wsi do góry nogami. Dywagowano o nich w drodze na pole, w łódkach rybackich, dyskutowano rano w sklepie kolonialnym i wieczorem w gospodzie. Onkel Lieber zaczął się przez nie garbić, bo po wsi rozniosła się plotka, że za marnych pięćset koron rocznie, które dostał za dzierżawę od uczonych kretów, zaprzedał swoją niemiecką duszę. Hańba! Gdyby mieszkańcy Mušova wcześniej domyślili się, co kryją grunty wuja, pewnie rozkopaliby mu winnice, upchnęli wszystkie rzymskie skarby na wóz i wrzucili do Thai. Lepsze to, niż ścierpieć taki policzek wymierzony niemieckiej dumie!

***

– Jesteśmy na miejscu. Rada narodowa – oświadczył Otava, kiedy mijali brzydką betonową bryłę. – To znaczy teraz już urząd gminy.

Nicholas zaparkował, wysiadł, obszedł auto, spuścił platformę i kilkoma zwinnymi, wyuczonymi ruchami wyprowadził wózek inwalidzki na chodnik. Odczekał, aż platforma wróci na swoje miejsce, i ruszył z nim w stronę urzędu. Nie udało im się jednak dostać wyżej niż na parter. Wydział, który ich interesował, był na pierwszym piętrze, ale nigdzie nie znaleźli windy.

– No, zasuwaj pan na górę i przyprowadź mi odpowiednią osobę! – zbeształ Otavę, który stał i zakłopotany dreptał w miejscu. – Przecież na plecach mnie tam pan nie zataszczysz!

Później całą wieczność czekał i popatrywał na ludzi, którzy mijali go w wąskim korytarzu. Poruszający się jak muchy w smole urzędnicy i zmęczeni upałem interesanci. Podświadomie szukał w ich twarzach czegoś znajomego, chociaż wiedział, że to absurd, bo jakie było prawdopodobieństwo, że spotka tu kogoś z dawnych lat?

eprasa.pl 7d207e4b08

Przecież to wszystko potomkowie tamtych. Napływowych. Na tę myśl poczuł bolesny skurcz w żołądku, jakby mięsożerny robal wygryzał sobie drogę na zewnątrz przez jego jelita. Jego mina prawdopodobnie odzwierciedlała to, co w środku, bo ktoś spytał, czy nie potrzebuje pomocy, na co on, z całą mocą fizycznie odczuwalnej nienawiści, odparował: – Keine Sorge!

Nawet Nicholas, na którym prawie nic nie robiło wrażenia, ze zdziwieniem uniósł brwi.

Wreszcie zobaczył Otavę. Szedł w dół po schodach z jakąś kobietą i gorliwie coś jej wyjaśniał, a za nimi ciągnęło się dwóch mężczyzn, całym swoim jestestwem wyrażających dystans. Ondulację korpulentnej czterdziestolatki oświetlało słońce wpadające z okna na półpiętrze, przez co jej głowa wyglądała jak kula z kudłatą aureolą. Coraz bardziej zwalniała kroku, wreszcie zatrzymała się przed ostatnim stopniem. Czuł się poniżony, jeszcze zanim spojrzał jej w oczy. Nerwowo mrugała.

– A czego pan szuka na wyspie? – rzuciła z wysokości, bez powitania czy grzecznościowych wstępów. Podenerwowany, ale bezkompromisowy ton zadziałał jak niewidzialna tarcza. Czuł, że przegra tę bitwę, włoski na rękach stanęły mu dęba, czuł, jak cuchnąca żółć podchodzi coraz wyżej i wyżej do gardła, wypełnia jego nos i usta, najchętniej by splunął, ale wycedził tylko: – 'ch bin Hugo Hartmann und will mein Heimatdorf besuchen.

Zanim Otava przełożył jego słowa, wielka dama z Pasohlávek zdecydowanie pokręciła głową.

– To absolutnie wykluczone! Na wyspie nie ma już wsi. Teraz znajduje się tam rezerwat przyrody. Siedlisko chronionych ptaków. Bączek zwyczajny i czapla siwa są świeżo po wyprowadzeniu lęgu, więc, jak już tłumaczyliśmy pańskiemu koledze na górze… – Odwróciła się do dwóch towarzyszących jej mężczyzn, chyba po to, żeby potwierdzili niezłomność zbiorowej decyzji. – Teraz, latem, wstęp na wyspę jest bezwzględnie zakazany!

Co za bezczelność! Co za bzdura! Czy ta kobieta właśnie próbowała mu wmówić, że na wyspie już nie ma Kościoła Świętego Leonarda? Tego, w którym jako niemowlę leżał na rękach wujka Liebera, symbolicznie ochrzczony wodą z Thai, która tamtej wiosny przetoczyła się przez wieś szybciej, niż zdążyli to zrobić wodą święconą, w domu Bożym? Naprawdę musi jej wyjaśniać, że bączek i czapla mogą wodzić młode na jakichkolwiek mokradłach, a pod ochroną powinny być raczej rodziny dawnych mieszkańców Mušova, bo to oni są gatunkiem bezpowrotnie skazanym na wyginięcie?

Wypluwał słowa gniewnie, z prędkością karabinu maszynowego, nie miał jednak szans w starciu z urzędową mocą. Trójca biurokratów stała nad nim w aureoli wrześniowego słońca jak chór świętych w godzinie sądu ostatecznego, nieugię-

eprasa.pl 7d207e4b08

ta, ślepa i głucha na jego bezsilną złość. Nie uspokoił go nawet Nicholas, który po chwili pogłaskał go po ramieniu.

– Wystarczy! Zakaz to zakaz i obowiązuje wszystkich. Bez wyjątku! – ucięła nierówną walkę urzędniczka, po czym odwróciła się do niego pokaźnym zadem i pomaszerowała do swojego królestwa.

Czego się właściwie spodziewał?

Z dawnymi sąsiadami z Weißstätten pewnie jakoś by się dogadał, ale ci? Motłoch, po którym próżno się spodziewać jakiejkolwiek empatii. Ale jeśli ta klucha myślała, że zniechęcą go jej paragrafy, była w błędzie. Doskonale wiedział, że zakaz o wiele bardziej wiązał się z jego pochodzeniem niż z ochroną ptaków. Na tej ziemi *Germania* już na zawsze miała pozostać *subacta*.

***

Musi przyznać, że kiedy na Burgstall znaleziono rzymskie monety, wybity w brązie triumfalny napis również jemu podniósł ciśnienie. Zapamiętał go na długo, podobnie jak spoglądającą z awersu twarz cesarza Marka Aureliusza. Wiele lat później wypożyczył w bibliotece jego *Rozmyślania* i kilka książek o dziejach Cesarstwa Rzymskiego, gdzie natrafił na opowieść, jak legionom walczącym na północnej granicy imperium z plemionami germańskimi z pomocą przyszedł cudowny deszcz, od którego wezbrała rzeka, by dosłownie zmyć wroga z powierzchni ziemi.

Podczas lektury serce zabiło mu mocniej – przecież tą rzeką była Thaya – taka, jaką znał, nieprzewidywalna, kapryśna, leniwie snująca się w meandrach i starorzeczach, przyczajona w cichych sadzawkach, jeziorkach, na mokradłach i trzęsawiskach, by wraz z pierwszą wiosenną ulewą wezbrać i zalać całą okolicę. Dzikie fale i podstępne wiry Thai porywały wtedy wszystko, co nie zostało przywiązane lub przybite. Tyle razy widział jej gniew… Tyle razy wyciągał kogoś z jej wzburzonych wód. Jak u każdego mieszkańca wsi, także i u nich na ganku wisiała łódka, żeby w razie czego szybko zareagować. Nie doliczyłby się wszystkich tych krów i owiec zmiecionych z pastwiska, podobnie jak nieostrożnych podróżnych, nieświadomych zdradliwości rzeki. Udało mu się ocalić nawet wóz i konie Żyda Abelesa, który w ostatniej chwili próbował pokonać most, niemal już podtopiony przez wzburzoną wodę. Może z wiekiem stępiła mu się ocena ryzyka, może dopadła go jakaś niemoc. Trudno powiedzieć, dlaczego popędził wtedy prosto w spienione fale, tak jakby długie lata wizyt w Mušovie nie nauczyły go, że Thaya, gdy wzbierze na wiosnę, w sekundę porywa człowieka w objęcia, z których nie ma ucieczki.

Stare wałachy zaciekle walczyły, z wybałuszonymi oczami i strzykającą z szeroko rozwartych pysków śliną, ale każdy ciągnął w inną stronę, nie słuchały komend.

eprasa.pl 7d207e4b08

Gdyby wóz ostatecznie nie zatrzymał się na wierzbie, pewnie zabrałyby ze sobą na dno łodzie Feuer- und Wasserwehru, które przypłynęły z pomocą. On i reszta mężczyzn ciągnęli półżywe zwierzęta na łańcuchach, aż wreszcie udało się wyszarpać je ze szponów powodzi, w przeciwieństwie do starego Abelesa, którego znaleziono w jednym ze starorzeczy długo po tym, jak woda opadła. Unosił się na powierzchni, w ramionach powalonego drzewa, tak obgryziony przez żarłoczne wodne stworzenia, że gdyby nie ciężki płaszcz z kożuchem, może by go nawet nie rozpoznali.

Czuł się jak w malignie. Jakby dmuchana łódź, powoli prześlizgująca się po ciemnej tafli, unosiła go wstecz, pod prąd, a każde pchnięcie wioseł przybliżało do czegoś ważnego, doskonale znanego. Wreszcie zalały go dźwięki i obrazy przeszłości.

Widok Żyda bardzo nim wtedy wstrząsnął. Nie żeby wcześniej nie widział topielca, bo spotkał ich wielu jak na swoje krótkie życie. Po prostu zrozumiał, co się święci. Thaya brała odwet – za wszystkie raki schwytane po sezonie, wszystkie młode, co nigdy nie przyszły na świat przez chciwość Abelesa. I jego własną. Wyrzuty sumienia, które wypierał każdej jesieni, po kryjomu zastawiając więcierz, dopadły go i chwyciły za gardło. On też łamał prawo rzeki, również on bezwzględnie plądrował ją dla własnej korzyści. Spełnił marzenie o rowerze, na którym zadawał we wsi takiego samego szyku jak Johann. Ale od dnia, w którym znaleziono nieszczęsnego Abelesa, nie mógł odpędzić myśli, że na niego też przyjdzie kolej.

***

– Trzymaj się z boku, po co ci kłopoty?! – powtarzała mutti, kiedy wiał niespokojny przedwojenny wiatr. – Dałeś ojcu słowo, pamiętasz?

Jak mógłby zapomnieć? Palce ojca wbiły się mu w ramię i zastygły w pośmiertnym skurczu, póki onkel Lieber nie przyszedł go wyswobodzić. Czuje ten uścisk do dziś. Tyle że w tamtych czasach po prostu nie dało się stać z boku.

„Do Austrii! Trzeba przyłączyć Niemieckie Morawy Południowe do Austrii, bo w tym kraju dla nas, Niemców, słońce już nie zaświeci!" – niosło się z ust do ust po upadku kolejnego przedsiębiorstwa i następnych zwolnieniach. W ludziach narastał gniew. Cło było już tak wysokie, że nie opłacało się wozić towarów do Austrii, hurtownicy wymuszali na sprzedawcach drastycznie niskie ceny ryb i plonów, skup wina dogorywał, a kiedy zakłady wapiennicze w Mikulovie zamknęły kolejny kamieniołom, na bruku skończyli głównie Niemcy. Awanturnicy bracia Lobeck z łatwością werbowali ludzi do Związku Niemców Południowomorawskich, a ich pro-

eprasa.pl 7d207e4b08

pagandowy bełkot o przyłączeniu pogranicza Moraw do Austrii padł w Mušovie na podatny grunt. Ostatecznie prawie wszyscy mieszkańcy wsi dołączyli do Bundesgruppe Muschau. Prawie wszyscy. Onkel Lieber i Johann, wówczas już właściciel najzasobniejszej ziemi w okolicy, nadal chętniej przesiadywali w kościelnej ławie niż w gospodzie u Habarta, gdzie odbywały się zebrania Volksgemeinschaftu. Tyle że zdrady narodu, wielkiego narodu niemieckiego się nie wybaczało. Szczególnie takim jak oni. Bogaczom.

– Lieberowie zawsze byli podejrzani! Stary dzierżawił ziemię czeskim kretom za parę nędznych koron i jeszcze im dupy lizał! A młody bierze przykład z ojca! Nie ma w nich krzty niemieckiej dumy! – jątrzyli bracia Lobeck. I nie poprzestali na gadaniu. Pewnej nocy, kiedy mušovska Bundesgruppe powybijała im w domu okna i splądrowała winnicę, w Johannie coś pękło. Zwołał kilku chłopaków i ruszyli na Lobecków z widłami; niestety nie przewidział tego, że jego ludzie go zdradzą. Onkel Lieber znalazł go nazajutrz w rzymskim spichlerzu, z roztrzaskaną głową; przeżył, ale od tamtej pory był cieniem samego siebie.

A kiedy później, w rocznicę urodzin Wodza, na ruinach gotyckiego zamku Děvičky, zapłonęła ogromna swastyka, ogłaszając wszem i wobec, kto przejął władzę nad tą krainą, przestał się opierać niewybrednym zalotom braci Lobeck i mimo protestów matki – dołączył. Los Johanna nim wstrząsnął, ale po prostu nie chciał go podzielić. Kto by się wtedy zaopiekował mutti i siostrami?

Lecz koniec końców wszystko i tak potoczyło się zupełnie inaczej.

W połowie tysiąc dziewięćset czterdziestego dostał wezwanie do służby wojskowej. Cały tydzień nosił je w kieszeni i bał się drugi raz przeczytać. Niestety, czarno na białym widniało tam, że ma się zaciągnąć do końca miesiąca. Nie dali mu nawet poczekać do zbiorów. Nikogo nie obchodziło, że zostawi starzejącą się mutti z najmłodszą, niezamężną jeszcze siostrą Hedwigą, ani że ich małe gospodarstwo wymaga ogromu codziennej pracy. Wehrmacht rósł w siłę, potrzebował świeżej krwi, a ta jego była młoda i czysta rasowo.

– Niedługo wrócę, wojna nie będzie trwać wiecznie – pocieszał mutti przez kilka wieczorów, które zostały mu do wyjazdu. Miał rację, choć może lepiej by było, gdyby się mylił.

Pod koniec wojny rzeczywiście puścili go do domu. Choć on jeden jedyny z wysłanych na front członków Bundesgruppe Muschau przeżył, niewiele miał powodów do radości. Wrócił jako beznogi kaleka z niedoleczonymi obrażeniami, który bezsilnym wyciem budził każdej nocy cały dom. Jego życie było jedną wielką pustką. Albo tępo patrzył w ścianę, albo, co gorsza, jeśli matka z Hedwigą wyniosły go w wiklinowym fotelu na podwórze, gapił się na swój kosztowny, wiszący nad gankiem rower, z którego ucięte tuż nad kolanami kulasy już nigdy nie będą mieć żadnego pożytku.

eprasa.pl 7d207e4b08

Czyli przyszła na mnie pora, Thayo, myślał, przeklinając mściwą rzekę. Czemu nie zabrała go, jak Abelesa? Dlaczego musiał zostać inwalidą, ciężarem dla najbliższych? Już wolałby zginąć na froncie, pogrzebany pod skorupą zamarzniętego śniegu albo utonąć i zmienić się w ucztę dla raków. Nie potrafił wyobrazić sobie niczego gorszego niż to, co go spotkało. Do czasu.

Zjawili się, kiedy tylko ucichła wojna. Najpierw badali teren, w pojedynkę, dwójkami. Potem zaczęli zjeżdżać całymi rodzinami, zajmować największe gospodarstwa, później również mniejsze, aż wreszcie dotarli także pod ich dach. W dwuizbowej chałupie nagle tłoczyła się z nimi szóstka obcych, a on, w przeciwieństwie do mutti, która każdą wolną chwilę spędzała w kościele na modlitwach, nie miał wątpliwość, kto pierwszy będzie musiał się wynieść.

Chociaż przeczuwał, co się święci, i tak nie był przygotowany na tę chwilę. A było to nocą, po żniwach, kiedy w polu zapłonął stóg siana. Winą obarczono ich, Niemców, jakżeby inaczej. Na pewno któryś z nich wzniecił ogień, żeby narobić szkód nowym gospodarzom.

Ci zaś wyciągnęli go, siostrę i mutti z łóżek i w samych koszulach wywlekli przed dom, gdzie stało już pół wsi. Jego złapali za kikuty i wrzucili na wóz drabiniasty, niczym worek kartofli. Później ktoś strzelił z bicza i wszyscy pomaszerowali – w ciemną noc i w niewiadomym kierunku, bo dla takich jak oni nie było tu dłużej miejsca.

Wtedy po raz ostatni widział Hedwigę.

Kurczowo trzymał się szczebli wozu, gdzie wraz z nim tłoczyli się starcy i dzieci, które z płaczem wyciągały ręce do matek idących za nimi, w tłumie sąsiadów. Czasami gdzieś mignęły mu Hedwiga i mutti, dwie białe postaci, przygarbione i ciasno objęte, jak dziwne czworonożne stworzenie. Widział też, jak później, na granicy, siłą rozdarto to stworzenie na pół – w samym środku totalnego chaosu, gdzie wyczerpani Mušovianie mieszali się z napływowymi i z pijanymi, głośnymi Rosjanami pełniącymi tam straż. Rosjanie co rusz kogoś otaczali, żeby po chwili odwlec gdzieś między baraki, to samo zrobili z Hedwigą, a ostatnim wspomnieniem, jakie pozostało mu po siostrze, były jej gołe nogi szaleńczo kopiące w powietrzu. Potem wóz szarpnął i tłum ruszył dalej, popędzany wystrzałami i ordynarnym pokrzykiwaniem Rosjan, które mieszało się z jękiem uczestników pochodu, aż wieczorem stanęli wreszcie pośrodku nieobsianych, pustych pól i zarosłych winnic, takich samych jak te, które rozpościerały się przy brzegach Thai w Mušovie, a mimo to tak obcych, bo leżących w kraju, gdzie nikt ich nie chciał i nikt na nich nie czekał.

Po chwili, która zdawała się nie mieć końca, przyprowadzono do niego matkę – udręczoną, w podartej, brudnej koszuli i z krwawą raną na czole. Jednak to nie to najbardziej nim wstrząsnęło. Najgorsze było jej nieobecne, martwe spojrzenie.

eprasa.pl 7d207e4b08

***

– Wohin jetzt? Dokąd teraz? – zapytał Nicholas, kiedy zamocował wózek inwalidzki w samochodzie i usiadł za kierownicą.

Sens tych słów nie od razu dotarł do niego. Sytuacja w urzędzie uruchomiła w jego głowie dziwny szum, a myśli błądziły między przeszłością a teraźniejszością, jakby rozdmuchał je wiatr. Potrzebował chwili na ich uporządkowanie.

– Warte noch – wysapał.

W tym samym momencie z budynku na parking wybiegł mężczyzna. Ten, który przed chwilą stał za plecami dupiastej zołzy i wbijał w niego chłodny wzrok. Teraz zbliżał się szybko i pewnie, wskazując ręką, by uchylił szybę w aucie.

– Vácha – przedstawił się samym nazwiskiem, nie wyjawiając swojego urzędowego stanowiska. – Pan chce się dostać auf die Insel, ja? Gucken na wyspa, ja? Czemu tak bardzo panu na tym zależy?

Otava, który nie zdążył jeszcze wsiąść, porozumiał się z nim wzrokiem i upewnił, że może odpowiedzieć: – Jak już wspomniałem, pan Hartmann pochodzi z Mušova, jego rodzina miała tam przed wojną małe gospodarstwo. Z racji sędziwego wieku… – Odkaszlnął i zrobił dramatyczną pauzę. – …chciał ostatni raz zobaczyć rodzinną wieś. Powspominać, złożyć kwiaty na grobie swoich przodków. Pożegnać się.

– Pożegnać się, powiada pan. Tyle że po cmentarzu to teraz sumy pływają. Wszędzie Wasser, verstehen Sie?

Czesko-niemiecki galimatias językowy Váchy miał ten plus, że nie musiał czekać na tłumaczenie. Wiele rozumiał, ale Otava chciał, rzecz jasna, wypełniać swoje zadanie: – Wie Sie bereits wissen, wurde das gesamte Dorf samt dem Friedhof leider überflutet.

W innych okolicznościach zapewne doceniłby dyplomatyczność młodziana, teraz jednak ironicznie skrzywił się w duchu na dźwięk dodanego przez tłumacza „leider". Aha, na pewno ci przykro, urzędasie. Nie chciał jednak znów wdawać się w sprzeczki, ponadto był ciekaw, co tak naprawdę kierowało tym człowiekiem. Więc zapytał prosto z mostu: – Warum sind Sie zu mir überhaupt gekommen?

Vácha powstrzymał Otavę gestem, nachylił się, niemal wciskając głowę do auta, i zapytał z błyskiem w oku: – Ma pan szylingi?

No tak. Czyli bez niespodzianek. O cóż innego mogłoby chodzić tym przybłędom? Skinął głową, powstrzymując grymas zniesmaczenia.

– Dobra, to teraz słuchajcie, panowie – ciągnął wyraźnie już zadowolony urzędnik. – Auf die Insel nie wolno wchodzić, choćbyście poszli do najwyższej Instanz, verstehen Sie? Jest po lęgu, ptaki wodzą młode, junge Vögel, ja, nikt wam nie wyda

eprasa.pl 7d207e4b08

zezwolenia. Nie ma szans. Ende, szlus. Ale jak dacie po hundert szyling mnie i mojemu koledze, to rano was tam zawieziemy. Pontonem. Boot, verstehen Sie? Da radę wodować z południowego brzegu zalewu, znam takie jedno miejsce, guter Platz, ja? Można tam dojechać samochodem, czyli idealnie dla was. Bezpieczeństwo gwarantowane, Sicherheit garantiert, ja? O świcie zwiedzi sobie pan wyspę, godzinka spokojnie starczy, bo też i nie bardzo jest tam co oglądać, i zwiniemy się, nim zrzednie mgła. Eine Stunde und zurück. Kiedy mgła podniesie się znad wody, wyspę widać z okolicy jak na dłoni, a ludzie, wiadomo, nie zawsze życzliwi, ktoś mógłby na nas donieść, ja? Also, co wy na to? Interessiert?

Kiedy Otava tłumaczył tę ofertę, on zastanawiał się, czy w ogóle ma wybór. Nie chciał tłuc się po urzędach i niepotrzebnie przedłużać swojego pobytu. Zamierzał wykonać plan i wrócić. Ważył w myślach ryzyko całej operacji. Co mu groziło? Mogli naciągnąć go na dwieście szylingów i zwiać. Niewielka strata, jako inwalida wojenny miał dobrą rentę. A gdyby kombinowali coś innego, będzie z nim przecież Nicholas.

– Schaffen Sie's? – zwrócił się do niego.

Nicholas przewrócił oczami, ale ostatecznie potaknął.

– Gut. Also wo und wann?

Nazajutrz, o wpół do czwartej rano, stali na południowym brzegu jeziora. Samochód zostawili w olszynie, za zakrętem kamienistej polnej drogi. Kilka minut później błysnęły reflektory zbliżającego się pojazdu z dużym pontonem podskakującym na przyczepce. Kierowcy chwilę zajęło odpowiednie zaparkowanie tyłem do wody. Kiedy silnik ucichł, od strony pasażera wysiadł Vácha. Światło jego latarki nieprzyjemnie ich raziło.

– Macie pieniądze? – upewnił się.

– Tak. Połowa teraz, druga po powrocie – odparł Otava i lekko drżącą dłonią podał mu banknoty. Był wyraźnie zadowolony, że zostanie na lądzie i będzie pilnować samochodu.

Vácha burknął coś pod nosem, wcisnął pieniądze do kieszeni i kiwnął na swojego kompana, który dopiero wtedy cicho wyśliznął się z auta. Sprawnie odbezpieczyli i postawili ponton na wodzie. O wiele dłużej trwało usadowienie w nim jego. Nicholas mu pomagał, ale wszystko szło nie tak, przeszkadzały protezy, kule, mały plecak, do którego spakował kilka niezbędnych drobiazgów, męczyli się, aż zwątpił, czy w ogóle się uda. Ostatecznie jakoś ulokowali go z tyłu, tuż obok opadł zziajany Nicholas. Vácha, który, podobnie jak jego towarzysz, trzymał w ręku wiosło, odbił od brzegu. Ruszyli.

I wtedy znów poczuł pod sobą potężne ciało Thai.

To była ona, rzeka jego młodości, największa, najbardziej zdradliwa miłość długiego, zmarnowanego życia i nawet teraz, kiedy jej wąska talia rozlała się w szeroką

eprasa.pl 7d207e4b08

połać jeziora, wciąż była jego Thayą, z tak znajomym zapachem i cichym pluskiem fal, które witały go niecierpliwymi uderzeniami o burtę.

Czuł się jak w malignie. Jakby dmuchana łódź, powoli prześlizgująca się po ciemnej tafli, unosiła go wstecz, pod prąd, a każde pchnięcie wioseł przybliżało do czegoś ważnego, doskonale znanego. Wreszcie zalały go dźwięki i obrazy przeszłości.

Najpierw usłyszał radosne piski – takie same rozlegały się w każdy letni ciepły dzień wokół płytkiego zakrętu Thai, zaraz potem dobiegł go przenikliwy krzyk szczęściarza, któremu udało się złapać raka. Później z ciemności wyłaniali się kolejno: Hedwiga w najlepszej sukience, roześmiany Johann na koniu stającym dęba, kupiec Abeles, z przyjaznym uśmiechem puszczający do niego oko ze swojego wozu, i mutti, najmilsza pod słońcem mutti, nigdy nie skarżąca się na ciężki los wdowy i gospodarskiej córy, której oprócz wiana nie przypadł ani sążeń gruntu i musiała żyć jak uboga krewna pod samym nosem bogatego brata… A potem z nocnej mgły wynurzył się kościół.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Vácha, kiedy wreszcie udało im się wyciągnąć ponton na brzeg wyspy, obwarowanej wysokim pasem pałek i trzciny. Kilkakrotnie przejechał po szuwarach światłem latarki, wreszcie znalazł lukę, gdzie majaczyło coś na kształt ścieżki. – Chodźcie za mną.

Na początku kule grzęzły w miękkiej, podmokłej ziemi, a protezy mocno się ślizgały, nieco dalej podłoże stwardniało, a on z pomocą Nicholasa ostatecznie wgramolił się na dawny główny plac. Kościół Świętego Leonarda był mały, o wiele mniejszy, niż zapamiętał, do tego zniszczony, z walącym się dachem i oknami bez szyb. W miejscu ciężkich drzwi z dekoracyjnymi okuciami zionęła pusta paszcza.

– Heiliger Leonhard, Beschützer der Muschauer, o Święty Leonardzie, nasz opiekunie… – wyszeptał, rozglądając się w bladym świetle latarki po splądrowanej kruchcie. – Jak mogłeś do tego dopuścić, stary patałachu?

Odpowiedziała mu grobowa cisza. W mroku prezbiterium majaczył nagi mur, nisza ołtarzowa, z której niegdyś spoglądał na niego patron kościoła, była pusta. Potrzebował kilku minut, by przetrawić ten widok.

– 'Ch gehe auf den Friedhof – wychrypiał po chwili zduszonym głosem.

Kroki jego towarzyszy, dudniące wśród pustych ścian, ucichły.

– Sichr, wedle życzenia – oznajmił Vácha. – Ma pan pół godziny, 'ne halbe Stunde, ja? Później zrobi się jasno i fertig, musimy spadać, verstehen Sie?

Pół godziny, tak żałośnie mało, pomyślał, ale nic nie odpowiedział, musiał się skupić na celu – starym mušovskim cmentarzu.

– Allein – zatrzymał Nicholasa, który chciał ruszyć z nim. Tę sprawę musiał załatwić sam.

Szło mu mozolnie. Ciało zdradzało go od dawna, ostatnio już prawie nie chodził, a tu, na nierównym, kamienno-żwirowym terenie, okazał się jeszcze większym

eprasa.pl 7d207e4b08

kaleką, niż sądził. Odczuwał każdy krok, mimo to wytrwale sunął naprzód wzdłuż kościelnego muru.

Nie liczył na to, że na końcu tej wyprawy odnajdzie grób ojca, nie spodziewał się, że na tyłach świątyni, gdzie dawniej stał cmentarz, ujrzy nagrobek Lieberów, z wysokim żeliwnym krzyżem i nazwiskami wyrytymi jeden pod drugim, z Johannem na samym dole. Nie miał żadnych oczekiwań, żadnych nadziei, mimo to widok, który zastał, chwycił go za serce. Przed nim rozciągała się pusta, porośnięta dzikim zielskiem łąka przechodząca niżej w gęste, przybrzeżne szuwary. Nie zachował się ani jeden nagrobek, zniknęła nawet stara studnia. Nie zostało nic.

Odkładając kule, starał się nie przejmować płytkim oddechem, chociaż czuł się tak, jakby ktoś usiadł mu klatce piersiowej i z całej siły ścisnął serce. Nie, nie miał teraz czasu na sentymenty. Musiał wykonać plan. Zrzucił plecak, wymacał podłużne naczynie z masywną pokrywką i wyjął łopatkę ogrodniczą. Stękając, opadł na czworaki, a kiedy odzyskał równowagę, zarył narzędziem w ziemi.

Nie zawiedzie. Nie tym razem.

Złamał obietnicę daną ojcu – nie ochronił ani domu, ani młodszej siostry, a dla starej mutti, zamiast oparciem, był ciężarem. Nieobecna duchem troszczyła się o niego aż po kres, który nadszedł dla niej tam, na obczyźnie. Ostatnie smutne lata jej życia wypełniało tylko jedno pragnienie: chciała spocząć w Muschau, w rodzinnej ziemi, wśród swoich. Dlatego dziś tu był, przywiózł ją do domu i tym razem podoła.

Niestety narzędzie z trudem wchodziło w podłoże, wciąż trafiał na kamień lub kawałek cegły. Jego czoło zrosił pot, spływał po skroniach i piekł w oczy. Ale na odpoczynek nie było czasu. Noc powoli przechodziła w szary świt, co rusz dobiegał go rozespany ptasi okrzyk, wyspa powoli budziła się ze snu. Zapalczywie rył, kopał, uderzał, odrzucał na bok sczerniałe kamienie, żwir i suchą, sypką ziemię, aż wreszcie udało mu się wydrążyć dołek szeroki na trzy pięści i na pół łokcia głęboki. Nagle łopatka zazgrzytała o metal. Odsunął warstwę żwiru i ziemi, podważył przedmiot czubkiem narzędzia i z całych sił nacisnął. Ziemia wydała mu stare zardzewiałe wieczko.

Usiadł, głośno dysząc, poprawił protezy, przetarł nakrętkę rękawem i podniósł ją do oczu. Nadzieja, że siedzi na szczątkach przodków, wśród których mutti znajdzie wieczny odpoczynek, prysła właśnie za sprawą prostego napisu – „Benzyna".

Zakręciło mu się w głowie.

Zmiecione z powierzchni ziemi chałupy, zdewastowany, rozorany cmentarz, kości spalone na popiół. Czy mutti naprawdę chciałaby spocząć w ziemi tak głęboko przesiąkniętej nienawiścią?

Krew gwałtownie uderzyła mu do głowy, ciśnienie niemal ją rozsadzało, czuł silne pulsowanie w skroniach, uszy zalał szum. Myślał tylko o jednym – cały ten wysiłek nie miał sensu. Znowu nie zrobi tego, co sobie postanowił.

eprasa.pl 7d207e4b08

Nie wie, jak długo siedział bez ruchu, biczowany sumieniem, ale w międzyczasie szum w głowie przeszedł w pluszczący szmer, który przybliżał się i oddalał, jak… fale? A może to był po prostu głos Thai, ukochanej i znienawidzonej, śmiercionośnej i życiodajnej rzeki, której tak naprawdę nigdy nie opuścił i która teraz przyszła zemścić się za wszystkie schwytane po sezonie raki; tak, był niemal pewien, że to ona zbliżała się i oddalała, bijąc falami o przybrzeżne zarośla. To Thaya, na pewno ona. Nagle już wiedział, co robić.

Wcisnął urnę z prochami mutti za pazuchę, schylił się i odpiął protezy. Później wypełnił kieszenie spodni kamieniami wykopanymi przed chwilą z niedoszłego miejsca pochówku. Był gotów.

Bez protez jego ciało stało się lekkie jak piórko, mimo to osłabione wysiłkiem ramiona drżały, opadł więc na łokcie i powoli, wytrwale parł w stronę jeziora. Jak rak po nocnych łowach wraca do kryjówki, by schronić się przed skwarem dnia, tak i on wybada brzeg, znajdzie prześwit w gęstwinie i na zawsze złączy się z Thayą. Od zawsze było mu to pisane.

Kiedy między szuwarami dojrzał wreszcie toń, uniósł się na rękach i resztką sił odwrócił twarzą w stronę kościoła. Pełznął na wspak przez gęstniejące zarośla, niżej i niżej, aż poczuł, że chłodna woda obmywa mu kikuty.

– Herr Hartmann! – dobiegło z góry. – Est ist Zeit!

Przez pas trzciny dojrzał jeszcze, jak za kościołem, którego wieżę delikatnie otulił pierwszy promień słońca, pojawił się Nicholas. Recht, już czas, najwyższy czas, by stare raki wróciły do domu, zdążył jeszcze pomyśleć. A potem zamknęła się nad nim woda.

Kateřina Tučková jest pisarką i dramatopisarską. Po ukończeniu historii sztuki i bohemistyki na Uniwersytecie Masaryka w Brnie uzyskała doktorat na praskim Uniwersytecie Karola. Autorka powieści *Wypędzenie Gerty Schnirch* i *Boginie z Žítkovej*, za które otrzymała prestiżową nagrodę Magnesia Litera. Za swoje zaangażowanie społeczne w 2017 roku czeski Instytut Badania Reżimów Totalitarnych przyznał jej Nagrodę za Wolność, Demokrację i Prawa Człowieka. W 2022 roku wydała długo wyczekiwaną powieść *Bílá Voda*. Za tę powieść oraz za swoją dotychczasową twórczość literacką otrzymała Państwową Nagrodę w dziedzinie literatury. Książki Tučkovej przetłumaczono na ponad dwadzieścia języków.

eprasa.pl 7d207e4b08

Recenzje

Z miłości do gleby

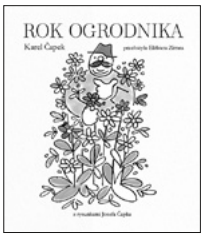

Karel Čapek, *Rok ogrodnika*, przeł. Elżbieta Zimna, ilustr. Josef Čapek, Wydawnictwo Dowody, Warszawa 2025

W czasie gdy świat płonie, czytanie takiej książki jak *Rok ogrodnika* Karla Čapka – na pierwszy rzut oka błahej, ekwilibrystycznej, dowcipnej, „pięknie zbytecznej", jak określa ją jeden z czeskich internautów – wydaje się trochę nie na miejscu. Ale czy na pewno?

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że czeski pisarz (w życiu prywatnym również będący zapalonym ogrodnikiem) w tym rozkosznym zbiorze, powstałym gdzieś pomiędzy jego najsłynniejszymi powieściami, profetycznymi i podszytymi lękiem przed kierunkiem, w jakim zmierza ludzkość, oferuje nam ideę ogrodu jako oazy, w której zapomnieć można o świecie zewnętrznym. I która ten świat może poniekąd zastąpić: „Gdybym leciał na piechotę aż do Benešova, zobaczyłbym mniej wiosny, niż gdy siedzę w kucki we własnym ogródku" (s. 45), pisze Čapek. W innym, zaczynającym się w sposób lekko polityczny rozdziale („…ale ja z rozmysłem będę opiewać nie Święto Pracy, raczej Święto Własności Prywatnej", oznajmia buntowniczo narrator) ogródek staje się czymś własnym, sferą osobistej wolności: „Ktoś, kto ma ogródek, nieodwołalnie zostaje prywatnym właścicielem; wtedy nie rośnie mu róża, ale rośnie jego róża" (s. 54).

Spoglądając jednak na książkowego ogrodnika, szybko stwierdzamy, że jego hobby niewiele ma wspólnego z relaksem. To nie medytacja, to pochłaniająca namiętność, zaraźliwa jak infekcja, rozwiewa złudzenia Čapek. Jego ogrodnik jest postacią niespokojną i zapalczywą, w imię zdobycia ukochanej rośliny zdolną do napadu rabunkowego ze strzelaniną i morderstwem, która nawet diabła – gotowego spełnić wszystkie jej zachcianki w zamian za jej duszę – doprowadzi niechybnie do szaleństwa. Podobnie jak do szaleństwa doprowadza swą rodzinę, zimą zastawiając każdy skrawek mieszkania roślinami doniczkowymi, oraz przyjaciela, który nieopatrznie zgodzi się zaopiekować ogródkiem delikwenta w sezonie urlopowym. To z jednej strony wyraz cudownej autoironii, z drugiej – jeden wielki przytyk Čapka pod adresem jego własnych rodaków, lecz przytyk pisany z czułością dla ludzkich przywar, znaną nam z innych dzieł pisarza, jak choćby *Księgi*

eprasa.pl 7d207e4b08

apokryfów. Z kolei dusza pisarza science fiction odzywa się we fragmentach poświęconych anatomii ogrodnika. Autor zastanawia się, jak wyglądałaby ona, gdyby ogrodnik nie powstał drogą ewolucji kulturalnej, lecz naturalnej. I duma o tym, jak dobrze byłoby mieć tylko cztery ręce oraz głowę (z czapką!) lub „kończyny wysuwane jak statyw fotograficzny" (s. 50).

Styl, w jakim Čapek snuje swoje ogrodnicze rozważania, sam przypomina wybujały ogród – autor namiętnie sypie wyliczeniami (choćby wymieniając przedmioty, które można znaleźć w glebie uprawnej: poczynając od zgniłych liści przez potłuczone kufle aż po husyckie strzały i grób Attyli), wpada w kwiecistość i hymniczność, na zasadzie kontrastu jeszcze bardziej uwidaczniające ironiczny, karykaturalny oraz humorystyczny wydźwięk opowieści (podkreślony również znakomitymi grafikami Josefa Čapka!). Wreszcie – o glebie, tej cichej bohaterce i płomiennej miłości każdego ogrodnika, pisze zaskakująco sensualnie (próchnica glebowa jest tu „pulchna jak piernik, ciepła, lekka i dobra jak chleb") lub wręcz erotycznie: „Sami sobie kucnijcie w ogródku i wstrzymując oddech, pogrzebcie palcem w świeżo skopanej ziemi, albowiem palcem owym dotkniecie delikatnego i napęczniałego pączka. Tego wrażenia nie da się opisać, tak jak nie da się opisać słowami pocałunków i jeszcze kilku innych rzeczy" (s. 46).

Jeśli erotyzm, to też kobiecość, gdzie niestety w żartach autor pozwala sobie już na zbyt wiele. To być może jedyny aspekt, w którym pozycja ta niełądnie się zestarzała. Porównując przekwitające kwiaty do kobiet, którym „przestaje na sobie zależeć" i „wyglądają jak czupiradła" („mówię o kwiatach", zastrzega asekurancko), czeski pisarz demonstruje humor godny rubasznego wuja z wąsem. Współczesny niesmak częściowo łagodzą dowcipne rady dotyczące uprawiania ogrodu, przywodzące na myśl dzisiejsze dyskusje internetowych „znawców" na wszystkie możliwe tematy. O przygotowaniu gleby pod nasiona Čapek pisze, że „powinno się do niej dodać marmurowego proszku (…), trzyletnie krowie łajno (…) i pewnie jeszcze próchno ze złotej paproci oraz garść ziemi z grobu powieszonej dziewicy" (s. 19).

Mimo upływu niemal stu lat współcześni ogrodnicy też z pewnością odnajdą się w perypetiach opisanych przez Čapka. O uniwersalności *Roku ogrodnika* świadczy jego twórcze wykorzystanie przez reżysera Jiřiego Havelkę. W jego filmie z roku 2024, zatytułowanym tak samo jak zbiór tekstów pisarza, fragmenty książki posłużyły do zilustrowania opowieści o milczącym ogrodniku, który, wierny swojej glebie, postanawia bronić jej za wszelką cenę przed zakusami pewnego oligarchy.

Tak jak w filmie Havelki, tak i w dziele Čapka ogród staje się metaforą. Może być metaforą tego, co naprawdę kochamy, metaforą naszego życia („ogródek nigdy nie jest skończony…") lub metaforą wszystkich ludzkich przedsięwzięć. A metafory te dają nam nadzieję. Ogró-

eprasa.pl 7d207e4b08

dek wszak podlega cyklicznemu odrodzeniu, a nawet w czas zimy nie umiera zupełnie, bowiem „przez cały rok jest wiosna i przez całe życie jest młodość; wciąż jest z czego kwitnąć" (s. 101). Ostatecznie to my stajemy się ogrodem: „Tylko ci, którzy trzymają ręce w kieszeniach, mówią, że będzie gorzej; ale ten, kto kwitnie i wydaje owoce, nawet jeżeli robi to w listopadzie, nie daje świadectwa jesieni, ale złotemu latu; nie daje świadectwa upadkowi, ale kwitnieniu" (s. 101).

Rok ogrodnika to jednak dobra książka na nasze czasy.

Anna Maślanka

Kiedy zabija się swoich…



Dwaj prokuratorzy, scenariusz i reżyseria Siergiej Łoźnica, produkcja: Niemcy, Litwa, Łotwa, Rumunia, Francja, Holandia, Ukraina, premiera: 14.05.2025, w Polsce: 23.01.2026

Najnowszy film Siergieja Łoźnicy *Dwaj prokuratorzy* zabiera nas do Rosji lat trzydziestych ubiegłego wieku w sam środek wielkiego terroru, który ugruntował jednowładztwo Stalina. Film, doceniony na ostatnim Festiwalu w Cannes, opowiada historię o naiwności w konfrontacji z brutalną ideologią. A może jednak o młodzieńczym bohaterstwie?

Łoźnica po raz kolejny dotknął sowieckiej rzeczywistości, ukazując okrutną prawdę o kraju rad. Nowym filmem powrócił do tematu zderzenia jednostki ze światem totalitarnym. Podobnie jak w dokumencie *Proces* z 2018 roku, który opowiadał o powstającej machinie terroru i budowie państwa totalitarnego niszczącego jednostkę. *Proces* to zapis jednego z pierwszych sądowych postępowań pokazowych w ZSRR. W 1930 roku w Moskwie odbył się sąd nad członkami Partii Przemysłowej, czyli nad grupą ekonomistów i inżynierów, która została oskarżona o spiskowanie przeciwko rządowi.

Film *Dwaj prokuratorzy* powstał na kanwie książki Georgija Demidowa o tym samym tytule. Biografia autora *Dwóch prokuratorów* to gotowy scenariusz na film. Jak opowiadał Łoźnica – Demidow był fizykiem wychowanym na terytorium dzisiejszej Ukrainy. Pracował w Charkowie. W 1938 roku został aresztowany. Spędził czternaście lat w gułagu nad Kołymą. Dzięki zaciętości i sile udało mu się przeżyć. W latach pięćdziesiątych zaczął pisać utwory odnoszące się do tamtych doświadczeń, które zostały opublikowane już po upadku ZSRR.

Dziś Siergiej Łoźnica to jeden z bardziej rozpoznawalnych twórców ukraińskiego kina zagranicą. Autor zarówno filmów fabularnych, jak i dokumentalnych, które przyniosły mu rozgłos i popularność na świecie. W swoim kraju filmowiec stał się postacią nieco kontrowersyjną. Zarzuca mu się na przykład, że przebywa większość czasu poza Ukrainą, co prowadzi do zaczepnych pytań krytyków: „Co on wie o naszym dzisiejszym państwie?". Natomiast sam reżyser podkre-

eprasa.pl 7d207e4b08

śla, że pomimo zarzutów o pochodzenie sowieckie (urodził się w Baranowiczach na Białorusi w ówczesnym ZSRR), czuje się Ukraińcem i w swoich filmach opowiada o Ukrainie. To też potwierdza jego filmografia.

Zanim przejdę do omówienia *Dwóch prokuratorów*, warto zwrócić uwagę na tło historyczne fabuły filmu. Związek Radziecki późnych lat trzydziestych, czyli dwie dekady po rewolucji 1917 roku, dzięki zachodnim pożyczkom (przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec), wsparciu technologicznemu i licencjom na maszyny potrzebne w gospodarce dokonuje szybkiej industrializacji. Dynamiczny rozwój był ściśle powiązany z katorżniczą pracą obywateli, zarówno tych „wolnych", jak i tych skazanych na przymusowe roboty w gułagach. W systemie gospodarki planowej powstają wielkie założenia przemysłowe: elektryfikacja kraju oraz wydobycie wszelakich surowców mineralnych, które mają stanowić o samowystarczalności kraju. Sowieci inwestowali także w kolej i nowe drogi. Stworzono połączenia centrum kraju z rubieżami wschodnimi, gdzie często przenoszone były fabryki (Ural, Syberia). Zamknięta gospodarka ZSRR w praktyce nie była podatna na zawirowania światowych rynków. I dlatego w latach wielkiego kryzysu 1929–1933 radziecka gospodarka mogła się nadal rozwijać napędzana państwowymi zamówieniami wewnętrznymi.

W tym czasie w polityce umacniała się rola Stalina, który konsekwentnie starał się eliminować swoich politycznych adwersarzy. I to bez względu na skalę opozycji. W trzech procesach moskiewskich (1936, 1937, 1938) skazano członków partii, którzy cieszyli się popularnością, byli „starymi rewolucjonistami" i wraz z Leninem stworzyli pierwszy kraj socjalistyczny. Oskarżycielem we wszystkich procesach był Andriej Wyszynski (syn polskiego farmaceuty z Baku), prokurator generalny ZSRR. To on był uznawany za najbardziej krwawego prokuratora, a zarazem twórcę teorii, wedle której przyznanie się oskarżonego może stanowić decydujący dowód winy, a niekoniecznie jej udowodnienie. Na pierwszym procesie moskiewskim w 1936 roku krzyczał jako oskarżający w stronę najbliższych współpracowników Lenina – Kamieniewa i Zinowjewa: „Żądam, by te wściekłe psy rozstrzelano, wszystkie! Wszystkie, co do jednego!". Posyłał na śmierć za rzekome zdrady i spiski kolejnych bolszewików. Budził grozę.

Procesy moskiewskie wymyślone przez Stalina stały się nie tylko czystką przeciwników politycznych, ale także operacją propagandową. Ogólnonarodową hipnozą przygotowującą społeczeństwo na jeszcze większe zło. Po przekonaniu milionów ludzi, że najważniejsi twórcy ZSRR to zdrajcy i agenci, o wiele łatwiej było usprawiedliwiać masowe represje i skazywanie na śmierć setek tysięcy osób znacznie mniej znanych, bez prawa do obrony.

Mechanizm terroru i sposób działania czystki uchwycił Aleksander Weissberg-

eprasa.pl 7d207e4b08

-Cybulski w książce *Wielka czystka*. Opisał w niej rozmowy z Braudem, śledczym NKWD, który przyznał, że żaden z przesłuchiwanych przez niego więźniów nie był szpiegiem. Jednak znalazł sposób na wymuszenie fałszywych zeznań – tortury. Co prawda Braude nie dostał oficjalnego rozkazu stosowania tortur, jednak brak odpowiednich zeznań więźnia był w strukturach NKWD traktowany jako sabotaż i karany naganą, a następnie aresztowaniem.

I tu wracamy do filmu. Rok 1937, Briańsk. Adept prawa Aleksander Korniew (świetna rola Aleksandra Kuzniecowa) przybywa do tamtejszego więzienia prowadzonego przez NKWD w odpowiedzi na list, który – wbrew dyrekcji więzienia – został przemycony do okręgowej prokuratury. Do inspekcji i kontaktu z więźniem okręgowy prokurator w Briańsku wyznaczył Korniewa. Zdaje się, że to jedna z pierwszych spraw młodego prokuratora.

Wizyta w więzieniu od razu staje się zarzewiem konfliktu z władzami. Prokurator Korniew po przeprowadzeniu wizytacji wzburzony rozmową z więźniem i nieludzkim traktowaniem oskarżonych, wbrew obowiązującemu w ZSRR prawu, udaje się natychmiast w podróż ze skargą na naczelnika więzienia. Z taką petycją, uderzającą w służbę więzienną i przede wszystkim samo briańskie NKWD, jedzie do Moskwy, gdzie – co okaże się zgubne – rozmawia z prokuratorem generalnym Andriejem Wyszynskim! Los młodego prokuratora został przesądzony.

Łoźnica stworzył narastający kafkowski koszmar biurokracji i przemocy systemu. Film ubogi w dialogi, opiera się przede wszystkim na gestach i obrazach. Gęby (nie twarze) strażników budzą odrazę i strach, które potęguje ich złowrogie milczenie i wolne ruchy, jakie wykonują, otwierając kolejne drzwi długich korytarzy i klatek schodowych. Zgrzyt klucza w zamku, skrzypienie drzwi i stukot obcasów wysokich butów strażników buduje niepokojącą atmosferę filmu. Ekipa produkcyjna realizowała zdjęcia w dawnym carskim więzieniu w Rydze.

Powolne tempo narracji i emocjonalny dystans opowieści może utrudniać odbiór. Jednak statyczna kompozycja kadrów i chłodna stylistyka wizualna niewątpliwie budują atmosferę opresji. Reżyser podkreślił w ten sposób bezsilność jednostki wobec totalitarnej machiny państwowej. Film można zinterpretować jako uniwersalną opowieść pokazującą mechanizmy tyranii i biurokratycznej przemocy. Opowieść Łoźnicy nie zawodzi. Wielkie opowieści nigdy się nie kończą. Co pozostaje młodemu prokuratorowi Korniewowi? Wytrwałość pozbawiona nadziei na zwycięstwo? Męstwo wolne od wiary w powodzenie sprawy i nagrodę? Chłodna odwaga, która broni przed rozpaczą?

Piotr Leszczyński

eprasa.pl 7d207e4b08

Własna kraina marzeń



Joanna Stingray, Madison Stingray, *Czerwona fala. Amerykanka w sowieckim rockowym undergroundzie*, przeł. Ewa Horodyska, Fundacja Ośrodka KARTA, Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego, Warszawa 2025

Bez Amerykanki Joanny Stingray nie da się opowiedzieć historii rosyjskiego rocka, którego *boom* w drugiej połowie lat osiemdziesiątych XX wieku stał się jednym z symboli przemian w Związku Radzieckim. Jej książka przypomina, że nawet w totalitarnym systemie ludzie potrafią stworzyć sobie enklawy wolności.

„Pojawienie się Joanny Stingray w Petersburgu na początku lat osiemdziesiątych musiało być Bożą odpowiedzią na nasze nieświadome modlitwy. Jej naiwna odwaga, ciekawość i hojność były dla nas, rockmanów, jak koło ratunkowe. Ta nieustraszona dziewczyna przełamała bariery, które wydawały się nie do pokonania" – mówi Boris Griebienszczikow, lider zespołu Akwarium. Te słowa i zdjęcie legendy rosyjskiego rocka znalazły się na okładce książki *Czerwona fala. Amerykanka w sowieckim rockowym undergroundzie*. Oryginalne wydanie wyszło najpierw w Stanach Zjednoczonych. Autorkami są Joanna i Madison Stingray. Pierwsza to piosenkarka, producentka i działaczka społeczna z Los Angeles, druga to jej córka – owoc związku z jednym z rockowych muzyków z Rosji. Do Stingray często odwołują się rosyjscy dziennikarze, by pokazać fenomen rockowy u schyłku ZSRR. Prócz wspomnień z samego środka muzycznej fali, zgromadziła wiele unikalnych zdjęć i filmów, które robiła ze swoją siostrą Judy podczas podróży za żelazną kurtynę.

Dwudziestoczteroletnia Amerykanka pierwszy raz przyjechała do Moskwy i Leningradu (obecnego Petersburga) wiosną 1984 roku. Nosiła wtedy nazwisko Fields i była żądną wrażeń studentką z zamożnej amerykańskiej rodziny. Korzystając ze znajomości i rodzinnych koneksji, próbowała wcześniej zrobić karierę muzyczną w swoim kraju, ale bez większych sukcesów. Wyjazd do Związku Radzieckiego w ramach studenckiej wycieczki kompletnie odmienił jej życie. Szara sowiecka rzeczywistość z jednej strony odpychała, z drugiej zaś przyciągała odmiennością. Niespokojny duch amerykańskiej studentki sprawił, że szybko poznała rockowych muzyków z Leningradu. Młodzi artyści tworzyli barwny krąg, niezależny od oficjalnej sowieckiej kultury i propagandy. Niektórzy – ku zaskoczeniu rówieśniczki z modną, biało-czarną fryzurą „na skunksa" – całkiem dobrze mówili po angielsku. Obcego języka nauczyli się z piosenek zachodnich gwiazd rocka, których nagraniami nielegalnie dzielono się i handlowano w ZSRR. W następnych latach sprawili, że Joanna poczuła się jak Alicja w Krainie Czarów, co do dziś wspomina ze wzruszeniem, a nawet egzaltacją. „Mówią, że Ameryka jest krainą marzeń, ale Rosja stała się mo-

eprasa.pl 7d207e4b08

ją własną krainą marzeń, które przeszły w rzeczywistość. W mojej Krainie Czarów miałam niewyczerpane możliwości, by zrealizować wszystkie pomysły, jakie przyszły mi do głowy – wyznaje w książce. – Za każdym razem, gdy wsiadałam na pokład samolotu do Ameryki, czułam się zagubiona i pusta, zmęczona krążeniem po Los Angeles jak obca istota (…)".

Podczas kolejnych „turystycznych" podróży poznała całe muzyczne podziemie miasta nad Newą. Była stolica Imperium Rosyjskiego pełniła rolę nieformalnego centrum radzieckiego rocka. Stingray uczestniczyła w nielegalnych, domowych koncertach (kwartirnikach), towarzyskich imprezach (tusowkach), szalonych eskapadach i zwykłym życiu Rosjan. Wiele zdarzeń razem z siostrą dokumentowała aparatem fotograficznym i kamerą wideo. Zaprzyjaźniła się nie tylko z Griebienszczikowem, uwodzicielskim i uduchowionym bardem rockowym, ale też z Wiktorem Cojem czy Konstantinem Kinczewem, twórcami słynnych rosyjskich grup – Kino i Alisa. Gitarzysta tej pierwszej – Jurij Kasparian w 1987 roku został nawet jej mężem (rozwiedli się kilka lat później).

Przyjazdy młodej Amerykanki nie mogły, oczywiście, ujść uwadze funkcjonariuszy KGB. Śledzona, a czasem przesłuchiwana, nie rezygnowała jednak z kolejnych podróży. Nie zniechęcało jej też nagabywanie przez agentów FBI, którzy podejrzewali, że może współpracować z sowieckimi służbami. Miała szczęście, bo w połowie lat osiemdziesiątych doszedł do władzy Michaił Gorbaczow, który stopniowo liberalizował sowiecki system, ocieplając stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. W Leningradzkim Rock-Klubie już od 1981 roku lokalne kierownictwa KPZR i Komsomołu zezwalały na koncerty młodych zespołów nieobecnych w oficjalnym obiegu. W ten sposób chciały mieć nadzór nad młodzieżą zafascynowaną zachodnią kulturą. Muzycy rockowi zdawali sobie z tego sprawę, ale korzystali z okazji, by prezentować swoje piosenki jak najszerszej publiczności. Stingray była nimi oczarowana. Pomagała z wielkim poświęceniem, przywożąc za darmo nieosiągalne w ZSRR instrumenty muzyczne, w tym białą gitarę Fender Stratocaster dla Griebienszczikowa. Nowi koledzy żartobliwie nazywali ją Świętym Mikołajem lub Amerykańskim Traktorem, bo potrafiła załatwić to, co było poza zasięgiem w siermiężnych, sowieckich realiach. Od początku starała się też zainteresować „podziemnym" rosyjskim rockiem media, firmy fonograficzne i znanych artystów na Zachodzie, docierając między innymi do Davida Bowie i Andy Warhola. W 1986 roku przemyciła i doprowadziła do wydania w Stanach Zjednoczonych albumu *Red Wave* (*Czerwona Fala*). W ten sposób zachodni słuchacze dowiedzieli się o istnieniu niezależnego radzieckiego rocka. Na dwie płyty trafiły nagrania czterech najciekawszych leningradzkich grup – Akwarium, Kino, Strannyje Igry i Alisa. W swoim kraju mogły one tworzyć tylko amatorskie nagrania i rozpowszechniać je na kasetach w nie-

eprasa.pl 7d207e4b08

oficjalnym obiegu. Aby nie narazić muzyków na represje ze strony władz, Stingray informowała, że zrobiła wszystko bez zgody wykonawców. Obawy wkrótce jednak zastąpiła radość i ekscytacja. Album stał się wydarzeniem nie tylko na Zachodzie, ale też w ZSRR, otwierając zespołom drogę do legalnych wydawnictw płytowych, a także pierwszych zagranicznych wyjazdów. Producentka stała się samozwańczą ambasadorką pojednania amerykańsko-radzieckiego. W licznych wywiadach przekonywała, że muzyka może łączyć mieszkańców dotychczas wrogich państw. W dobie pierestrojki rock zyskiwał z dnia na dzień olbrzymią popularność w Związku Radzieckim. Grupy znane dotąd tylko w ograniczonym kręgu zaczęły zapełniać największe sale koncertowe. Ich twórcy stali się gwiazdami, mimo że wciąż klepali biedę i żyli z rodzinami w ciasnych mieszkaniach (komunałkach). Pochodzący z koreańsko-rosyjskiej rodziny Wiktor Coj, najbliższy przyjaciel Stingray i świadek na jej ślubie, był palaczem w leningradzkiej kotłowni Kamczatka, aby zarobić na skromne życie i nie narazić się władzom. „Pracował w ciemnym piwnicznym pomieszczeniu bez okien, wypełnionym dusznym, nieświeżym powietrzem, ładując węgiel do ogromnego, warczącego pieca jak ktoś z dziewiętnastowiecznej pocztówki" – wspomina Amerykanka.

W swojej książce barwnie opisuje przemianę przyjaciół w idoli rocka i narodziny show-biznesu u schyłku komunizmu. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku sama zyskała gwiazdorski status w Rosji, co dziś komentuje z humorem i dystansem („Zabawnie było poruszać się po Los Angeles jako nieznana osoba, podczas gdy pół świata dalej ludzie naśladowali mój wizerunek"). Dla Rosjan stała się symbolem i objawieniem nowych czasów – Amerykanką zakochaną w rosyjskiej kulturze. Wynajmowała mieszkanie w Moskwie, gdzie łatwiej było rozwijać karierę. Tam też poznawała nowych muzyków oraz pomagała ściągać zagraniczne firmy i artystów. Swoją popularność wykorzystywała między innymi podczas proekologicznych akcji Greenpeace, walcząc na przykład z zaśmiecaniem stolicy Rosji. Z czasem zaczęła jednak dostrzegać, że zmiany nie idą w tym kierunku, o którym marzyła. Dziki kapitalizm w rosyjskim wydaniu budził jej coraz większą niechęć. Przyniósł nie tylko olbrzymie nierówności społeczne, ale też wszechobecną przestępczość. Mafijno-korupcyjne układy sięgały każdej sfery życia społecznego – od polityki po kulturę. „Ulice Moskwy nagle wypełniły eleganckie mercedesy z przyciemnianymi szybami i krążyły plotki, że wielu przestępców, którzy zarządzali niektórymi dawnymi radzieckimi zakładami przemysłowymi, wykorzystuje panujący chaos i defrauduje grube pieniądze. Gdy przeciętny Rosjanin nadal usiłował zrozumieć, czym jest to nowe życie w kapitalizmie, korzystali z tego ukryci bossowie" – tak opisuje Rosję w połowie lat dziewięćdziesiątych minionego wieku. Sama również dostawała „propozycje",

eprasa.pl 7d207e4b08

by dzielić się dochodami z gangsterami za możliwość kontynuowania muzycznej kariery w telewizji. Zmęczona i zniechęcona, spodziewając się narodzin dziecka, postanowiła w 1996 roku porzucić rosyjską „Krainę Czarów". Wróciła do Kalifornii, by tam zapewnić sobie spokój, a córce bezpieczne wychowanie. Z czasem została agentką nieruchomości i rozwiodła się z ojcem Madison. O wszystkim, także bardzo osobistych sprawach, pisze w książce. Dopiero po ośmiu latach odwiedziła ponownie Rosję. Pojechała, żeby córka mogła zobaczyć rosyjskich dziadków. Od tamtej pory bywała tam kilkakrotnie, wydając siedem książek, w tym albumy ze zdjęciami dawnych przyjaciół – twórców rosyjskiego rocka. Wielu zmarło. Jak choćby Wiktor Coj, który zginął w wypadku drogowym w 1990 roku, stając się jedną z największych legend popkultury w krajach byłego ZSRR. Część po 24 lutego 2022 roku wybrała życie na Zachodzie, protestując przeciw wojnie Rosji w Ukrainie. Inni, jak Konstantin Kinczew czy Garik Sukaczow, stali się zwolennikami polityki Putina, występując na dobrze płatnych prowojennych koncertach z literą „Z". Stingray nie ocenia wprost ich postawy, w tym byłego męża – gitarzysty zespołu Kino, który po reaktywacji grupy bez Coja zagrał koncerty między innymi w okupowanych miastach Donbasu i Krymu. Książkę *Czerwona fala* kończy na 2019 roku, kiedy odwiedziła Rosję, promując z powodzeniem dwa inne swoje wydawnictwa o radzieckim rocku. Ostatni raz była tam w styczniu 2022 roku, prezentując album ze zdjęciami nieżyjącego lidera Kina. „Rosja pozostanie magicznym miejscem w moim sercu, zmienił się tylko stosunek do konkretnych ludzi" – stwierdziła w wywiadzie dla niezależnego rosyjskiego kanału „Żywoj Gwozd" na YouTubie, którego udzieliła rok po pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Najbliższa – jak podkreśla – jest dla niej pacyfistyczna postawa Coja i Griebienszczikowa. Obydwu traktuje jak swoich ojców duchowych. Ubolewa, że utwory Coja śpiewają rosyjscy artyści podczas prowojennych manifestacji. Z Griebienszczikowem spotykała się kilka razy w ostatnich latach. Niedawno obchodził siedemdziesiąte drugie urodziny, ale wciąż pozostaje aktywny muzycznie. Z żoną mieszka i tworzy w Londynie. Koncertuje pod szyldem BG+ na całym świecie, z wyjątkiem Rosji, gdzie został wpisany na listę „zagranicznych agentów" za otwartą krytykę wojny przeciw Ukrainie. „Boris mówi, że trzeba zachować pokój w sobie. I ja z tym się zgadzam. Na jego koncertach spotykają się Rosjanie i Ukraińcy" – zauważa autorka książki we wspomnianym wywiadzie. I dodaje, że ma poczucie, jakby wszystko cofnęło się do czasów zimnej wojny, kiedy pierwszy raz odwiedziła Związek Radziecki. Z tego powodu między innymi nie wypalił jej plan nakręcenia serialu o Wiktorze Coju dla Netflixa. „Teraz wszystko, co z Rosji jest złe, wtedy też myślano, że wszyscy Rosjanie są źli, muszę znowu przekonywać, że tam też są dobrzy ludzie" – puentuje.

Ireneusz Dańko

eprasa.pl 7d207e4b08